NOWA POLSKA

MIESIĘCZNIK

TOM II NEW POLAND MONTHLY ZESZYT 3

LONDYN MARZEC 1943

JULJAN TUWIM

Z „KWIATÓW POLSKICH“

Czas się rozłamał i podzielił
Czerwoną kresą wielkiej daty
Na dwie epoki, na dwa światy.
Już wiek ubiegły, wiek nadziei,
Wrośnięty w młody trzon stulecia
Staremi osiemnastu laty,
Dał za wygraną. Już się zwalił,
Podmyty nurtem krwawej fali,
A nasz skrzydlaty, w przeszłość leciał.
Już przeskakując przez okopy
Gęstemi ciągnąc się rzędami
Krzyże na polach Europy
Szły krzyżowemi pochodami
Zdobywać nową ziemię świętą
Nasiąkłą krwią, trupami wzdętą.
Kolczastym drutem pozszywana,
Goiła się olbrzymia rana :
Ziemia, rozdarta i popruta
Rydwanem „wiekopomnej chwały“ . . .
. . . Dzikie różyczki krwi zrudziałej
Zakwitły na kolczastych drutach,
Czcigodne, dobrotliwe konie
Padłe w męczeństwie dobrowolnem
Za grzech i pychę ludzkiej hordy
(— Było ich kopnąć, bracia-konie
W zębate bohaterskie mordy ! —)
Leżały, śmiercią usztywnione
I puste wewnątrz. Ptaki polne

W prętach ich żeber gniazda wiły ;
Kruki z pikielhaub wodę piły.
Zwabione ukończoną rzezią,
Szakale kłusa wyruszyły
Dogryzać ludzkość. Gdzieś z mogiły
Pięść wystawała zaciśnięta —
Tryumfująca zapowiedzią
Rewolucyjna, czarna pięść . . .
Licz : jeden, dwa, trzy, cztery pięć,
Sześć, siedem osiem, dziewięć, dziesięć —
— Dziesięć milionów trupów w ziemi
Miesiła epokowa jesień.
Żercy podziemni, rozjątrzeni,
Już dobierali się do kości.
Dziesięć milionów czaszek trupich
Pustemi ziejąc w mrok oczyma,
Szczerzyło zęby ku wieczności . . .
(O, królewiczu z mądra głupi !
Tyś jedną tylko w ręce trzymał !)

Za oknem tłum, za oknem chór,
Szum przemieszanej z marszem pieśni,
A czasem trzask ostatnich kul
Krótko zaszczeka od przedmieści :
Ktoś jeszcze gdzieś — wspanialszą pieśń
Dogrywa hardo swym naganem —
O inny świat, o inny cud —
I w partyturę srebrnych nut
Bemole wbija ołowiane.
Za oknem zgiełk : sztandarów las,
Okrzyków grom, bagnetów blask,
I szloch i śmiech — i Duchów Tren
Z pochodem zgodnie w dal płynący :
Pod rękę z prawdą idzie Sen,
Ach, noce snów z wyśnionym dniem
Na spacer wyszły pierwszy raz,
Na spacer oszałamiający !
To wielkie dni ! Na zwykły bruk
Misterium zeszło — maszeruje —
I każdy łyk dmie w Złoty Róg !
Cudowne dni ! To słowu „Bóg“
Za słowo „wolność“ lud dziękuje.
I modli się o słowo „moc“
I w obieg rusza zgłoska pusta,
Otwierająca puste o
Jak głupi tenor głupie usta ;
Za nią „potęga“ pędzi wślad

I miecz“ i „rubież“ i „do czynu“
I sto upojnych synonimów . . .
. . . On jeden milczy : symbol, znak,
To ten Sarmatów Biały Ptak,
Dumny, samotny — i bez rymu.
Już się krzykliwi i zuchwali
Do Jego śnieżnych piór dorwali
„Dziejowej misji“ misjonarze,
Kpy, szarlatani rozchełstani
Wróżbici, nekrofile, beksy !
Już je nurzali w kałamarze
I tęczowemi inkaustami
Pluskali w przyszłość dzikie kleksy.
Już wyciągali ze słowników
Kleiste taśmy przymiotników,
I szły gromadnie na ten lep
Ćmy „wielkich idei“ z mgły wysnutych ;
A lud jak lud — ma łeb zakuty
I woli ów zakuty łeb
Czasownik „jeść“, rzeczownik „chleb“,
Czasownik „mieć“, rzeczownik „buty“.
Z gapiami, z muzyką wojskową
I z epitetów gminem czczym
Przez miasto kroczy wyraz „Czyn“,
Co dotąd był wyrazem „Słowo“.
Wspaniałe dni ! Wczorajszy mrok
W zorzę przezłaca się jutrzejszą :
To pospolita ciemna rzecz
Zmienia się tam przez „czyn“ i „miecz“
W Rzeczpospolitą Najjaśniejszą !

Rodzi się trudne, biedne państwo . . .
Od Pińska po zatokę gdańską,
Od Wilna do Zakopanego
Dreszcz serc i iskry depesz biegą . . .
Partyzant z twarzą nietzscheańską
Z politykami pertraktuje
A nocą czyta Słowackiego :
„ . . . *Kto dziś nie wstąpi w święte ognisko*
Jeno przez oczy ciekawe,
Taki dziś bracia, pójdzie na sławę,
Jutro na urągowisko.
I to mieć będzie, że gdy my wstajem
Zrzucić głasz co ducha obarczał,
On siedział, głupi kłamstwa lokajem
I widział prawdę — i warczał“.

(*Urywek z wiersza do Ludwika Norwida*)

JAN STAŃCZYK

FEDERACJA KRAJÓW ŚRODKOWO - WSCHODNIEJ EUROPY - PODSTAWĄ TRWAŁEGO POKOJU I DOBROBYTU W EUROPIE I ŚWIECIE

W Środkowo-Wschodniej Europie żyje około 110 milionów ludzi. Przestrzeń zamieszkiwana w tej części Europy przez Polaków, Czechosłowaków, Rumunów, Węgrów, Jugosłowian, Greków, Bułgarów i Litwinów, wynosi 554.000 mil^2, czyli prawie tyle, ile wynosi obszar zajmowany przez Niemcy, Francję, Wielką Brytanię, Belgię i Holandię.

Obszar Środkowo-Wschodniej Europy obfituje w bogactwa naturalne: posiada drugie, co do wielkości na kontynencie europejskim zagłębie węglowe, wydobywa 90% ropy naftowej Europy, 66% antymonu, 50% bauksytu, 33% rudy chromowej, 31% rudy ołowianej, 26% rudy miedzianej i 24% rudy cynkowej.

Obok bogactw naturalnych posiadają kraje Środkowo-Wschodniej Europy urodzajną glebą, a ludność tych krajów odznacza się wyjątkową pracowitością.

Nasuwa się zatem pytanie: ,, Czym można sobie wytłumaczyć, że mimo bogactw naturalnych, urodzajnej ziemi i wyjąkowo pracowitej ludności, kraje Środkowo Wschodniej Europy należą do najuboższych w Europie ?

Odpowiedź na to pytanie jest prosta: kraje Środkowo-Wschodniej Europy były od wieków terenem politycznych wpływów i gospodarczej eksploatacji Niemców. Prawda, że i Rosja próbowała współzawodniczyć z Niemcami o wpływy w tej części Europy. Nie wytrzymywała ona jednak konkurencji niemieckiej, zwłaszcza w dziedzinie gospodarczej. Rosja carska współzawodniczyła skutecznie z Niemcami jedynie w politycznym ucisku Polaków, wszędzie indziej wysiłki jej sprowadzały się do głoszenia haseł panslawistycznych. Niemcom udało się natomiast narzucić wyłączność wpływów i wyzysku gospodarczego nie tylko ludom Środkowo-Wschodniej Europy, lecz przenieść swoją ekspansję gospodarczą i na teren samej Rosji.

Narody Środkowo-Wschodniej Europy niezorganizowane we wspólnotę interesów politycznych i gospodarczych nie były w stanie przeciwstawić się skutecznie w pojedynkę konsekwentnemu naciskowi politycznemu i gospodarczemu Niemiec i monarchii habsburskiej.

Wystarczy popatrzeć na gospodarczą kartę Europy, aby się przekonać o tym, do jakiego stopnia obszary zamieszkiwane przez ludy Środkowo-Wschodniej Europy stały się wyjątkowo korzystnym zapleczem dla nadmiernej rozbudowy gospodarki przemysłowej Niemiec i niemieckich części habsburskiej monarchii. Jedynie Czechosłowacja stanowi wyjątek w upośledzeniu gospodarczym w tej części Europy. Podczas kiedy wszystkie kraje Środkowo-Wschodniej Europy pozostały krajami wybitnie rolniczymi, Czechosłowacja zbliżyła się stopniem uprzemysłowienia do Niemiec i niemieckich cześci habsburskiej monarchii. Wyjątek ten należy jednak przypisać tylko geograficznemu położeniu tego kraju i płynącemu stąd mylnemu przekonaniu, że Czechy i Morawy, otoczone morzem ludności niemieckiej., są nieuchronnie skazane na naturalną germanizację, a zatem mogą być traktowane przez Niemców za kraj, wcześniej czy później, niemiecki.

Wystarczy chociażby pobieżne zapoznanie się z historią emigracji ludności Środkowo-Wschodniej Europy szukającej pracy w Niemczech, ze statystyką wywozu surowców dla przeróbki ich w niemieckim przemyśle i produktów rolnych dla żywienia ludności niemieckiej, by się przekonać, że nadmierny rozwój przemysłu niemieckiego posiada swoje źródła nie tyle w

zdolnościach organizacyjnych i handlowych narodu niemieckiego, ile w wykorzystywaniu taniej robocizny, tanich surowców i taniej żywności krajów Środkowo-Wschodniej Europy. Szybki rozwój do olbrzymich rozmiarów produkcji węglowej, przemysłu hutniczego, rozległa sieć kolei i dróg, oraz śródlądowa komunikacja wodna—są w dużej mierze dziełem pracy robotników krajów Środkowo-Wschodniej Europy, sprowadzanych w setkach tysięcy przez niemieckich przemysłowców do najcięższych i najgorzej wynagradzanych robót w niemieckim przemyśle i rolnictwie.

Obok taniej robocizny i tanich produktów rolnych Środkowo Wschodniej Europy, przemysł niemiecki otrzymywał z tego terenu tanie surowce. Prawie 70% wszystkich surowców tego obszaru przerabiał niemiecki przemysł na gotowe wyroby, zbywając jednocześnie dużą ich część w tych zacofanych pod względem uprzemysłowienia krajach. Tania robocizna więc, tanie surowce i żywność, czerpane z obszaru Środkowo-Wschodniej Europy stwarzały dla przemysłu niemieckiego wyjątkowo korzystne warunki w walce konkurencyjnej o opanowywanie nie tylko bliższych, ale i odległych rynków świata.

Jedynie w oparciu o to, tak korzystne dla produkcji przemysłowej Niemiec, zaplecze Środkowo-Wschodniej Europy, mogły Niemcy konkurować skutecznie z przemysłem innych krajów, a zwłaszcza z Wielką Brytanią i St. Zjednoczonymi, mogły zaspakajać wysokie, w porównaniu nawet do najbogatszych narodów, spożycie rynku wewnętrznego i wyrzucać równocześnie na rynki obce coraz większe masy towarów. Rownomiernie z rozwojem gospodarki przemysłowej rozbudowywały Niemcy swoją flotę handlową, aby tym skuteczniej wypierać z rynków światowych towary innych krajów, zwłaszcza Wielkiej Brytanii i St. Zjednoczonych. Zagrożone kraje uprzemysłowione poczęły się niepokoić wzrastającą konkurencją niemiecką i wypieraniem ich przez niemiecki handel z dotychczasowych rynków zbytu. Krajom, które usiłowały przeciwdziałać nadmiernej inwazji niemieckich towarów na rynki świata, odpowiadały Niemcy coraz energiczniejszą rozbudową floty handlowej, floty wojennej i armii lądowej.

Wywołana przez Niemcy pierwsza wojna światowa i obecne, jeszcze krwawsze powtórzenie poprzedniej, to nic innego, jak ciągłe i uparte dążenie Niemiec do gospodarczego podboju wszystkich kontynentów.

Hasłem Niemiec w poprzedniej wojnie światowej było „Mittel-Europa pod panowaniem Niemiec." A w tej wojnie jest nim: „Mehr Lebensraum dla niemieckiego narodu." Oba te hasła zawierają jedną i tę samą treść, niezmienne, odwieczne dążenia Niemiec Fryderyka Wielkiego i Niemiec Bismarcka, Niemiec Wilhelma i Niemiec Hitlera — do narzucenia światu politycznej i gospodarczej woli, lub ściślej mówiąc, samowoli niemieckiego narodu panów. O osiągnięcie tych celów rozpoczynały Niemcy wszystkie poprzednie wojny. W imię tych samych celów wywołały wojnę obecną i wywołają następne, jeszcze potworniejsze i krwawsze, jeżeli narody zjednoczone nie zorganizują, po pokonaniu Niemiec, powojennego świata na takich politycznych i gospodarczych zasadach, które usuną raz na zawsze polityczną i gospodarczą przewagę Niemiec w Europie, a przez to zabezpieczą świat przed nowymi rzeziami wojennymi.

To też tylko naiwni, ale właśnie przez to niebezpieczni dla przyszłego trwałego pokoju świata i pokojowej współpracy międzynarodowej, politycy, ekonomiści, a zwłaszcza ckliwi intelektualiści, mogą szerzyć niezgodne z obiektywną prawdą poglądy o istnieniu złych i wojowniczych, dobrych i pokojowych Niemców.

Nikt nie pragnie tak szczerze i tak gorąco, jak pragną tego ludy Środkowo-Wschodniej Europy, a zwłaszcza narody, które sąsiadują bezpośrednio z Niemcami, by poglądy o istnieniu dobrych, pokojowych Niemiec były nie fantazją, lecz prawdą. Przecież my, najbliżsi sąsiedzi, Francuzi, Polacy, Czesi, Jugosłowianie, musimy się krwawić omal że nie w każdym pokoleniu

w walce o nasze prawa do wolności i spokojnej pracy u siebie, na własnej ziemi, z najeźdźcami niemieckimi.

Krwawe lekcje na przestrzeni wieków nauczyły nas przeto nie wierzyć w teorie o istnieniu dobrych i pokojowych Niemców. Zbyt obfitą daniną krwi płacą nasze narody za fakt istnienia nie jakichś mitycznych dobrych, lecz niestety tych prawdziwych imperialistycznych Niemiec, co wywołują ciągłe rzezie wojen w imię panowania nad światem, abyśmy znowu uzależnili przyszłe nasze losy od dobrej woli tych rzekomo dobrych Niemców.

Daleko bezpieczniej i pewniej będzie zatem, by przyszły pokój świata nie opierał się na lekkomyślnej teorii o istnieniu dobrych Niemców, lecz na takiej organizacji politycznego i gospodarczego współżycia narodów w powojennym świecie, która zabezpieczy każdy naród z osobna i wszystkie rzem przed napaścią nie tylko ze strony Niemiec, ale przed każdym napastnikiem pragnącym ujarzmiać inne narody.

Za najgłówniejszą podstawę pokoju w Europie a przez to i w świecie, musimy uważać utworzenie federacji ludów Środkowo-Wschodniej Europy. Polityczne i gospodarcze zjednoczenie narodów Środkowo-Wschodniej Europy położy bowiem raz na zawsze kres przewadze Niemiec w Europie i pozbawi ich głównej podstawy operacyjnej w ich dążeniach do podbojów. Nie dążymy wcale do tego, by zniszczyć gospodarczo Niemcy i zepchnąć naród niemiecki na poziom nędzy gospodarczej, w jakiej znajdują się z ich winy ludy krajów Środkowo Wschodniej Europy. Takie dążenie byłoby nonsensem ze stanowiska postępu gospodarczego. Dalecy jesteśmy również od kierowania się w urządzenia powojennego świata momentami zemsty nad całym narodem niemieckim, aczkolwiek mamy do tego zbyt wiele uzasadnionych i bolesnych powodów.

Pragniemy jednak, w imię sprawiedliwości i w imię dobrze pojętego ogólnoludzkiego dobra, by zjednoczone ludy Środkowo-Wschodniej Europy rozwinęły swoją gospodarkę do takiego poziomu, który zapewni im dobrobyt, jaki posiadają Niemcy i inne w świecie narody. Chcemy, by ludy Środkowo Wschodniej Europy stały się przez zjednoczenie czynnikiem politycznej stabilizacji pokojowej w Europie. A przez rozwój gospodarczego życia swych krajów i podniesienie stopy życiowej swej ludności, także czynnikiem gospodarczej współpracy z resztą świata. W tym celu uważamy za niezbędne przeniesienie części zbyt rozbudowanego, szczególnie w okresie wojennym, przemysłu niemieckiego na tereny krajów Środkowo-Wschodniej Europy.

Kraje Środkowo-Wschodniej Europy były przez wieki obiektem wyzysku gospodarczego Niemiec. W okresie wojny poprzedniej i obecnej stały się terenem dzikiego rabunku i wyniszczenia ze strony Niemiec. Słuszne jest zatem i sprawiedliwe żądanie, by kosztem Niemiec były te kraje chociażby częściowo gospodarczo odbudowane. Wielka Brytania i Stany Zjednoczone winny zatem objąć nie tylko kontrolę nad gospodarką niemiecką, ale już na konferencji pokojowej musi być ustalona i przeprowadzona taka dyslokacja przemysłu niemieckiego, by zostały wyrównane olbrzymie dysproporcje między niedorozwojem gospodarczym Środkowo-Wschodniej Europy i przerostem uprzemysłowienia Niemiec. Poza tym Wielka Brytania i St. Zjednoczone winny udzielić od siebie pomocy krajom Środkowo-Wschodniej Europy w kierunku przyśpieszenia ich rozwoju gospodarczego, gdyż tylko w ten sposób zostanie zapewniona światu równowaga gospodarcza, zabezpieczony pokój i ogólnoludzki dobrobyt.

Dopiero po utworzeniu Federacji Środkowo-Wschodniej Europy i po podniesieniu poziomu gospodarczego krajów wchodzących w skład Federacji do poziomu krajów uprzemysłowionych, a zwłaszcza Niemiec, mogłyby zaistnieć warunki dla Federacji Ogólno-Europejskiej, o jakiej myślą dziś zbyt pochopnie i lekkomyślnie niektórzy abstrakcyjni reformatorzy polityczni. Paneuropa urzeczywistniona natychmiast po wojnie oddałaby

przecież ludy Europy na pastwę panowania i ucisku Niemiec. Powstanie Paneuropy w obecnych warunkach byłoby przecież tylko urzeczywistnieniem programu w imię którego Hitler rozpoczął wojnę. Paneuropa zresztą, w której przewodnictwo przypadłoby z natury rzeczy Niemcom, byłaby nie tylko organizacją ucisku i wyzysku gospodarczego reszty narodów europejskich przez Niemcy, ale także i stałym zagrożeniem Rosji Sowieckiej.

Nie można więc zrozumieć niechęci Rosji Sowieckiej do utworzenia federacji krajów Środkowo-Wschodniej Europy. Obawy, jeżeli takie istnieją, że sfederowane ludy Środkowo Wschodniej Europy mogłyby się stać niebezpieczeństwem dla Rosji, mogą być zaliczone do fantazji, lecz nigdy do trzeźwego rozumowania politycznego. Na serio nie można sobie bowiem wyobrazić takiej sytuacji, by Federacja ludów Środkowo-Wschodniej Europy mogła się stać niebezpieczną dla Rosji, zwłaszcza, że do związku należałyby przecież narody tak znane ze swej tradycynej przyjaźni do Rosji, jak Czechosłowacja, Jugosławia i Bułgaria.

Wszystko natomiast przemawia za tym, że federacja ludów Środkowo-Wschodniej Europy, dążyć będzie do jak najlepszego sąsiedzkiego współżycia z Rosją, że Rosja miałaby w federacji ludów Środkowo-Wschodniej Europy nie tylko dobrego, pokojowego sąsiada, lecz i sprzymierzeńca w razie jakiejkolwiek ponownej próby ataku ze strony Niemiec na Rosję. Rosja powinna zawsze pamiętać, że niemiecka droga do bogactw Ukrainy i źródeł naftowych Kaukazu, prowadzi zawsze przez terytorium krajów Środkowo-Wschodniej Europy.

Pierwszą wojnę światową zaczęli Niemcy od napaści na Serbię. Ale celem tej wojny nie była tylko droga na Bagdad, lecz także i na żyzną Ukrainę. Obecną wojnę zaś zaczęli Niemcy od ataku na Polskę. Sowiety zawarły porozumienie z Niemcami, sądząc, że w ten sposób zabezpieczą się przed ich atakiem na swoje terytoria. Przekonali się, i tym razem, że Niemcy pomaszerowali przez Polskę swym tradycyjnym szlakiem na Rosję po bogactwa Ukrainy i kaukaską naftę.

A może Rosja Sowiecka dąży do utworzenia Europy Sowieckiej. Trudno w to uwierzyć. Taka polityka bowiem byłaby niebezpieczna nie tylko dla narodów Europy, ale i niebezpieczna w takim samym stopniu dla samej Rosji. W Sowieckiej Europie bowiem, nie Rosja, ale Niemcy objęłyby kierownictwo polityczne i gospodarcze.

O sile niemieckiej stanowi nie tylko zwartość narodu niemieckiego, jego zdolności organizacyjne i przyrodzone skłonności do wojen i zaborów, ale także przewaga niemieckiego przemysłowego aparatu i potencjału gospodarczego. W sowieckiej Europie zatem, olbrzymie tereny Rosji i Europy stałyby się idealnym obszarem dla gospodarczej, a zatym i politycznej przewagi Niemiec, wymarzonym Lebensraumem dla niemieckiego narodu panów, dostawcą tanich surowców i robotników dla niemieckiego przemysłu i zarazem rynkiem zbytu dla niemieckich produktów przemysłowych. Bo Rosja Sowiecka będzie jeszcze bardzo długo krajem rolniczym, krajem niedorozwoju przemysłowego. A zniszczenia wojenne przemysłu sowieckiego będą miały również poważny i na długie lata wpływ na zależność Rosji od państw uprzemysłowionych. Zaś fakt, że to właśnie Niemcy byłyby najpotężniejszą pod względem uprzemysłowienia republiką w sowieckiej Europie, miałby swoje znaczenie i wymowę.

Rosja Sowiecka nie może zatym utrudniać powstanie federacji ludów Środkowo-Wschodniej Europy, lecz we własnym, dobrze zrozumiałym interesie i w interesie wszystkich narodów miłujących pokój, powinna całą swoją siłą popierać powstanie takiej federacji.

Nie ulega bowiem żadnej wątpliwości, że gdy Rosja Sowiecka będzie prowadziła politykę dobrego sąsiada w stosunku do ludów Środkowo-Wschodniej Europy i nie będzie dążyła do terytorialnych zaborów wobec

swych najbliższych sąsiadów, lub mieszała się w ich wewnętrzne ustrojowe stosunki — to może liczyć na pewno nie tylko na współpracę wszystkich sfederowanych ludów Środkowo-Wschodniej Europy, lecz także na szczerą ich przyjaźń. Każda natomiast krzywda wyrządzona narodowi polskiemu, czy któremukolwiek z narodów Środkowo-Wschodniej Europy nie przyniosłaby Rosji żadnej korzyści, ale ułatwiłaby tylko Niemcom intrygi i wygrywanie tych narodów przeciw Rosji ; byłaby zarzewiem do nowych wojennych konfliktów.

Trzeba więc zrobić wszystko, by w interesie — trwałego pokoju w świecie, w interesie równowagi politycznej i gospodarczej w Europie, została utworzona federacja ludów Środkowo-Wschodniej Europy.

Taka Federacja, obejmująca 110 milionów pracowitej ludności, podniesiona w swym rozwoju gospodarczym, stanie się nie tylko trwałym fundamentem pokoju, lecz ważnym czynnikiem w międzynarodowej współpracy gospodarczej. Minęły bowiem bezpowrotnie czasy w których mogły żyć narody bogate, obok narodów biednych. Dziś niedorozwój gospodarczy i nędza ludności w jednej części świata, prowadzi nieuchronnie do katastrofy gospodarczej narody bogate, a ludność tych krajów do klęski bezrobocia i nędzy.

Jeżeli chcemy zatym zapewnić światu trwały pokój, to musimy usunąć z życia narodów nie tylko przewagę militarną jednych nad drugimi, lecz zapewnić także każdemu narodowi dobrobyt, a przez to stabilizację stosunków gospodarczych w całym świecie. Musimy dążyć do tego, by w powojennym świecie nie było już takich narodów co żyją w skrajnej nędzy i takich, które nie wiedzą co uczynić z nadmiarem bogactw.

Jeżelibyśmy i tym razem nie zorganizowali współżycia narodów w taki sposób, by każdy z nich, wielki czy mały, miał zabezpieczoną wolność i równe prawa do korzystania z bogactw naturalnych świata i udziału w dobrobycie, jaki zapewnić mogą wszystkim narodom i każdemu człowiekowi z osobna : wiedza, praca, surowce i nowoczesny postęp techniczny, to nie zapewnimy światu pokoju, nie uchronimy ludzkości przed nowymi wojnami, kryzysami gospodarczymi, klęską bezrobocia i nędzą ludności, krwawymi zmaganiami rewolucyjnymi i przewrotami.

Niech pamiętają o tym wszystkie dziś zjednoczone w walce z hitleryzmem i faszyzmem narody. Ale niech pamiętają o tym przede wszystkim przedstawiciele tych narodów, których głos będzie miał decydujące znaczenie na konferencji pokojowej przy ustalaniu politycznej, gospodarczej i społecznej treści powojennego ustroju świata.

MARJA KUNCEWICZOWA

NIEZNAJOMY

Opowiadanie

Członkowie Komitetu nie wszyscy znali się między sobą, więc każdy bystro pogłądał dokoła, żeby wśród nieznajomych wyłowić twarz przybysza *stamtąd.* Po chwili wielu obecnych zatrzymało uwagę na drobnym panu z chudymi rysami, z neurasteniczną mgłą w koło oczu. Kobiety uśmiechały się doń ukradkiem, chyląc głowy, a mężczyźni właśnie od niego odwracali wzrok. Wreszcie minister usadowił się za biurkiem, inni pozapadali w fotele, zaszurali krzesłami, chrząknęli. . . .

— Państwo pozwolą — rzekł minister — że w ich imieniu przywitam tak drogiego gościa. Miałem już kilkakrotnie to wielkie wzruszenie i przyjemność mówienia z nim. Ale nie wątpię, że utrafię w myśl państwa, wyrażając raz jeszcze radość, iż dane nam jest mieć wśród siebie wysłannika Kraju. . . .

Kiedy minister tak mówił, spojrzenia wielu zebranych biegły ciągle ze czcią do chudego pana. Tymczasem na krześle w pobliżu ministerialnego biurka ktoś się żywo poruszył i wtenczas dopiero stwierdzono, że tam nie gdzie indziej siedzi ten, którego *nikt* nie zna.

Był młody, wysoki, ciemny, miał na sobie ubranie i krawat tak dobre, że niezauważalne. Ani koloru, ani kroju tych rzeczy nie można było wyodrębnić z ogólnego dobrego wrażenia. Z kartką w ręku siedział na swoim krześle lekko, wąsko, jak gdyby oszczędzał miejsca i uwagi zebranych. Powieki trzymał spuszczone, szerokie brwi wyrażały spokój. Kiedy opadły go spojrzenia wszystkich, te brwi nie drgnęły i powieki nie podniosły się. Minister mówił dalej, wyłuszczając cel konferencji i temat referatu gościa. Przy tym, na znak serdeczności, zataczał w jego kierunku ramieniem. ,,Czy pan gotów ?" — spytał wreszcie. Nieznajomy powieki podniósł. Oczy były duże, szafirowe, mało ruchome. ,,Tak — rzekł — czy mogę przysunąć się jeszcze bliżej biurka, bo rzeczy powiedziane chciałbym wykreślać z notatnika?" Uśmiechnął się błyskawicznie i bez reszty. Jak u dziecka, uśmiech — zniknąwszy — nie pozostawił na twarzy śladu żadnego uczucia.

Rozpoczął referat od zastrzeżeń. Wymienił dość długi szereg kwestii pierwszorzędnej wagi, o których mówić nie zamierzał. Ściśle wyznaczył teren, na jakim wolno go było pytaniami dosięgać. Żeby z góry wykluczyć nieporozumienia, ustalił terminologię polityczną, zaznaczając, że są to nazwy ,,brutalne", nie pokrywające treści zjawisk, które w okupowanym kraju od dawna przekroczyły granice terminów, ustalonych przed wojną. Mówił opornie. Zanim wydobył z siebie zdanie, przyglądał się surowo czemuś dla niego bardzo wyraźnemu, niewidocznemu dla reszty obecnych. Najoczywiściej dopasowywał słowa do konkretów odległych, które nie wypuściły go ze swego kręgu. Wiele zjawisk niespornych zaopatrzył w określenie ,,tak zwane". ,,Tak zwany" kraj. ,,Tak zwane" społeczeństwo. ,,Tak zwana" lewica, czy prawica. Charakteryzując obecną postać tych zjawisk (charakterystyka dotyczyła szczupłego zespołu cech, objętych tematem), wydawał się patrzeć w ich nową treść, nieznaną swobodnemu światu. Z tego bodaj przymusu transponowania rzeczywistości jeszcze nie nazwanej na język nieaktualnych konwencji, płynęła trudność wysłowienia.

Nieznajomy wyrażał się oględnie i bezosobowo. Nie stosował przymiotników do akcji wroga, ani też do akcji tych, co go zwalczają w warunkach urągających normalnej grze sił. O pieniądzach i o wyrokach śmierci mówił tonem identycznym. Powiedział np. nie modulując głosu i tyle tylko dając folgi między zdaniami, ile wymaga oddech : ,,Za regularnie dostarczany czytelny biuletyn radiowy płaci się osobom zaufanym dobrze i regularnie. Wyroki śmierci za słuchanie radia wykonywane są bezapelacyjnie. Szanse niewpadnięcia przy słuchaniu są nieskończenie małe. Komunikaty londyńskie drukuje się in extenso. Opinia informowana jest szybko". Nie było w tym żadnej sztuczności. Była logika. Dla wolnego świata potworna, dla podbitego, naturalna.

To, co referował, miało pokwitować pewną agendę działalności emigracyjnej. Pokwitowanie nie wypadło pomyślnie.

— Tam chcą prawdy — mówił. — I uzyskują prawdę. Ale muszą jej szukać okólnymi drogami. Przez kraje neutralne. Przez Overseas Service. Bo stąd ona nie przychodzi. Stąd przychodzi optymizm. Zachęta. Otucha. . . . To jest zbędne. Za to nie warto umierać. —

Znowu wyrzekł słowo ,,umierać" w ten sposób, jak tutaj wymawiano ,,bulić". W jego interpretacji obie te czynności zostały zrównane — płacenie życiem i płacenie pieniędzmi. Zrównane także zostały sprzedażne dobra : tutaj — obiad, garnitur. . . . Tam — byt narodu, honor człowieka. . . .

Nieznajomy wyraźnie zdawał sobie sprawę z paradoksalności i krótkotrwałego sensu takiego wyrównania. Żenowało go to, iż musiał tym znakiem równości operować na terenie, gdzie los nie zmuszał jeszcze wszystkich do jego przyjęcia. Oczami, postawą dawał znać, że docenia trudności słuchaczy w pojmowaniu nienormalnego świata i że za te trudności świat normalny przeprasza.

Raz tylko kurtuazja referenta stajała pod falą uczucia.

— Te samoloty strącane przez naszych — powiedział i wzrok mu się zapalił — Ten Orzeł, ten Sokół, ten Wilk. . . . —

Przerwał. Pozdrawiał pewnie w myśli tych ze świata normalnego, którzy również płacą życiem, kupując dobra nieuchwytne.

Następnie przeszedł do postulatów polityki krajowej. Wyszczególnił różnicę programów partyjnych. Kiedy z akcentem przekonania przedstawiał postulaty „tak zwanej brutalnie" prawicy, jegomość w zielonym ubraniu mruknął: „To jest prawicowiec". Zaraz później gość sformułował żądania „tak brutalnie zwanej" lewicy i pan w ubraniu szarym nachylił się do sąsiada: „byczo, to jest lewicowiec". Gdyż stanowisko lewicy miało w nim komentatora nie mniej wymownego. „Może centrum?" — szepnęła blondynka. Ale o centrum głucho było w sprawozdaniu *stamtąd*, gdzie wyroki życia są cięższe od wyroków śmierci.

Różnice między prawicą a lewicą istniały więc po dawnemu. Były to jednak różnice „brutalnie tak zwane", skoro z raportu wynikało, że *tam* i lewicowcy i prawicowcy umierają za to samo — za wolność. Uprzytomniwszy sobie ten fakt, obecni dowiedzieli się już bez zdziwienia, że ani lewica, ani prawica nie są skłonne do ustępstw na rzecz ościennych potęg.

Na zakończenie gość przytoczył jeszcze jeden dezyderat od „tak zwanego" kraju. „Tak zwany" kraj nie życzył sobie, żeby propaganda nazywała go cierpiącym. Żądał, aby go nazywano *walczącym*.

Nastała z kolei część nieformalna wieczoru: pytania. Ludzie ożywili się. Pragnęli dawno wyjść poza ogólniki, przekroczyć oficjalny dystans, zwyczajnie gadać z rodakiem. Nie chodziło im tyle o komunikat, co o prywatne wskazówki *stamtąd*, o informacje *stąd* — chodziło im o kontakt. A także— kto wie, czy nie najbardziej — o wytłumaczenie sobie wzajemnie, dlaczego oni tu, tamci tam i jakie są wspólne szanse.

Niektórzy nawet wstali z krzeseł i pogarnęli się w stronę przybysza, szykując dłonie do uścisku. Ale wysłannik siedział nadal na swoim krzesełku wąsko, lekko, z rękami skrzyżowanymi na kolanach, z kartką papieru złamaną teraz we czworo, ujętą w dwa spokojne, cienkie palce. Siedział w charakterze kogoś tak przypadkowego, przelotnego. . . . Kogoś, z kim zawieranie znajomości osobistej nie może mieć żadnego sensu. Zebrani cofnęli się na swoje miejsca. Sekretarz zapisywał do głosu, minister go udzielał. Pierwszy zapytał o jakąś sprawę techniczną kierownik pewnej agendy rządowej. Podczas gdy jąkał się i czerwienił, przybysz patrzył nań, jak przed chwilą na biurko, a jeszcze przed tym na własne paznogcie: uważnie i bez uczuć. Do odpowiedzi przystąpił nie natychmiast. Ważył coś w sobie, czy przypominał, czy wybierał. . . .

— To nie należy do mojego działu — odrzekł w końcu — pan może się tego dowiedzieć inną drogą. Wszystkie podobne pytania zlikwidował tak samo, zawsze po namyśle.

Z odpowiedzi powiało wielkim chłodem. Chłodem nie z tego świata. Wyjaśnienia, o które proszono, nie naruszyłyby Tajemnicy, dostarczone być mogły w rezultacie drobnego wysiłku pamięci, a omyłka w nich nie spowodowałaby nieszczęść. Wysłannik odmawiał tego drobnego wysiłku, czy też tej nieważnej omyłki. Sprawa cuchnąca ranami, więzieniem i śmiercią —zapytanie od wolnych, odbierane przez niewolników podziemną, „inną" drogą — dla niego od tej sprawy dopiero zaczynała się skala wysiłków i omyłek. Dół twarzy miał pokryty niewielkimi, sinymi bliznami. Może

połknął kiedyś zagraniczne pytanie i nie chciał szczęk rozwierać, kiedy oprawca kuł go w zęby ostrym, przypadkowym narzędziem ?

Jedno było pewne : przybysz płacił osobiście wszystkie ludzkie ceny za wolność w roku pańskim 1943 i nigdy nie kupował dla siebie. Odwykł więc od darmochy. Odwykł także od pomyłek, za które egzekucja zbiorowa nie grozi.

„Co to znaczy ? — ktoś szepnął — Dlaczego on nie chce mówić ?" Ktoś drugi wzruszył ramionami : „Psychoza".

Tymczasem wysłannik sam przerwał milczenie.

— Kraj się dziwi — powiedział — że państwo tak mało żądają danych. My wprawdzie materiału przysyłamy wiele, ale w radiofonii światowej tego materiału nie słychać. Jeżeli więc o kraju głucho teraz, kiedy jego sytuacja w świecie jest taka wspaniała, to pewnie nasz materiał nie jest ten, co trzeba. Czemu nikt stąd nie żąda materiałów właściwych ? —

Zapanowała cisza. Minister mrugał forsownie, niektórzy poczerwienieli, inni zbledli, ktoś przerażony syknął, ktoś się głośno zadziwił : „Ooo, sytuacja wspaniała ?"

Gość, zadawszy *swoje* pytanie, siedział nieco mocniej, pochylony do przodu.

— No, tak, sytuacja wspaniała, — powtórzył — wkład wojskowy i polityczny kraju w tę wojnę jest przecież olbrzymi. —

Jakieś pół-szaleńcze, pół-sprytne uśmiechy przewiały po twarzach. Głowy poderwały się w tył, powieki opadły, dech zamarł, jak u ludzi, którzy w rozpędzonym pociągu zauważyli na tym samym torze pociąg inny, pędzący im naprzeciw. Czerwony od krwi, pociąg widmo. . . . „Nie zawarliśmy armistice'u, nie mamy Quislinga" — dyszał ten pociąg coraz wyraźniej, coraz bliżej, głośniej.

Londyńscy pasażerowie skurczyli się. „Nie zawarliście armistice'u, nie macie Quislinga — zażegnywali pasażerów z kraju — wiemy, jaki wieziecie wkład : męstwo bezbronnych, nieprzekupność zgłodniałych, szczodrobliwość nędzarzy. Chwała wam ! Ale zatrzymajcie się w pędzie, zanim nas zmiażdżycie. Bo przepaść jest za nami ! Bezdenna przepaść normalnego świata".

— Więc pan sądzi — odezwał się minister — że radia Ankary, Zurichu, Stockholmu, nie mówiąc oczywiście o Londynie, Washingtonie i Moskwie, czekają tylko na moje materiały stamtąd ? —

Gość powoli odwrócił głowę w stronę przezydialnego fotela. Wyglądało na to, że ów fotel, wypełniony grubym brodatym ministrem, wydał mu się pusty, bo szerokich brwi uniósł nieco z wyrazem zdziwienia. Po czym odwrócił wzrok ku lampie, milczał. Natomiast osoby dotąd obojętne zaczęły naraz reagować.

Chichotano, błyskano oczami, napastliwość skupiała się raz w jednym, raz w drugim kącie sali. . . . Nieznajomy nie podążał za ściegiem lokalnej intrygi. Składał i rozkładał swoją kartkę. Nieprzenikniony, czekał.

Znowu nastała cisza. Człowiek, siedzący pośrodku, nie miał więc żadnych zainteresowań tutejszych ? Niczego tu nie chciał odgadnąć, wytropić, z niczego osobiście skorzystać ? Kim że był w końcu ? Inteligent ? Tak. Ale jego czasowniki miały twarde, jak gdyby chłopskie akcenty. Cienkie, długie palce ? Tak. Ale kiedy mówił o nadziejach „ludu", głos jego nabierał proletariackiego brzmienia. Doskonały garnitur ? Tak. Ale kołnierzyk od koszuli przetarty. Narzecze ani wschodnie, ani zachodnie, ani południowe. Słownictwo ani bogate, ani biedne. Młody, lecz ze spokojem starca. Spokojny, ale silny, jak ktoś, co o starości nie wie.

Co wiedział naprawdę ? Czego się spodziewał ? Z jakiego domu wyszedł, idąc po raz pierwszy do szkoły ? Jaka matka go pieściła, jaki ojciec go karał ? Gdzie jest to miasto i ta wieś, które złożyły się na obraz

jego świata ? I skąd, od Boga, czy od Szatana otrzymał siłę przedzierzgnięcia się z chłopca w osobę mitologiczną, w posła od wszechmocnych nędzarzy do bezsilnych ministrów, w posła Tajemnicy ?

— Jeszcze jakieś pytania ? — poddał grzecznie.

Pewien brunet zerwał się z krzesła, poczerwieniał, pierś mu falowała, zrobił gwałtowny ruch ręką, usta otworzył — i tak zastygł. Po chwili, nie wymówiwszy słowa, usiadł.

Wreszcie z rogu pokoju, zza pleców innych ludzi, podniósł się głos nieśmiały.

— Proszę mi nie odpowiadać, jeżeli nie można. Jednak zapytam o dwie rzeczy : kto bierze górę w kraju — lewica, czy prawica ? I czego kraj pragnie — wojny długiej, czy krótkiej ?

Nieznajomy po raz pierwszy w ciągu wieczora okazał niepokój. Cofnął się na swoim krześle, wargi mu drgnęły. Skoncentrował wzrok na jakimś dalekim punkcie.

— Kto bierze górę ? — powtórzył wolno — kto . . . — zastanowił się i nagle, jak zbudzony ze snu, krzyknął prawie — Nie wiem ! tego nikt nie wie. . . .

Urwał. Znowu zapadł w myśli i znowu wynurzył się z nich, wstrząśnięty.

— Co do wojny. . . . Kraj, owszem, wie. Wie, że historyczna racja stanu państwa wymaga wojny długiej. Biologiczna zaś racja narodu wymaga wojny krótkiej.

Po oczach wysłannika przeszedł cień, źrenice pociemniały i zgasły. Dokończył cicho :

— Jak najkrótszej.

Zrobiło się strasznо. Cień z oczu wysłannika poszedł na całą salę, zczerniał i zgęstniał. W tej czerni dopiero dojrzeć było można tamtą stronę świata — strefę nieobecnych, strefę, z której pędził na spotkanie światu tutejszemu pociąg widmo, wiozący ,,materiał" : trupy cywilne, sine, zielone, albo białe jak mgła, ciała męskie, ciała kobiece okaleczone przez tortury, przez mróz, przez głód, miliony dziecinnych szkieletów, stada oszalałych matek, tłumy jeńców utaplanych w błocie, przez które tunelami podziemnymi uciekli, miliony wysuszonych mózgów, spuchniętych brzuchów, nieulękłych serc. Pociąg pędził sam, bez maszynisty, bez palacza, jak rakieta śródgwiezdna, wystrzelona przez Ziemian ku Marsjanom. Pędził wysoko, pędził szybko, pędził niezawodnie — i Ziemianie, którzy taki ,,wkład" w niebo wystrzelili, mieli prawo sądzić, że ich sytuacja w świecie jest sytuacją ,,wspaniałą".

Członkowie Komitetu zrozumieli to i było strasznо. . . . Ale pora dinner'u nadeszła w londyńskich jadłodajniach ; zebranie musiało się kończyć.

— Więc kraj wie — podjął ten sam nieśmiały głos — I my wiemy. Jakiż stąd wniosek ? Która racja jest ważniejsza : historyczna czy biologiczna ? I co my tutaj mamy robić ?

Nieznajomy powstał. Tak powstał, jak dzień powstaje z nocy : tajemniczy, mogący znaczyć wszystko, mogący znaczyć nic.

— Wniosku nie ma — rzekł — Co jest ważniejsze, tego nikt nie wie ani tutaj, ani tam. A co wy macie robić ? Róbcie swoje. Gdzieś kiedyś może zejdą się te drogi.

Ruszono do wyjścia, nie przedstawiając się gościowi i nie żegnając go. Nazwiska tutejsze, formy tutejsze nie miały znaczenia *tam*. On zaś nie posiadał nazwiska, ani żadnej formuły na użytek *tu*.

Londyńczycy wychodzili śpiesznie. W drzwiach od windy stał ów drobny pan z chudymi rysami, z neurastenią we wzroku, ten pan, którego zrazu część zebranych wzięła za wysłannika. Bardziej jeszcze niż przedtem wyglądał, jak Chrystus. Kobiety nagle rozczuliły się i obstąpiły go. Niektóre szeptem wymieniały swoje nazwisko. ,,My się jeszcze nie

znamy". Przyjaciel go zaczepił: „No co, Nieznajomy przywiózł ci może wiadomości od żony?" Chudy pan otarł łzę na rzęsie. „Nie, nic nie przywiózł". Kobiety ściskały jego dłonie. Nareszcie ktoś cierpiał i mówił w sposób zrozumiały.

MARIA DANILEWICZOWA

TALIZMANY

„. . . Zdrowie swej duszy odzyskałby chory,
Od szklanki wody z Niemna lub Horynia".
Syrokomla: *Do*** (1854).

Wyrosłam w atmosferze pogardy dla pejzażu moich rodzinnych Kujaw. Zrazu kolidowało to z dziecinnym zachwytem nad pierwszymi przylaszczkami i kosmatymi zasankami z lasów białobłockich, z czasem jednak dałam się porwać nastrojom, panującym w domu i grzęzłam coraz głębiej w krytycyzmie w stosunku do otoczenia i nostalgii za Niemnem, którego nie danym mi było widzieć jeszcze długo potem.

Dziś myślę, że nie chodziło mi o całą rzekę—od źródeł po ujście—ale o tę jej część czy cząstkę, którą pradziad mój ogarniał oczyma w nadniemeńskim zaścianku Sieliszcze, zanim wody „domowej" jego rzeki zamknęły się nad nim na zawsze, gdy zbytnio zaufał kruchym lodom. Tu urodził się w roku klęski listopadowej dziad mój Wincenty Korotyński i tu się wychował. Z nad Niemna też, z grodzieńskich Jekienstanów wziął za żonę Staszkę Jukobowiczównę, bratanicę Maksymiliana, profesora Krzemienieckiego Liceum. Smukła była i ciemnowłosa, z szarymi oczyma o wielkich źrenicach, które rozszerzały się, jak u kota, gdy zmęczona była tańcem lub podekscytowana kłopotami domowymi. Podobała się pono Syrokomli i prababka moja musiała wzywać poetę „na osobność", by tłumaczyć dobitnie, że ma już lat trzydzieści sześć, że jest o dwadzieścia lat starszy od smarkatej i że mógłby być jej ojcem. Tego, że parał się literaturą nie miała mu jednak za złe, bo wkrótce potem wydała córkę — siedemnastoletnią już wówczas — za mego dziada, który był typowym „chudym literatem" wileńskim i ledwo wiązał koniec z końcem, a z rodzinnych Sieliszcz wynosić się musiał wcześnie do miasta, ulegając srogim prawom ekonomicznym o odpływie do miast nadmiaru ludności wiejskiej.

Roli pradziadowskiej niewiele było i niebogatej. Ale lny kwitły wokół niebiesko, ale łubiny złociły się w słońcu i dołem, Niemnem, niosła się piosnka rybaków, daleka, rozbita na głosy, hucząca niskimi basami, powracająca gromkim echem.

— Tu, na Kujawach ludzie uszu nie mają i wyją prosto na jedną nutę. Do kościoła na nieszpór chodziła nie będę—mówiła moja babka bo mi obmierzło słuchać tego wrzasku. Że też mi na stare lata przyszło w takie strony trafić, gdzie, jak sam pan Korzon pisze i Kościuszko nie mógł wytrzymać, bo Litwin był i wiedział, co ładne".

Babcia uważała się także za Litwinkę, choć zaciągała z białoruska, a po litewsku umiała tylko liczyć do pięciu. Dzieci miała mnóstwo, coś czternaścioro i dzieliła je na lepsze, urodzone na Litwie i gorsze, które świat ujrzały w Warszawie. „Koroniarze" odczuwali zdecydowany kompleks niższości w stosunku do Litwinów i uważali się za pokrzywdzoną przez los część rodziny. Najbiedniejsi jednak, choć może najszczęśliwsi — jak mawiała Babcia — byli Staś i Helenka.

— A dlaczego? — pytałam wielokrotnie ciocię Jadwinię („Litwinkę").

— Bo Pan Bóg ich zabrał do siebie, gdy jeszcze dwu latek nie mieli.

To i szczęśliwi, bo poszli prosto do Nieba i biedactwa maleńkie, bo im straszną śmiercią zemrzeć wypadło.

— A dlaczego ?

Tu zaczynała się długa opowieść o tym, jak bliźnięta przyszły na świat wątłe i bledziutkie, gdy Dziadek był w więzieniu na Łukiszkach i gdy go Murawiew mógł powiesić każdej chwili, tak jak to zrobił z synem pana Zdanowicza. Ale współtowarzysze więzienia trzymali język za zębami i Dziadkowi udało się wywikłać cało z potrzasku z wyrokiem stosunkowo łagodnym, bo ograniczonym do nakazu opuszczenia Wilna na zawsze.

Było to w zimie 1865 r., w czasie mrozów i zamieci śnieżnych. Wyjazd nastąpić musiał po tygodniu, a czas ten zbiegł, jak jedna chwila na rozpaczliwych próbach porozumienia się z przyjaciółmi warszawskimi i likwidowaniu mieszkania. Pierwszym etapem podróży były Jekientany, gdzie Babcia żegnała się na zawsze z domem rodzinnym i z Niemnem i dokąd odwieziono rzeczy z wileńskiego mieszkania.

Stamtąd właśnie wyruszyli Staś i Helenka w ostanią podróż swego życia. Lód był tak gruby na Niemnie, że rzekę przejechano saniami koło Balli Solnej w czasie trzaskającego mrozu i zadymki, której podmuchy wbijały w policzki ostre igiełki lodu. Dzieciska pochlipywały z zimna i przerażenia, zionącego z oczu dorosłych i udzielającego się całemu otoczeniu. Pociąg wlókł się — zatrzymywał godzinami w zamieci, przepychał przez zwały śniegu suchego i sypkiego, jak sól. Mleka im nie dano, ani gorącej kaszki, ani nawet czystej herbaty, a u kresu długiej podróży nie czekały ciepłe kafle pieca w domu na Antokolu, ale wystygłe paleniska i puste ściany mieszkania na Freta, wynajętego pośpiesznie dla wygnańców przez poczciwego Pługa.

Stasiowi i Helence było już tam jednak ciepło : ciałka mieli rozpalone, oczy błyszczące i usteczka spękane od pragnienia. Doktór przyszedł, „bylejaki", z Mostowej ulicy i czym prędzej nacierać zaczął terpentyną drobne, dygocące dreszczami plecki. A w tydzień później z mieszkania nowych lokatorów wyniesiono dwie maleńkie trumienki i gromadka Wilnian odbyła po raz pierwszy daleką wędrówkę na cmentarz Powązkowski. Mogiłka sasiadowała niemal z grobem pięciu poległych, co było oczywiście przypadkiem i tłumaczyło się bliskością dat zgonu.

Babcia rozpamiętywała po wielekroć szczegóły owej straszliwej podróży :

— Zdyszana była ja i ziajana, gdy sanie z żandarmem zajechały i szybko dzieci ubierała — to prawda — ale akuratnie. I baszłyki im wdziałam, i szubki na wacie, i bambosze na nóżki i po dwie pary majtek. Derką otuliłam — przypominała — i z rąk nie zdejmowałam, choć mi ciężko było, bo Ładyś miał się niedługo narodzić. Ale coś ja zaniedbała i dzieciska z mojej winy pomarły.

I tak gryzła się biedaczka latami, do śmierci chyba, choć Dziadek przerywał zwykle biadolenia szorstkim :

— Durna ty, kochanie, Nie ty winna, tylko Car. Z niego wszystko zło się wywodzi.

I tak było w istocie. Car stał u początku całej serii kataklizmów rodzinnych. On był winien temu, że Fabian Czudowski pognał w kibitce na daleki Sybir, nad Jenisiej. On właśnie „Imperator wszechrossijskij, car polskij, wielikij kniaź litowskij, inflantskij, kurlandzkij i proczaja i proczaja" (swołocz",— jak zwykł kończyć ze splunięciem Dziadek — rzucił pomiędzy egzotycznych Czukczów czy Samojedów młodych Dolidowiczów, którzyby na pewno przez życie cała niechętnie opuszczali granice grodzieńskiego powiatu. Przez niego życie w nędzy zakończył na dalekiej wyspie Jersey u brzegów Wielkiej Brytanii Rajmund Kaleczycki, z listopadowej jeszcze generacji, o którym mówiło się, że był „czerwony" i hardy, jak kniaź.

„Jewo Imperatorskoje Wieliczestwo" sankcjonowało swym imieniem

„wilczy bilet“, z którym wuj Ładyś opuścił IV warszawskie gimnazjum. On także sprawił mocą swych zakazów, że wuj Ludwik „Polaczyszka“ musiał zakończyć studia uniwersyteckie w Warszawie stopniem „kandydata“ nauk filologicznych, choć w Krakowie na pewno dostałby doktorat.

On wreszcie, co przekonywało mnie ostatecznie — nie pozwalał nosić publicznie ślicznej broszki z orzełkiem, którą p. Rouppertowa przywiozła mi z Zakopanego, ani chwytać się za guzik na widok przechodzącego popa.

Jakąż skromną satysfakcję dawało to, co wolno było robić w czterech ścianach mieszkania: mazanie kolorowymi ołówkami podobizn carskiej familii w starych „Tygodnikach“ i „Kłosach“. . . . Car bowiem miał rodzinę, miał żonę, córki i synów — a przynajmniej syna, który stawał się nieuchronnie kontynuatorem zła i krzywdy i nie przestawał nim być wtedy nawet, gdy zdechł (-car nie mógł umierać), bo zmiana na tronie nie oznaczała końca dynastii, ani, jakby się dziś rzekło, „reżimu“.

Car właśnie, ściślej Aleksander II Romanow winien był temu, że babka moja żegnać się musiała pośpiesznie i na zawsze z tym, co było jej najdroższe — z Niemnem.

— A dlaczego Babcia musiała się śpieszyć ? — pytałam ciocię Jadwinię, zwijając w kłębek cieniutki kordonek, z którego powstać miały w przyszłości jakieś wiktoriańskie w swej brzydocie „ząbki“. Lampa naftowa, zawieszona nisko nad stołem dadalni, rzucała jasny krąg światła, w którym bez przerwy migotało szydełko w niestrudzonych rękach ciotczynych. W piecu trzaskało wesoło suche drzewo sosnowe, z uchylonych drzwiczek kredensu buchał zapach świeżych lukrowanych pierników, a na stole piętrzyły się stos łupin od orzechów, tych dobrych, z dużego drzewa koło parkanu.

Siwizna rozjaśniła włosy, sieć drobnych zmarszczek otoczyła oczy, cera zwiędła i przybladła. Nie widziałam jednak tego nigdy. I dziś wspominam Ciocię Jadwinię tak, jak ją wyobrazić sobie może niejeden z czytelników tych słów. Ona to bowiem, wsparta „na świetnym zimnym rycerza ramieniu“ przechylała się — „jak żywa“ — ruchem pełnym afektacji w łagodnym cieniu piór hełmu Wacława na popularnej ilustracji Andriollego do „Marii“. Artysta, serdeczny Dziada mego przyjaciel, rysy jej i całej zresztą czeredy odtwarzał i powtarzał wiernie i tak często, że przeglądanie zbiorowego wydania jego książkowych ilustracyji mało się różniło od wertowania pluszowego albumu ze starymi fotografiami rodzinnymi.

— A dlaczego Babcia tak się śpieszyła — nudziłam ciotkę po raz Bóg wie który. Historię pożegnania Babci z Niemnem znałam na pamięć, ale czekałam na opowieść z tym samym dreszczem, z jakim się czyta np. po raz setny opis pojedynku Bohuna z Wołodyjowskim.

Myślę, że nie zapomniałam niczego, żadnego szczegółu od owej chwili, gdy w Jekientanach zjawił się żandarm carski, przypominając, że wyjazdu już dłużej odwlekać nie można. Babcia, działając pod nakazem prymitywnych i tajemniczych sił postanowiła zbiec jeszcze nad Niemen i wody zaczerpnąć z przyrembla do małego flakonika od perfum, by zabrać ją jako talizman przeciw złej doli. Droga była niedaleka i w lecie łatwa do przebycia : z wysokiego brzegu wprost w dół ku rzece. Ale dzień był zimowy i wietrzny. W gaju brzozowym, gdzie dopiero za kilka tygodni otworzyć się miały lepkie pąki, gałązki były lekkie, bezlistne, powolne porywom wiatru. Siekły biedaczkę, jak bicze, bo gaj był gęsty a ścieżka wąziutka, dla swoich tylko, wijąca się przemyślnie wśrod zarośli. Dalej zaczynały się berberysy i kolące dzikie akacje, uczepione na stromym zboczu. Chwytały się rozwianych pół salopki, opierały obręczom krynoliny, hamowały pośpieszne kroki. Lód przygłuszył bieg rzeki, uspokoił wiry wśród kamieni. Matowy był i brudny, zarzucony zeschłymi liśćmi i ruchomymi diunami sypkiego śniegu. W dole, u końca wydeptanej ścieżki — tropu raczej ludzkiego — otwierał się czarny przyrembel. Babcia pochyliła się

nad nim i zgrabiałą z zimna ręką zanurzyła flakonik w czeluści. Wtedy właśnie usłyszała cichutki brzęk: jakiś malutki przedmiot odbił się o brzeg przyrembla i znikł pod wodą. I dopiero później, już w domu, okazało się, że misterne koralowe serduszko oderwało się od złotej oprawki i uderzywszy o lód, jak młoteczek krasnoludków, zatonęło w wodach niemnowych. Pozostał tylko cieniutki złoty łańcuszek i oprawka wisiorka, delikatny wenecki filigran.

— Pokaż mi go, Ciociu — molestowałam natarczywie, dopóki nie otworzyło się wieko starej szkatułki, którą Izabelka Soplicówna darowała mojej matce. Skarby, gromadzone przemyślnie w moim piórniku i w kieszeniach braci, niczym były wobec zawartości tej czarodziejskiej skrzynki. Z kilkudziesięciu przegródek, różnych kształtów i głębokości, wyglądały motki spłowiałych jedwabi, malutkie srebrne naparstki z denkami z „prawdziwych" turkusów, pachnące ziarnka różańców, próbki robótek szydełkowych, barwne koraliki i sczerniałe laski laku. Jedna ze ścianek była ruchoma i po wysunięciu odsłaniała maleńką zakonspirowaną szufladeczkę, w której schowane były talizmany: łańcuszek i flakonik. Wody w nim już dawno nie było, ale zawsze wydawał mi się zimny, jak w ów straszny dzień, gdy Babcia przekraczać miała Niemen po raz ostatni.

Bo nie widziała go już nigdy w życiu. „A Wisła — mawiała — choć się do niej przyzwyczaiłam, to nie to". Ale prowadzała nad nią dzieci i te lepsze wileńskie i te gorsze warszawskie. I ciotkę Marylę, obrzydliwie zwaną po warszawsku Mania, i najmłodszą z czternaściorga matkę moją która dla „Litwinów" była Antosią a dla „Koroniarzy" Tolą lub Toleńką. Wędrowały Starym Miastem ku rzece, by wysłuchać lekcji poglądowej.

— Tu rzeka płynie, nie płynie, a piasku w niej więcej, niż potrzeba. Na tratwę godzinami czekać musisz, a gdy się wreszcie pojawi, ludzie na niej markotni, do niczego niepodobni. W głowie im tylko, żeby mosty minąć i do obiadu się zabrać. A u nas tratwy płyną i wiciny i baty i końca nie widać, skwarkami pachnie na obu brzegach, aż psy szczekają. A nikomu się nie śpieszy, bo i tak do Balli przed nocą trafi. . . .

Tu wypadło przerwać, bo zmierzch właśnie zapadał i złota smuga odchodzącego słońca kładła się na nieruchomej wodzie wiślanej. Z mroku wypłynęła wielka krypa o postrzępionych żaglach i wolno, majestatycznie, wielkim czarnym cieniem przesunęła się przez poświatę zachodu.

— Mamo, przecież i tu na Wiśle pięknie—o patrz, jak pięknie pisnęła nieśmiało „gorsza" warszawska córka.

— A ładnie, ładnie — odpowiadała niechętnie wyrwana z zapatrzenia Babcia. — Dla Mazurów nawet za ładnie, bo ślepi się rodzą i o świecie szerokim pojęcia nie mają. Ale późnowato już i na wieczerzę czas.

Wracała jakby senna, zamknięta w sobie, pochłonięta rozpamiętywaniem spraw niezmiernie trudnych do ujęcia w słowa. Jak wytłumaczyć, że tęskni za lodowatym zimnem źródełek, bijących spod żwiru przy brzegu naprzeciw Hrymiaczki, gdzie wąwóz urwisty schodzi ku rzece, zwężającej się nagle za Pyszkami, szumiącej i kłębiącej się na wielkich głazach granitowych, na rapie Grzmiącą zwanej? Jakąż wartość ma tu, w Warszawie, pamięć głazów podwodnych, złych „usów", od których rozchodzą się z biegiem wody dwa prądy na podobieństwo wąsów? Jak przyznać się, że brak jej zapachu smoły i pakuł i mokrych „włóków", suszących się po połowie w Balli Solnej, gdzie płótno było najcieńsze i najwonniejszy majeranek. Że nie słyszała od tak dawna plusku wielkich kiełbi, rzucających się na powierzchni w ciszy zachodu, po dniu długim, upalnym, czerwcowym?

Nie mówiła o tym nigdy z obcymi. Ale myśl jej pracowała nieustannie, by niczego nie zapomnieć, by niczego nie zniekształcić. Przybywających z Litwy pytała o rzeczy dziwne: o pliszki-bibiki pod Kownianami, o ziemne jaskółki — bierahulki, gnieżdżące się na wysokim brzegu, o wielkie

jarzębiny w Grądziczach. Mówiono, że zdziwaczała, bo z czasem były to dla niej sprawy ważniejsze od ludzkich narodzin i zgonów.

Zmarła nagle w styczniowe południe, gdy sobotni promień słoneczny — promień Matki Bożej, suszącej Dzieciąteczku pieluszki zajrzał do pokoju. Rankiem czuła się dobrze i krzątała, jak zawsze, okurzając fotografie i drobiazgi na komodzie. Półgłosem nuciła: „Za Niemen, za Niemen i po cóż za Niemen . . ." — potem nucić przestała — i umarła. . . .

Mówiono, że lepiejby jej było spocząć na zawsze pod brzozami nadniemeńskiego cmentarza. Ale dawno już nie było pod Grodnem nikogo z jej bliskich, dom spłonął od pioruna, a ziemię przykupił zbogacony sąsiad. Została więc na zawsze w mogiłce pod kujawskim świerkiem. Czemuś jednak wydawało mi się zawsze, że grób jest pusty i że przecież — jakoś powróciła do swoich — nad Niemen, bo władza Cara nie sięgała do świata umarłych.

* * *

Potem minęło lat dwadzieścia pięć. Ćwierćwiecze. To pierwsze, najłatwiejsze do przeżycia, wypełnione dzieciństwem i młodością, szkołą i uniwersytetem. I dom był nowy, mój już własny, z oknami na Królikarnię i wieżyczkę Czerniakowskiego kościoła. Znowu w jadalni nisko zwieszona lampa rzucała jasny krąg światła na stół. A obok, w sąsiednim pokoju na wielkim kreślarskim stole powstawały plany łodzi, poplątane pajęczyny kresek, na wielkich arkuszach kalki.

W długie styczniowe wieczory, gdy lód narastał w najlepsze na rzekach, okazywało się nagle, że ustalenie trasy przyszłej wakacyjnej włóczęgi wodnej jest już sprawą niecierpiącą zwłoki. Oczy biegły same ku mapie dróg wodnych, na biurku pojawiały się przypadkiem sztabowe setki. Trasa była długa, a urlopy — jak zawsze — zbyt krótkie. Postanowiliśmy jednak, że tym razem nie będziemy się zatrzymywali ani pod Zegrzem, ani na Kurpiach. Że nie znęcą nas miętusy na Biebrzy, ani sielawy w Augustowie, ani nawet ciepły piasek nad Mikaszewskim jeziorem. I że dojedziemy wreszcie do celu — na Niemen.

Myślę jednak, że i teraz nie chodziło mi o wielki Niemen, biegnący w zawiłych serpentynach ku morzu. I nie o „domową" rzekę Mickiewicza, „błękitny" Niemen pośród pagórków leśnych", „pośród łąk zielonych", którego piękno zachwiać potrafiły wspomnienia szkolnych deklamacyj. A taki właśnie, jak najdoskonalsza dekoracja do „Pana Tadeusza" wyłonił się spod czarnych dębów w Niemnowie i trwał leniwy, niebieskawy, w nudzie skwarnego popołudnia. Chmurki były na niebie, biały dworek na przeciwległym brzegu, a coś, co różowiło się w oddali, odpowiadało doskonale mojej niepewnej znajomości dzięcieliny.

Czułam się nieswojo, jak oczytany turysta po przybyciu do Wenecji: oto gondole, oto Bartholomeo Colleoni zastygły w patetycznym geście, oto San Marco i gołębie, a wszystko stłoczone, jak na kartach przewodnika. . . .

Zbieżność rzeczywistości z obrazem wywołanym przez lekturę była aż męcząca w swej doskonałości. Trudno mi dziś zrozumieć uczucie jakby zawodu, którego nie mogłam pohamować w tej chwili. Pięknie tu było, bardzo nawet pięknie, ale rzeka płynąca przed nami nie była „moim" Niemnem.

Patrzyłam z mostku, nad wrotami starej śluzy, tak jak się patrzy na Wisłę ze stanisławowskiego śpichrza u ujścia Bugu. Tu zaczynał się kanał Augustowski i tratwy, spływające z puszcz nadniemeńskich, te same, które mijać będą Modlin w drodze do Gdańska, czy Bydgoszczy, czekały właśnie na śluzowanie.

Jakże mało ludzi w Polsce znało urok starych śluz augustowskiego kanału! — Wrota dębowe sczerniały od słońca i wody, czerwonawe porosty wgryzły się w kamień murów i zamazały kontury napisu na tablicy

ponad wielkim żelaznym pierścieniem. Czytamy cierpliwie, wyrywając przeszłości literę po literze: „Budował porucznik inżynierów Lelewel. 1829". On także, nim go losy na tułaczkę polistopadową rzuciły do Szwajcarii, gdzie śluzy już obcym budował, on właśnie, brat wielkiego Joachima, dęby kazał sadzić przy śluzie, dziś rozrosłe w stuletnie olbrzymy w koronach gniazd bocianich, szumem potężnych konarów wtórzące wodzie, przelewającej się uczenie przez zastawki. Trudno o piękniejszy pomnik dawnej twórczej polskiej inżynierii!

Łódź nasza opada z komory do komory w trzech piętrach śluzy, idąc tratwom naprzeciw. Chwyta nas wartki nurt Niemnowy, pieniący się raz do raz zdradliwie na wielkich podwodnych rapach. Nikną zielone pagórki, brzegi urywają się raptownie stromą białą ścianą, pełną gniazd „bierahulek". Płyniemy krętą „drogą", wypatrując „warów" — witek wiklinowych, chyboczących się na mieliznach i słomianych „wianków" na brzegach. Rzeka jest niemal bezludna i wielkim jest zdarzeniem, gdy w miejscu szczególnie kamienistym i spienionym mija nas wielki statek — „Jagiełło" oczywiście, poruszający całą wodę w rzece swymi kołami.

Brzegi tracą łagodne kontury, nie są już sielskie i wesołe. Z małej wysepki, porośniętej jeżynami i berberysem zrywa się spłoszona czapla i śliczne ptaszki, do pliszek podobne, które — serce mi to mówi — muszą być babcinymi bibikami. Zmrok zapada. Przybijamy na nocleg do brzegu, nad którym przechylają się drzewa o korzeniach, podmytych przez wodę, wyżej stroma ściana, o kilkanaście kroków—zielona szczelina parowu. Łódź szoruje dnem po żwirze, trzeba wyciągnąć ją na ląd.

Sprawdzamy na własnej skórze uczciwość pisarską Mickiewicza. Nagrzaną od spiekoty rzekę oddziela od brzegu strużka lodowatej wody: to biją spod żwiru „zdroje", z których czerpały „niemowlęce dłonie" Mickiewicza.

Zmierzch tymczasem zapadł, a Niemen stał się płowy i jedwabisty, jak lniana ładowa tkanina. Jaskółki ocierały się skrzydłami o falę, brzęczały roje muszek, z pluskiem rzucały się nad powierzchnię wielkie srebrne ryby. Zasnął widać szczupak Strukis, który więził je na dnie złą siłą czarów. . . .

Tratwy zatrzymały się na noc — płoną na nich ogniska — warzy się strawa w saganach. Z leniwego pomruku ledwo wybijają się słowa najdziwniejszej orylskiej pieśni, z pod Wizny tu chyba zawleczonej:

„Hej, pójdziemy, bracia, rzeczki horodzici,
Hej, łom-daj-nam, — rzeczki horodzici,
Zagrodzim rzeczkę drobnym krzemieniuszczkiem,
Hej, łom-daj-nam — drobnym krzemieniuszczkiem,
Drobnym krzemieniuszczkiem i rydzym piaseczkiem,
Hej, łom-daj-nam, — i rydzym piaseczkiem. . . ."

Patrzymy w czarną, lśniącą rzekę, w gęsty, zapadający mrok. Wreszcie komarom na przekór, starym harcerskim nawykiem,—ale wolno, nie śpiesząc się, — bo i po co? — układamy kunsztownie gałęzie na nasze własne ognisko. Palą się igły jałowca, dym bije niebieskawy, gałązeczki czerwienieją, świecą — i rozpadają się w sypkie trobiny żaru. Teraz dopiero małe języczki płomieni ogarniać zaczynają grube gałęzie brzozowe — dar sąsiadów — oryli. Z sykiem skręca się kora, bronzowieje i czernieje opornie — wreszcie rozpala się najjaśniejszym płomieniem, — świętym blaskiem, w którym pono przyszłość czytać można o północy.

Z czarnych czeluści mroku wypływają jeszcze czarniejsze czółna ciągnące za sobą włók. Mijają nas, płynąc bezszelestnie z prądem. Czarne cienie ludzkie niewidocznymi poruszeniami wioseł utrzymują się na drodze nurtu, gdzie beztroskie leszcze i kiełbie płyną w górę rzeki.

A potem staje się jeszcze ciszej i ciemniej. Gaśnie daleka pieśń, zamiera plusk wioseł, jakby jeden po drugim milkły instrumenty wielkiej orkiestry,

pozostawiając tylko cichy akompaniament harfy i maleńkich srebrnych dzwoneczków.

Wisła szumi inaczej: szeroko, monotonnie, majestatycznie. Niemen dźwięczy i dzwoni, szeleści wśród żwirów, szuka dróg wśród kamieni, — i pełen jest niepokoju.

Myślę, że szumi od wieków tak samo i że tego właśnie, tej melodii jego fali brak było Babci na Kujawach. Że weszła ona w rytm oddechu i bicie serc i tych dawnych generacyj, których kości tu właśnie obróciły się w szary pył podglebia i dzieci ich, przemocą wydartych tej ziemi — i nas, ich potomków.

I nie jest ważne to, że dom spalił się od pioruna, a nazwa sadyby znikła z mapy i pamięci ludzkiej. To mogło i musiało być tutaj: tu właśnie koło Bobrowego Jaru, opodal Balli Solnej, z brzegu wysokiego biegła ku rzece Babcia i tu nad serduszkiem z koralu zamknęła się czarna fala niemnowa z tym samym, co i dziś szumem.

Stanmore, luty 1943.

STANISŁAW BALIŃSKI

DO POETY GRECKIEGO

Pozwól poeto grecki spojrzeć, niegodnemu,
W twoją twarz ocienioną milczeniem kolumny
I odkryj mu na chwilę, burzą wezbranemu,
Twój spokój doskonały i uśmiech rozumny:

Nim zachód karminowy nie zgasi twej twarzy,
Co bieleje na maskach doryckiego nieba,
Pokaż mu, jak się cierpi, kiedy się nie marzy,
I jak gardzić cierpieniem, gdy żegnać się trzeba.

Kształt kolumn go nie cieszy, czar słowa nie pieści,
Kształty można kopiować czulej i goręcej,
A słowom nadać tysiąc najwznioślejszych treści. . .
On tego piękna nie chce. On prosi o więcej.

On wzywa cię o sekret, co przezwyciężywszy
Potęgę namiętności bijących o skronie,
Sięgnął po nasycenia firmament najwyższy
I wolny od tęsknoty. Odkryj mu Harmonię.

Daj mu wspiąć się na stopnie twej doskonałości,
Za którą nie nadąża, dążąc do swych progów,
I pokaż na kamieniach boskiej samotności
Ślady — nie jego Boga — ale twoich bogów.

Nie zasłaniaj się gwiazdą, jak berłem dalekiem,
Ani słowem, co blaskiem płynie z twoich powiek,
Ale nachyl się nad nim, — i że jest człowiekiem,
Daj mu jeszcze zapomnieć, nim umrze jak człowiek.

STEFAN THEMERSON

WYKŁAD PROFESORA MMAA
(FRAGMENT POWIEŚCI)

Pierwszą osobą, jaką prof. Mmaa spostrzegł po przekroczeniu progu Akademii, była właśnie zaginiona „Moja Stara". Stała sobie w dziedzińcu uniwersyteckim i własnym abdomenem karmiła spokojnie doktora Ćwierciakiewicza.

Oburzenie i gniew odebrały mowę prof. Mmaa. Stał, nie poruszjąc się i patrzał. Dopiero kiedy Ćwierciakiewicz, mlasnąwszy głośno i poklepawszy antenką Moją Starą po abdomenie, odszedł, prof. Mmaa chrząknął i zwrócił w ten starożytny sposób uwagę na siebie. Moja Stara niespeszona, przeciwnie, uradowana podbiegła do profesora.

— Może pan być dumny ze swojej starej, panie profesorze. Doktorowi bardzo smakowało. Powiedział, że kiedy on będzie na czele, wszyscy będą mieli w abdomenie ciernie strawione na Trichonymphae Campanulae.



Prof. Mmaa nie mógł znaleźć słów, któreby godnie potrafiły wyrazić jego oburzenie. I prof. Mmaa milczał, a Moja Stara, nie widząc burzy, wezbraną falą elektronów ściągającej na wyprężone antenki profesora, brnęła dalej :

— Ach, żeby pan profesor wiedział, jak cudownie jest nakarmić własnym abdomenem przyszłego zbawcę, bojownika o sprawiedliwość, wskrzesiciela !

Tego było za wiele. Wydawało się, że iskry elektryczne trysły z macek prof. Mmaa, gdy krzyknął :

— Gołębia ! Gołębia ! Gołębia, powiedz raczej ! Gołębia, którego wyhodujesz, wykarmisz własnym abdomenem i który, gdy opierzy się tylko, łeb ci wydziobie. Tobie i innym idiotkom.

— To nie on jest gołąb !—odparła z godnością Moja Stara, to durchfreudy są gołębie, które wydziobują nasze abdomeny. Jak się ich usadzi, to starczy cierni dla wszystkich. Tak powiedział doktór. A doktór jest Termit i Termit nie mógłby być tak przewrotnym gołębiem.

— Nawet taki termit, który wykonywał sekcję homo i który pożarł całą jego substancję skojarzeniową ?

— Tymi samymi szczękami, którymi ssał mój abdomen ? — zaniepokoiła się Stara.

— Oczywiście !

— To nieprawda ! To nieprawda ! Ja nie pozwolę nikomu obrażać ani siebie ani jego !

— A więc idź już, idź do wszystkich. . . . — prof. Mmaa podniósł głos bardziej jeszcze a bezstronny kronikarz miał już raz sposobność zanotować, iż prof. Mmaa nie lubił podniesionego głosu nawet u innych, więc też prof. Mmaa ucichł natychmiast, położył antenkę na głowie swej mamki i rzekł :

— Moja Stara, jesteś rzeczywiście stara i doświadczona jako kucharka. Ale jako orientacja polityczna, nawet przy mnie, jesteś jak zasmarkana nimfa, która dopiero co wyszła z larwowatych pieluch.



— Ach. . . . !

— Co za „ach ! " znowu ?

— Ach ! — powtórzyła Moja Stara głosem drżącym ze wzruszenia — po raz pierwszy, po raz pierwszy pan profesor powiedział, że jestem jak nimfa ! O, Istoto Najgłębsza ! O, Istoto Najpłytsza! Jak bardzo wyczekiwałam tej chwili ! I po raz pierwszy pan profesor położył antenkę na mej głowie ! W panu profesorze jest coś, jest coś . . . królewskiego ! Czy pan profesor myśli, że gdyby we mnie było coś, coś z infantki, to. . . .

— To co ?

— To nic . . .— odrzekła Moja Stara, spostrzegając z daleka Niebylejakiego i krzywiąc się doń grymasem pełnym najgłębszej pogardy.

Niebylejaki zbliżył się i, stanąwszy między profesorem a mamką, spytał :

— Czy pan profesor będzie miał wykład ?

— Naturalnie, a bo co ? — zdziwił się prof. Mmaa.

* * *

„Szanowni Państwo ! " — zaczął prof. Mmaa i urwał. Ileż to razy powtarzał już z tej samej katedry te same konwencjonalne słowa : „Szanowni Państwo ! " — „Szanowni Państwo ! " — powtórzył prof. Mmaa i nagle zastanowił się nad tym, kto to właściwie są ci „Szanowni Państwo". Oparłszy się na szeroko rozstawionych przednich nogach, wyciągnął głowę naprzód i patrzał. Kronikarz użył słowa : „patrzał", ale wszyscy rozumieją przecież, że chodzi tu o zarejestrowanie nie tylko pobudek świetlnych, ale i zapachowych, słuchowych, cieplnych, wilgotnościowych, wiewnych, itd., itd. ; że chodzi o tych wszystkich, wysyłanych przez przedmioty materialne komiwojażerów, pachciarzy, których Demokryty i Epikury przyodziewały w małe mundurki ambasadorskie materii ; o tych wszystkich pośredników, o których Descartesy, Locki i inne Złe Gałęzie puszczały plotki, że są na utrzymaniu i u Materii, którą reprezentują, i u Umysłu, któremu składają raporty; o tych wszystkich zatem posłów, którym Berkeleye zapewniały natychmiastową audiencję na dworze Umysłu oraz szlachetny tytuł *idei.*

Prof. Mmaa nie uznawał tego szlachetnego tytułu. Uważał tych wszystkich posłów po prostu za t.zw. *fizykalne bodźce,* i oparłszy się na szeroko rozstawionych przednich nogach i wyciągnąwszy głowę naprzód, udzielił im łaskawego przyjęcia, aby na podstawie reakcji fizykochemicznych, jakich dokonywały w czułkach jego zmysłów, wytworzyć w sobie to, co możnaby nazwać Ideą (tym razem przez wielkie I) tego, co tylekroć konwencjonalnie i nie myśląc, nazywał „Szanownym Państwem".

Szanowni państwo mieli podbite antenki, szanowni państwo mieli zwichnięte nóżki, szanowni państwo mieli posiniaczone thoraxki i powykręcane abdomenki, które starali się naprostować teraz właśnie, kiedy profesor rozpoczynał wykład. Ze zdumieniem prof. Mmaa zauważył, że Szanowni Państwo dzielą się na dwie grupy i że każda z nich dzieli się sama w sobie na podgrupy. Ze zdziwieniem prof. Mmaa skonstatował, że niektórzy z Szanownych Państwa, nie zważając na jego obecność, gestykulują zawzięcie i najwyraźniej wymyślają sobie od skaczących pcheł, a nawet od fruwających pierzoskrzydłych. Z przerażeniem prof. Mmaa stwierdził, iż Szanowni Państwo po prostu plują na siebie. Ze smutkiem profesor odkrył, iż niektórzy z Szanownych Państwa, zajęci własnymi sprawami, odwróceni są abdomenem do katedry. I z niepokojem prof. Mmaa zapytał sam siebie — czy tak jest zawsze, czy też zdarzyło się tak jedynie teraz ?

A ponieważ prof. Mmaa nie miał zwyczaju oszukiwać sam siebie, więc odpowiedział sobie : tak jest zawsze. A ponieważ nie miał również zwyczaju dyskutować z rzeczywistością, więc po prostu przyjął do wiadomości to swoje odkrycie. A że prof. Mmaa miał zwyczaj natychmiast wyciągać konsekwencje ze swych odkryć, więc, stuknąwszy donośnie,

zwrócił się do audytorium już nie swą stereotypową formułką: „Szanowni Państwo", lecz inną, o której myślał, iż bardziej odpowiada rzeczywistości.

— Kawalerowie i dziewice! — rzekł mianowicie prof. Mmaa.

Te nieoczekiwane słowa wywołały poruszenie na sali.

„Co powiedział? Co powiedział" — pytali sąsiadów ci, którzy odwróceni abdomenen do katedry, zajęci pluciem i gestykulowaniem, nie dosłyszeli słów profesora.

„Hi . . . hi . . . hi . . ." — zaśmiał się ktoś z głębi sali.

„Czelność!"

„Bezczelność!"

„Powiedział: ka-wa-le-ro-wie!" — sylabilizowali urągliwie stroszący się buńczucznie słuchacze.

„Powiedział: dzie-wi-ce!" — mówiły z oburzeniem studentki, starając się w braku pierwszych, wypiąć swe wtórne cechy płciowe.

Wreszcie ktoś zanucił „Modlitwę dziewicy" znakomitej kompozytorki Bądarzewskiej.

Prof. Mmaa nie zwrócił najmniejszej uwagi na tę reakcję audytorium i z całą powagą rzekł:

— „Les mortels sont égaux: ce n'est point la naissance.
„C'est la seule vertu qui fait la différence".

— Nieprawda! — rozległy się okrzyki z prawej półkuli sali: les mortels ne sont pas égaux! Bujda!

Prof. Mmaa przeczekał, aż do uciszenia się wrzawy i ciągnął dalej:

— Słusznie. Dwuwiersz powyższy jest prawdziwy jedynie ze stanowiska poetyckiego. Jest prawdziwy jedynie dlatego, ponieważ stanowi całość rytmiczną, tam gdzie trzeba, zaakcentowaną rymem. Poza tym, niestety, dwuwiersz ten nie mówi nam nic o rzeczywistości. Chyba, że o tej jej cząstce, którą niektórzy nazywają Voltairem, autorem tragedii o innej cząstce, zwanej Mahometem, czyli Tolerancją Fanatyzmu, tragedii poświęconej jeszcze innej cząstce rzeczywistości, nazywanej Benedyktem XIV. Mamy powody, by przypuszczać, iż gdyby ta cząstka rzeczywistości zwana Benedyktem XIV stworzyła tragedię cząstki zwanej Voltairem, czyli Fanatyzmem Tolerancji i poświęciła tę tragedię cząstce zwanej Mahometem, to cy owany przeze mnie dwuwiersz brzmiałby:

„Les mortels sont différents: ce n'est point la naissance,
„C'est la seule vertu qui fait l'egalité.

— Nieprawda! — rozległy się okrzyki z lewej półkuli audytorium — Les mortels ne sont pas différents! Bujda!

Prof. Mmaa poczekał aż do uciszenia się wrzawy i rzekł:

— Słusznie. Dwuwiersz powyższy nie jest prawdą poetycką, ponieważ nie jest zrytmizowany i zrymowany jak należy. Dwuwiersz ten nie jest słownym modelem rzeczywistości przyrodniczej, ponieważ będąc prozą zawiera w dalszym ciągu słowa poetyckie. Dwuwiersz ten jest jedynie prawdą gramatyczną. Jego prawda gramatyczna byłaby ta sama — gdybyśmy powiedzieli: „Przyrządy do regeneracji są gorzkie: to nie tapicerzy, lecz jedynie ogrodnictwo stwarza słodycz". Prawdy gramatyczne zaspakajają doskonale potrzeby estetyczne większości z nas. I dlatego prawdy gramatyczne są tymi idealnymi schematami, których wypełnianie tym, czy innym słownym materiałem emocjonalnym, jest specjalnością większości poetów, ministrów, oraz doktorów, którzy porzuciwszy naukę i przestawszy się jąkać, poświęcają się sprawom publicznym.

Cisza pełna oczekiwania zapanowała w sali, lecz prof. Mmaa nie wykorzystał jej tak, jak się spodziewano.

— Przenieśmy — rzekł — oba te dwuwiersze na płaszczyznę prozy naukowej i zastanówmy się: o co właściwie chodzi?

Pierwszy dwuwiersz brzmieć będzie:

„Śmiertelni są równi. To nie cechy wrodzone,
To jedynie cechy nabyte stwarzają nierówność!"

Drugi natomiast:

„Śmiertelni są nierówni. To nie cechy wrodzone,
To jedynie cechy nabyte stwarzają równość!"

I któryż z tych dwóch dwuwierszy ma większe pokrycie w rzeczywistości? Który z nich jest prawdziwszy? —

Pytanie profesora było pytaniem retorycznym, prof. Mmaa nie oczekiwał odpowiedzi na nie i dlatego zaskoczyła go tak bardzo burza, jaka nagle wybuchła w audytorium:

„Jedyną prawdą jest pierwszy!" — krzyczeli.

„Drugi!"

„Śmiertelni są równi!"

„Nierówni!"

„Wszystko jest nabyte!" — wołali ci, którzy uważali się za równych wyższym.

„Wszystko jest wrodzone!" — wołali ci, którzy uważali się za wyższych od niższych.

„Wro-dzo-ne! Wro-dzo-ne!" skandowali chóralnie zwolennicy cząstki przyrody, zwanej Benedyktem XIV.

„Na-by-te! Na-by-te!" — starali się przekrzyczeć ich zwolennicy cząstki przyrody, zwanej Voltairem.



— Kawalerowie i dziewice! — powiedział prof. Mmaa — Proszę o ciszę! To prawda, iż krzyk bywa nieodłącznym elementem działania się, elementem akcji twórczej, czy burzycielskiej, że towarzyszy wykłuciu z jaja i śmierci, że czasem przejść można do historii dzięki *wykrzyczanemu*: Eureka! raczej, niż dzięki samemu odkryciu prawa przyrody; ale krzykiem nie odnajduje się prawdy, krzyk nigdy nie był narzędziem, narzędziem pracy naukowej. Przeciwnie, najpierwszą zasadą metody naukowej jest, iż słowa, jakimi się nauka posługuje, mają zawsze tę samą wartość i ten sam sens, niezależnie od tego, czy zostały wypowiedziane ze wstrętem, czy z zachwytem, krzykiem, czy szeptem, głosem zduszonym, melodyjnie słodkim, czy lirycznym.

Dwa dwuwiersze w tej formie, w jakiej podałem je ostatnio, nie należą już do poetyki, a są hipotezami naukowymi. Który z nich jest słuszny, tego nie rozstrzygniemy nigdy krzykiem. Jedyną drogą jest. . . .

„Głosowanie!" — krzyknął ktoś ze sali.

„Tak głosowanie!"

„Głosujmy! Głosujmy!"

„Wszyscy zdrowo myślący głosują za pierwszym dwuwierszem!"

„Za drugim! Za dru-gim!"

„Czego się drzecie? Wy w ogóle nie macie prawa głosu!"

„Sami nie macie!"

„Za pierwszym! Za pierwszym!"

„Kury opierzone! Gęsi opierzone! Kaczki!"

„Sami jesteście kaczki! I . . . i . . . strusie!"

„Za drugim! Za drugim!"

Prof. Mmaa stukał długo podbródkiem o katedrę, ale na próżno. Stra-

ciwszy w końcu cierpliwość, podniósł głowę i najordynarniej w świecie gwizdnął. Słuchacze, którzy zapomnieli już byli o obecności profesora, spojrzeli nań zdziwieni.

— Kawalerowie i dziewice! — rzekł prof. Mmaa — Dyskusja nasza przypomina mi sprawozdanie naszego znakomitego Rudyarda Piklinga z jego podróży przez homoosiedle. W sprawozdaniu tym znajdujemy intresujący fragment poświęcony pewnej homowsi, której mieszkańcy ustalili przez głosowanie, że Ziemia jest płaska.

„To obraza!" — rozległy się okrzyki.

„Już drugi raz porównywa nas do homo!"

„Co za czelność!"

„Co za bezczelność!"

„My nie pozwolimy się obrażać!"

„Tfu! Tfu! Tfu! — pluli przed siebie, na ziemię i wrzawa rosła bezustanku i wydawało się, że lada moment zaczną pluć w stronę katedry profesora.

W tej chwili właśnie ukazał się w auli Rektor Alfa. Nie wszyscy go poznali, był bowiem jedną z osób, jakie najrzadziej widywało się w Akademii. Zasługą Rektora Alfy było to właśnie, iż najrzadziej widywało się go w Akademii. Ileż setek kurantów wypachniał był biochemiczny zegar od chwili, w której Alfa, wybrany rektorem, postanowił porzucić naukę i oddał się całkowicie sprawie Almae Matris; wyhodowawszy postpolimorficznie drugą parę macek, doprowadziwszy ich chwytliwość do perfekcji, cały swój czas poświęcał Rektor Alfa na walki z ministrem Kultu i Kultury, walki o budżet akademicki. Nic dziwnego zatem, że Rektor Alfa wiecznie nosił ślady bójki na sobie, a za sobą ślady zapachu białej pupki, która była ulubioną pupką ministra. I jeśli ktoś może służyć za przykład, iż jednak, wbrew pozorom, nawet w Akademii nie połysk zewnętrzny zdobi termita, to chyba właśnie Rektor Alfa, cieszący się wokoło szacunkiem jak największym.

W ciszy, jaka zaległa audytorium, słychać było drobny krok rektora, zmierzającego wprost do katedry.

Prof. Mmaa stał w nieruchomym oczekiwaniu.

Kiedy Rektor zbliżył się i, uścisnąwszy antenkę profesora, szepnął mu cicho słów kilka do wyrostka słuchowego, prof. Mmaa odsunał się dwa kroki w bok, ustępując swe miejsce Rektorowi.

Rektor Alfa stanął więc na miejscu prof. Mmaa i rzekł głosem uroczystym:

— „Kochana młodzieży!"

A potem, w zupełnej ciszy, oznajmił:

— „Jej Królewska Mość przestała składać jaja".

Audytorium znieruchomiało, zamarło. Wydawało się, iż Sześciostopa Bogini Historii przesunęła się tuż obok, pozostawiając za sobą zapach więdnących liści akantu. Ta przejmująca cisza trwała długo i jeden koniec wielkiego zegara biochemicznego zdążył postarzeć się, a drugi koniec odrodzić o całych pięć chwil milczenia, kiedy Rektor Alfa wzniósł stereotypowy okrzyk:

— „Niech składa jaja Królowa!"

— „Niech składa jaja Królowa!" — odkrzyknęło audytorium i wydawało się, że jednocześnie tuż obok, zabrzmiał bohaterski krok nigdy nie ustającej Szesściostopej Bogini Historii, i że zapach więdnących liści akantu ustąpił miejsca pełnemu życia zapachowi rozkwitających Xylaria Nigripess

Równocześnie Rektor Alfa ustąpił miejsca prof. Mmaa, i szybkim krokiem, przemierzywszy audytorium, pośpieszył znów do Ministranta Kultu i Ministra Kultury, aby wybadać, czy nowa sytuacja Królewskiej Sali Połogowej nie stworzy możliwości pomyślnych dla budżetu Akademii.

— La séance continue — powiedział prof. Mmaa — Na czym tośmy skończyli ?

Bynajmniej nie retorycznie pytał tym razem, lecz nikt mu nie odpowiedział.

— Na ostatnim wykładzie — rzekł więc — mówiliśmy o homogrupach statystycznych. Ze sprawą grup statystycznych łączy się ściśle zagadnienie cech wrodzonych i cech nabytych ; wspominałem o nich państwu, cytując dwa dwuwiersze, co w następstwie wywołało burzę, świadczącą, iż nie wszyscy z państwa zrozumieli, iż chodziło mi wyłącznie o *homo*cechy wrodzone i *homo*cechy nabyte, o *takie* cechy zatem, do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem. —

Lecz widocznie na owej wstędze (którą jedni zwą diderowatą wstęgą Kubusia Fatalisty, inni zaś-jednopowierzchniową płaszczyzną Moebiusa) napisane było, że prof. Mmaa, tym razem, nie będzie kontynuował spokojnie swego wykładu, bo oto nagle, przy akompaniamencie sześciu nóg Drugiego Asystenta prof. Ducha, sześć bohaterskich nóg doktora Ćwierciakiewicza wykonało rytmiczny i podnoszący serca marsz ze środka audytorium do katedry.

— „Bracia! — wykrzyknął dr. Ćwierciakiewicz, stając między prof. Mmaa i audytorium. Jakto być może ?! Dzieją się rzeczy wielkie! Dzieją się rzeczy niezwykłe! Dzieją się rzeczy, które zmienią oblicze świata! Dzieje się Historia! I cóż ta Historia napisze o nas ? Że w czasach, w których działy się rzeczy Wielkie, że w czasach, w których działy się rzeczy decydujące, że w czasach, w których życie tworzyło sobie nowe, rzetelniejsze, uczciwsze, większe formy istnienia, że w tych czasach przełomowych dla globu ziemskiego, my, jego elita, młodzież naukowa, siedzieliśmy głusi, ślepi i nieczuli na powierzchni rozszalałego wulkanu i słuchaliśmy — czego ? Wezwania do czynu ? Do działania ? Wezwania do bohaterstwa ? Do walki o nowe formy życia ? Do walki o walkę z rozkładem ? Nie ! Słuchaliśmy niezwiązanego z dziejącą się żywą rzeczywistością abstrakcyjnego wykładu prof. Maa — o czym ? O walce o nowy porządek świata ? O niebezpieczeństwie hodowania grzybków nigripes poza abdomenen ? O ratowaniu cywilizacji? Nie ! Historia napisze, że wtedy, gdy świat się przemieniał, myśmy uznali za stosowne spokojnie sobie obarczać naszą substancję skojarzeniową wykładami o . . . mammiferze ! O homo ! ! ! — Bracia, nigdy, nigdy nie dopuszczano mnie do przemawiania w tym wielkim audytorium. Pamiętacie, niedawno jeszcze, po wypowiedzeniu kilku słów zaledwie, przerwano mi. Dlaczego ? Bano się ! Czego się bano ? Że powiem tak właśnie, jak powiedziałem, że powiem : Bracia ! Jakimi słowami odwoływano się dotąd do was z katedry ? Ową formą ptasią : „Szanowni państwo!“ Lub owym najnowszym wynalazkiem profesora. . . .

— Kawalerowie ! — rozległo się w sali.

— Dziewice !

— Lecz ja, — ciągnał dalej Ćwierciakiewicz — ja wiedziałem, wiedziałem, że nadejdzie, że nadejdzie chwila, i że w tym właśnie, w tym właśnie wielkim audytorium zawołam kiedyś do was jedynym słowem godnym nas wszystkich, że rzucę wam hasło : bracia ! Dzieci jednej królowej, jednego króla, bracia studenci, abdomenowcy i rycerze ! Wiedziałem, że rzucę wam to hasło, że pójdziecie jak jeden termit !

Nigdy jeszcze wielki biochemiczny zegar Akademii nie był świadkiem tak wielkiego entuzjazmu.

— Pójdziemy ! Pójdziemy !

— Chodźmy ! Chodźmy !

Drugi Asystent prof. Ducha stanął na środku sali i krzyknął :

— Na moją komendę wszyscy bracia, dzieci jednej królowej, zbiórka .

Hurmem rzucili się za abdomen Drugiego Asystenta. Mała jedynie grupka pozostawała, gestykulując żywo w końcu sali na ścianie.

— A wy tam ? nie jesteście bracia ? Nie jesteście dzieci jednej królowej ?

— Jesteśmy ! — odkrzyknęli — Ale. . . .

— Niema ,,ale"!

— Tak, lecz. . . .

— Niema ,,lecz"!

— Oczywiście, jednak. . . .

— Niema ,,jednak"!

— Mimo to sprawa nie jest tak prosta, bowiem. . . .

— Sprawa jest prosta, jeżeli jest uczciwa ! Jesteście, czy nie ?

— Jesteśmy. . . .

— Więc jazda ! Na co czekacie ?

I mała grupka, ociągając się, zeszła ze ściany, by dołączyć się do reszty.

Inż. Anthelme Lukullus Savarin podszedł do dra Brillat — Ćwierciakiewicza i rzekł nieśmiało :

— Proszę kolegi, ja jestem z królowej babki, czy to. . . .

— To nic ! To nic ! — odpowiedział Ćwierciakiewicz — niech brat rusza za abdomen II Asystenta, który nie wiadomo czy nie będzie kiedyś ministrem interny, tak jak nie wiadomo, czy brat nie będzie kiedyś ministrem kultu i kultury. . . .

Inż. Lukullus Savarin odszedł, a wtedy Ćwierciakiewicz, rozglądając się, dodał :

— . . . i tak, jak nie wiadomo, czy brat-profesor-Duch nie będzie rektorem Akademii.

Do tylu rzeczy niewiadomych bezstronny kronikarz doda i to, że niewiadomo, czy prof. Duch ostatnie zdanie Ćwierciakiewicza dosłyszał, faktem jednak było, że po chwili namysłu, ruszył również z miejsca i stanął za abdomenem swego Drugiego Asystenta.

W tym momencie Drugi Asystent wykrzyknął : ,,Na moją komendę, pas des frères sixpèdes, za mną ! Pierwsza lewa, druga prawa, trzecia lewa, pierwsza prawa, druga lewa, trzecia prawa!" — Ruszyli naprzód i wydawało się, że to Sześciostopa Bogini Historii Termitów stąpa korytarzami osiedla.

* * *

W opustoszałem audytorium stał na katedrze prof. Mmaa. Stał nieruchomo, milcząc. A wtedy ze środka sali rozległ się głos :

— . . . ,,do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem".

— Kto tam ? — przeraził się profesor — A . . . to pan ?

Niebylejaki tkwił wciąż na swym dawnym miejscu.

— . . . ,,do których podesjść możemy z całkowitym obiektywizmem" — powtórzył.

— Co pan mówi takiego ?

— Podaję panu profesorowi urwany wątek : ,, . . . do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem", to były słowa, na jakich pan profesor przerwał wykład.

— A. . . . I sądzi pan, że będę kontynuował przy pustej sali ?

— Sala nie jest pusta — odrzekł Niebylejaki — Ja jestem. Ja przyszedłem na wykład i mam prawo żądać wykładu i pan profesor ma obowiązek udzielić mi mojej normalnej podwieczorkowej racji wiedzy.

— Tak . . . tak jest. . . .

— Zatem . . . ,,do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem"! I co dalej ?

Prof. Mmaa stał wciąż na katedrze. Spojrzał teraz w ziemię, rozgrzaną, promieniującą życiem ziemię, którą czuło się tak mocno pod wszystkimi sześcioma stopami, i rzekł :

— Jakże jestem szczęśliwy, że doczekałem wreszcie tej chwili, w której

okazuje się, że są jeszcze naprawdę głodni wiedzy, tak jak są głodni podwieczorku; w której żąda się, *żąda się* ode mnie podwieczorkowej racji wiedzy, tak jak żąda się od abdomenu mamki, podwieczorkowej racji strawionej celulozy. Aby doczekać tej chwili warto jest przeżyć, w trudzie przekołatać całe życie, tak, jak warto jest zjeść wszystkie dania, by doczekać się cierni, strawionych na Trichonymphae Campanulae, w abdomenie Mojej Starej. Dziękuję panu, panie kolego.

Niebylejaki czuł, że kulturalny termit pozwoliłby chwili takiej, jak obecna, upłynąć w milczeniu, lecz równocześnie wydało mu się, że takie niedopowiedzenie jest niegodne uświadomionego termita, i Niebylejaki spytał znów natarczywie:

— . . . więc", . . . do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem". I co dalej?

Prof. Mmaa przekrzywił bezradnie jakoś tak bardzo głowę, westchnął głęboko i po długim milczeniu rzekł:

— Widzi pan, panie kolego, na tym właśnie polega tragedia. Że kiedy oczekiwana chwila nadchodzi, towarzyszy jej natychmiast pytanie: i co dalej?

Niebylejaki skrzywił się. Takie zdanie byłoby być może na miejscu w abdomenie któregoś z egzemplarzy działu powieściowego biblioteki *dra* Sigismunda Kraft Durchfreuda, lecz wypowiedziane przez naukowca brzmiało ubogo i melodramatycznie.

A wtedy nieoczekiwanie, prof. Mmaa zeszedł z katedry i stanął przy Niebylejakim:

— Panie kolego — rzekł — czy wie pan jakie są losy Królowej, która przestała składać jaja?

— Pan profesor ma na myśli homokrólowę?

— Ba! Homokrólowa! Cóż za porówanie?! Homokrólowa jest wprawdzie także skazana na rodzenie potomstwa ,ale to całkiem co innego! Bezpłodna homokrólowa jest wprawdzie także przedmiotem wzgardy i poniżenia, lecz zdarza się to rzadko, ponieważ homokrólowi nie wolno jest poślubić samicy, którąby nie miała zadawalających świadectw lekarskich. I wystarczy, by homokrólowa wydała na świat jednego, lub dwóch samców, lub bodaj jedną, lub dwie samice, aby, zapewniwszy w ten sposób ciągłość rodu, móc spędzić resztę życia w czci, szacunku i poważaniu. . . .

Niebylejaki poczuł, że coś w tym wszystkim się nie zgadza.

— Ile jest właściwie homokrólowych na Ziemi? — spytał.

— Nie posiadamy, niestety, dokładnych statystyk. Sądzę jednak, że biorąc pod uwagę wszystkie królowe, królowe piękności, królowe midinetek, królowe szmalcu, królowe ropy i królowe sardynek, naliczyć ich moglibyśmy do tysiąca.

— Jak to być może — wykrzyknął Niebylejaki — by tysiąc królowych, składających po parę jaj, mogło zapewnić ciągłość dwom miliardom homosobników?!

— Panie kolego! Zapomina pan, że homokrólowe nie składają jaj, a są, jak wszystkie mammifery, żyworodne. Poza tym, zaznaczam, że homokrólowe zajmują się tylko i wyłącznie zapewnieniem ciągłości rodów królewskich. Natomiast ciągłość *właściwej* homocywilizacji spoczywa w abdomenach wszystkich homosamic. Albowiem wszystkie homoosobniki są, potencjalnie przynajmniej, zdolne do reprodukcji gatunku. W każdej chwili znajduje się na Ziemi około 60 milionów homosamic, noszących w abdomenie homosobnika. I tak, jak co pół sekundy królowa naszego osiedla składa jedno jajo, tak też, co pół sekundy zjawia się na świecie jeden homo novus skulony. Zadanie, jakim homospołeczeństwo obarcza 60 milionów abdomenów swych samic, nasza Królowa wykonywała aż do ostatniej chwili sama jedna. Uczcijmy jej pamięć! — i prof. Mmaa

skłonił głowę ku środkowi ziemi, promieniującej żywo ukrytymi w niej ciałami radioaktywnymi.

Niebylejaki skłonił również głowę, lecz zawarta w niej substancja skojarzeniowa burzyła się. Niebylejaki oczekiwał czego innego od prof. Mmaa, oczekiwał obiektywnego podania faktów, nie zabarwionych uczuciowo. Nie śmiał wprawdzie powiedzieć sobie, że się „rozczarował", ale wolałby żeby nie doszło do tej rozmowy, odkrywającej przed nim nieoczekiwanie nowe oblicze prof. Mmaa.

I Niebylejaki, nie bez złośliwości, powiedział:

— Gdyby pan profesor pomyślał o złożeniu hołdu królowej bezpośrednio po słowach Rektora, być może że nie doszłoby do tej Ćwierciakiewiczjady. . . .

Zdawało się, że prof. Mmaa nie dosłyszał uwagi Niebylejakiego.

— Na czymśmy to skończyli ? — spytał.

— „. . . do których podejść możemy z całkowitym obiektywizmem" — zacytował bez chwili wahania Niebylejaki.

Profesor pomyślał chwilę.

— Do jakich których ? Do kogo ?

Z kolei Niebylejaki zastanowił się głęboko. Kiedy stało się wkońcu jasne, że obaj nie pamiętają, co to jest to do czego podejść można z całkowitym obiektywizmem, prof. Mmaa powiedział:

— Jakże szczęśliwy musi być homo, który potrafi odkryte przez siebe prawdy utrwalać na cegłach assurbanipalskich, na papyrusach, na arkuszach celulozy, czy też na okrągłych płaskich dyskach kauczukowych, czyli tak zwanych „Ojra ! Ojra!" Prawdy utrwalone w ten sposób żółkną, blakną, kruszeją, lecz nie zmieniają się. My notujemy prawdy wydarte naturze w naszej, w naszej własnej substancji, która jest także cząstką natury żywej. Możemy starać się o to, by egzemplarze naszych bibliotek izolować, izolować od świata zewnętrznego i jego wydarzeń, ale sami, sami musimy brać udział w życiu, a wraz nami musi brać udział w życiu nasza substancja skojarzeniowa, i jakie stąd wielkie niebezpieczeństwo deformowania się prawd w niej utrwalonych !

— Czy pan profesor obawia się — spytał Niebylejaki — że wzruszenie wywołane aferą Ćwierciakiewicza może spowodować deformację prawd zawartych w substancji skojarzeniowej pana profesora ?

— Ćwierciakiewicza ? — zdziwił się profesor — Jakiego Ćwierciakiewicza ?

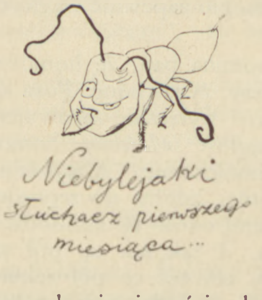
— No jakto ? Doktora . . . .

— A ! — przypomniał sobie profesor — Nie, skądże znowu !

— Więc co ? — spytał natarczywie Niebylejaki, i po chwili, podejrzliwie, z właściwym sobie młodzieńczym nietaktem, dodał: — Czyżby wiadomość o Królowej. . . . ?

A wtedy prof. Mmaa, zmieniając nagle temat rozmowy, rzekł trzeźwym głosem wykładowcy:

— Ad rem ! Panie kolego ! Ad rem ! Mówiliśmy o cechach dziedzicznych i o cechach nabytych. Niech pan, panie kolego, przeczyta sobie rozdział o nabywaniu cech dziedzicznych, takich jak hrabstwo, albo portfel akcji; rozdział o dziedziczeniu cech nabytych, takich naprzykład jak syfilis; i wreszcie rozdział o wylosowywaniu cech wrodzonych, takich jak pykniczność, asteniczność, atletyczność, dobroć, zezowatość i muzykalność ; jako też rozdział o zespole odruchów warunkowych, zwanych niewinnością, która będąc funkcją cech wrodzonych i nabytych osobnika, nie jest funkcją niewinności jego mamy i taty.



Poza tym niech mi pan rozwiąże do następnego wykładu zadanie następujące :

W pewnym homokraju żyje dwa tysiące homoosobników. Tysiąc z nich hoduje na zewnątrz swojej powłoki cielesnej kolonie mammiferów zwanych *krowami*, wewnątrz zaś swej powłoki cielesnej kolonie *spirochetów*, które są protozoonami (z tym że homo karmi je nie tak jak my — celulozą, a własnym swoim ciałem).

Drugi tysiąc homoosobników hoduje na zewnątrz siebie, w stawach, kolonie cyprinides zwanych *karpiami*, wewnątrz zaś swego ciała kolonie jednokomórkowców, zwanych *pałeczkami Kocha*.

Pierwszy tysiąc wydobywa z mammae swoich mammiferów wydzielinę, gruczołową, zwaną mlekiem ; po wyhodowaniu w nim pewnego rodzaju bakcyli i sfermentowaniu kazeiny, wytwarza t.zw. sery, którymi nadziewa swoje naleśniki. Stąd też ów pierwszy tysiąc homo nazywa siebie *naleśnikarzami.*

Drugi tysiąc homoosobników wydobywa ze stawów hodowane tam karpie, które po wypaproszeniu nadziewa z powrotem wypaproszonymi paprochami czyli t.zw. farszem. Stąd też ów drugi tysiąc homo nazywa siebie *farsiarzami*,—przy czym zwracam uwagę pana, że podczas gdy zwyczaj pożerania naleśników i zwyczaj pożerania farszu jest cechą dziedziczną pierwszego i drugiego tysiąca, to samo pożeranie naleśników i samo pożeranie farszu jest cechą nabytą poszczególnego naleśnikarza i poszczególnego farsiarza.

Biorąc pod uwagę, że : 10 procent naleśnikarzy jest na diecie i nie pożera naleśników, że 10 procent poza naleśnikami pożera także i farsze, że 10 procent nie hoduje kolonii spirochetów, że 10 procent poza koloniami spirochetów hoduje także i pałeczki Kocha, że 10 procent hoduje tylko pałeczki Kocha i że 10 procent pożera tylko farsze, — oraz, biorąc pod uwagę, że 10 procent farsiarzy jest na diecie i nie pożera farszy, że 10 procent poza farszami pożera także i naleśniki, że 10 procent nie hoduje kolonii pałeczek Kocha, że 10 procent poza koloniami pałeczek Kocha hoduje także i spirochety, że 10 procent hoduje tylko spirochety i że 10 procent pożera tylko naleśniki, — dalej, biorąc pod uwagę, że 90 procent naleśnikarzy ma 10 procent szans bycia rudymi, 10 zaś procent farsiarzy ma 90 procent szans bycia muzykalnymi, i — uwzględniając, że kryterium muzykalności nie jest odróżnianie tanga od Beethovena, lecz odróżnianie Beethovena od Bacha, — oraz, biorąc pod uwagą że, odwrotnie, tylko 10 procent naleśnikarszy posiada 90 procent szans obarczenia cyklothymią, która jest cechą dziedziczną, natomiast aż 90 procent farsiarzy posiada 10 procent szans zezowatości, która jest cechą wrodzoną — jakoteż :

uwzględniając że to, co u jednych nazywa się siłą u innych nazywa się bezwzględnością, że to, co u jednych nazywa się bohaterstwem u innych nazywa się brutalnością, że to, co u jednych nazywa się dumą u innych nazywa się butą, że to, co u jednych nazywa się tupetem u innych nazywa się hucpą, że to, co u jednych nazywa się mądrością polityczną u innych nazywa się krętactwem i chytrością, że to, co u jednych nazywa się zyskiem u innych nazywa się zdzierstwem i łupiestwem, że to, co u jednych nazywa się kołtunem u innych nazywa się parchem — obliczy pan po pierwsze ;

jakie poszczególna grupa naleśnikarzy nowonarodzonych posiada szanse otrzymania naturalizacji farsiarskiej i — jakie poszczególna para farsiarzy posiada szanse spłodzenia naleśnikarza ;

po drugie obliczy pan, czy szanse te byłyby mniejsze, czy większe gdyby reprodukcja gatunku odbywała się u homo nie za pomocą wielu abdomenów królowej rdzennej, mianowicie: królowej naleśnikarki zapłodnionej przez naleśnikarza, naleśnikarki zapłodnionej przez farsiarza ;

po trzecie, biorąc pod uwagę, że abdomen homosamicy działa jak bęben loterii klasowej do którego i samiec i samica wrzucają po jednym numerze

na każdą z cech dziedzicnych i wrodzonych, ginekolog zaś wyciąga po dwa numery, — obliczy pan z dokładnością do stu tysięcy ile milionów losów przegranych urodzić musi samica, żeby mieć szanse wygrania jednego wykapanego tatę lub jedną wykapaną mamę, jeśli kryterium ,,wykapania" będzie kolejno 10, 100 i 1.000 z góry wybranych cech dziedzicznych, i wrodzonych;

następnie, biorąc pod uwagę, że homowiedza w przeciwieństwie do naszej wiedzy, niema żadnej możliwości kreowania cech wrodzonych w okresie larwowatym osobnika, obliczy pan jakie homoosobnik ma w ciągu swego życia szanse otrzymania takiego zespołu odruchów warunkowych, które go najlepiej przystosują do życia, jeśli będzie karmiony nie według potrzeb swych cech wrodzonych a według swej przynależności do naleśnikarzy czy farsiarzy.

Zrozumiał pan?

— Tak jest, panie profesorze, zaraz obliczę, — powiedział Niebylejaki, który naraz odzyskał cały swój szacunek dla profesora Mmaa.

Profesor Mmaa zaprotestował gwałtownie:

— Nie, nie! Niech pan tego nie robi teraz! Niech pan zastanowi się przedtem spokojnie. Do widzenia.

— Do widzenia, panie profesorze—odpowiedział Niebylejaki, lecz gdy profesor odchodził zawołał jeszcze: Panie profesorze! Panie profesorze!

Mmaa zatrzymał się.

— Już sobie przypomniałem co to jest to coś, o czym pan profesor powiedział, że możemy do tego podejść z całkowitym obiektywizmem. To są ,,dwa dwuwiersze, które wywołały burzę, świadczącą iż nie wszyscy z państwa zrozumieli,iż chodziło mi (to znaczy panu profesorowi) wyłącznie o homocechy wrodzone i homocechy nabyte.

— A! — wykrzyknął krótko prof. Mmaa i wyszedł.

Niebylejaki został sam pod wysoką kopułą audytorium. Nie śpieszył się do boblioteki by wyczytać trzy rozdziały wskazane przez profesora Mmaa, nie śpieszył się też do liczenia. Podniósł najpierw przednią nogę prawą i potarł nią jedną antenkę, potem przednią nogą lewą potarł drugą antenkę. Kiedy antenki były już potarte, Niebylejaki zastanowił się chwilę i przednią nogą prawą zaczął dłubać w wyrostku węchowym. Trwało to dość długo i naraz wydało mu się, że nie jest sam, że ktoś stoi za nim. Więc Niebylejaki, ruchem takim jak gdyby tylko przypadkiem jego prawa noga znalazła się tuż przy wyrostku węchowym, opuścił ją spokojnie na ziemię i przeczekawszy chwil parę, obejrzał się. W audytorium nie było nikogo. Niebylejaki podszedł do katedry, obok której, na wyszlifowanym podium, leżały cztery homoeksponaty przywiezione przez inż. Savarina i dra Ćwierciakiewicza z wyprawy na homoosiedle. Obejrzawszy je raz jeszcze i stwierdziwszy ponownie, że nikogo niema na sali, Niebylejaki przysunął się do nich bliżej. Najpierw nadgryzł i skosztował homoeksponat numer jeden, zwany włosem. Zapamiętawszy sobie jego konsystencję, smak i zapach, spróbował ledwo, ledwo maleńki kąsek eksponatu numer dwa, zwanego paznokciem. Eksponat numer trzy nie był nadgryzalny, możnaby go jedynie wyżreć wydzieliną żrącą. Nie chcąc zostawiać na nim śladów po sobie Niebylejaki zadowolnił się polizaniem eksponatu numer trzy. Ale okrągły, opatrzony czterema dziurkami eksponat numer cztery najbardziej wydawał się tajemiczy. Niebylejaki obszedł go w koło wąchając i naraz, znów, tak jak to już raz było w czasie objaśnień inż. Savarina, wydało się Niebylejakiemu że odkrył, tajemnicę eksponatu numer cztery. Rozchylił już szczęki, by wykrzyknąć tradycyjne ,,Eureka!", gdy wtem, z drugiego końca sali, rozległ się nieśmiały głos:

— Przepraszam, panienko, czy panienka nie widziała przypadkiem ,,Mojej Starej"?

Niebylejaki odwrócił się raptownie.

Przed nim stał egzemplarz opatrzony znanym dobrze Niebylejakiemu ex-librisem prywatnej biblioteki profesora Mmaa.

— Jakto : *panienko* ! — spytał Niebylejaki ostro, nie tając swego oburzenia i zdziwienia.

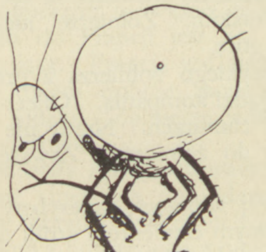
— Ach, przepraszam *pana* najmocniej — odrzekł Egzemplarz. — Ale czy nie było tu Mojej Starej, to znaczy Starej profesora Mmaa ? Szukam jej wszędzie. . . .

— Nie ! — odpowiedział Niebylejaki i jednocześnie poczuł, że ten jego krzyk : Eureka ! krzyk : Eureka, dzięki któremu przechodzi się do historii, rozpływa się znów w jakimś nieznanym, w czymś nieuchwytnym, co nie ma nazwy w wielkim słowniku, złożonym z dwudziestu tłustych egzemplarzy, wiodących od lat swój spokojny żywot w akademickiej bibliotece.

Rzecz dzieje się w osiedlu termitów w Akademii, 76 centymetrów na południowo-górny zachód od Wielkiej Królewskiej Sali Połogowej, w której właśnie Gertruda MMMDCCCLXXXVIII składa swój 18 milion jaj ; 35 centymetrów na południe od ulicy Berthelota, wypełnionej zapachem misère-geruch, który był ubocznym przetworem, produkowanym przez abdomenowców o thoraxach przeżartych pyłem cementu i wysuszonych mszyc ; 500 centymetrów wgląb pod szczytem szczytów, kopułą kopuł, wierzchem wierzchów, do którego nie dochodzi ciepłe powietrze termosyfonów, a gdzie pod strażą zamkniętych zostało 49 mamek, nie licząc uwolnionej Mojej Starej profesora Mmaa.

Zawieszony w Akademji wielki zegar biochemiczny, odradzający się stale z jednego końca a zamierający z drugiego, wypachnie ze chwilę minutę, w której profesor Mmaa ma rozpocząć swój piąty z kolei wykład o mammiferze homo.

Voiron, 1942



MARIAN PIOTROWSKI

W OBOZIE JEŃCÓW

ARMIA NIEMIECKA PO DWU LATACH WOJNY

Któregoś dnia zmieniono nam wartowników. Po oddziale piechoty, który się prezentował względnie dobrze, przysłano nam rezerwistów, przeważnie mieszkańców Sudetów. Uderzyła nas inna sylwetka tych ludzi. Ubrani byli zresztą inaczej. Nie nosili hełmów, tylko czapki polowe i zamiast ciężkich butów mieli owijacze. Wyglądali nieporadnie i bezbronnie.

Spacerując z kolegą wzdłuż drutów obozowych zrobiłem uwagę :

„Wiesz, mam wrażenie, że gdybym lekko pchnął tego Niemca co tu stoi z karabinem za bramą, toby się przewrócił".

Wymieniając kilka zdań na ten temat, nagle zrobiliśmy odkrycie, że armia niemiecka jest armią ubraną w sposób fotogeniczny. Umunduro-

wanie żołnierza niemieckiego obliczone jest na wywołanie efektu. Ciężki hełm, ciężkie buty do kolan, wywołują wrażenie brutalnej siły. Jak idzie niemiecki oddział ulicą w ciężkich podkutych butach, trzęsie się ziemia i dźwięczą szyby. Ten sam żołnierz ubrany w sposób „zachodnio europejski“ — w owijacze, lekkie buty i kepi traci aureolę brutalności i siły.

Mundur niemiecki pomyślany jest dobrze. Latem kołnierz odpina się i można zamienić mundur w otwartą bluzę, przypinając klapy do guzików po obu stronach kołnierza. To samo z rękawami. Podpina się je wysoko za łokcie, przypinając do specjalnych guzików na ramionach. Szczegół charakterystyczny — wojsko niemieckie nie nosi koszul. Żołnierze mają na sobie lekkie wełniane koszulki bez rękawów i na to lekkie swetry, na które idzie kurtka. W czasie robót zdejmują swetry i wełniane koszulki i pracują do pasa nago. Jest to wielka oszczędność.

Oddziały frontowe, z którymi zetknąłem się w Lotaryngii, atakowały nas w hełmach, bez żadnego obładowania. Jako rynsztunek mieli tylko łopatki i torby z granatami ręcznymi. Tornistry jechały na samochodach. Tornister niemiecki skonstruowany jest zresztą w ten sposób, że wygląda jak grubo wypchana teczka, którą można nieść w ręku.

Oddziały te prezentowały się dobrze. Był to kwiat armii niemieckiej, poza tym byli w momencie apogeum swej potęgi. Gdy mnie schwytano pod koniec czerwca 1940 roku, w momencie przekradania się miałem możność przypatrzenia się życiu oddziału niemieckiego. Upojenie zwycięstwem było tak potężne, że wycisnęło swoje piętno na postawie wojska. Mimo to, nawet w tym nastroju uskrzydlonej apoteozy wyczuwało się żelazny dryl dyscypliny. Żołnierze mówili, że otrzymali jak najściślejsze rozkazy łagodnego obchodzenia się z ludnością francuską. Chodziło o zjednanie Francuzów. Wszelkie odstępstwa karane były śmiercią.

Po raz pierwszy zetknąłem się wówczas ze zjawiskiem zupełnie specyficznym — podoficerem pruskim. Żołnierze niemieccy salutują podoficerów już od kaprala w górę.

Praktycznie kontakt zwykłego żołnierza z przełożonymi ogranicza się do feldfebla. Feldfebel rządzi kompanią. Oficer w służbie jest półbogiem, obracającym się gdzieś w chmurach. Nigdy nie widziałem, by porucznik zwracał się bezpośrednio do żołnierzy. Zawsze za pośrednictwem feldfebla.

W dalszych etapach swej włóczęgi, przesyłany od obozu do obozu, zapoznałem się jeszcze z jednym elementem armii niemieckiej — z krzykiem. Żaden język nie nadaje się do takiego wrzasku, jak język niemiecki. W obozie w Ramberviller któregoś dnia poderwał nas na równe nogi niesamowity wrzask. Podbiegliśmy do okien. Okazało się, że nowy dowódca obozu, kapitan, beształ na środku podwórza kilku młodszych oficerów. Było to jakby szczekanie psa.

Oficer nowej armii niemieckiej różni się nieco od dawnego typu oficera, zwłaszcza jeśli chodzi o młodszych oficerów. Rzadziej widzi się monokle. Monokle są raczej odnaką ancien regime'u. Młodzi oficerowie są bardziej demokratyczni, a raczej, bardziej są nastrojeni politycznie. Starali się kilkakrotnie wobec jeńców poruszać tematy polityczne, apoteozując dobrodziejstwa reżimu Trzeciej Rzeszy.

Specjalną kategorię w wojsku niemieckim stanowią lekarze. Noszą przy sobie broń, tak jak wszyscy oficerowie. Mogą brać udział w walce, mogą dowodzić oddziałem. Niektórzy z nich bardziej lubują się w roli oficera frontowego, niż w roli lekarza, niosącego ulgę chorym.

Przez rok miałem możność przyglądania się armii niemieckiej na tyłach, w wielkim obozie wojskowym, przez który przewinęło się kilka dywizyj rezerwy, szkolonych pośpiesznie i wysyłanych kolejno na front. Był to już inny element. Była to rezerwa, już zmęczona, znudzona.

Żołnierze niemiecy dają z siebie olbrzymi wysiłek. Pobudka rozpoczyna

dzień żołnierza o godz. 6 rano. O godz. 7 oddziały są już na placu ćwiczeń. Ćwiczenia trwają do godz. 11.30. O godz. 11.30 powrót do koszar. O godz. 12 obiad. Przerwa do godz. 2. Od 2 do 5 ćwiczenia.

Z twarzą zawieszoną po prostu na drutach kolczastych przypatrywaliśmy się całymi dniami ćwiczeniom. Najpierw odbywały się one w drużynach. Normalne istruowanie, bez cienia popuszczenia dyscypliny. Pod okiem feldfebla ćwiczenia odbywa się z całą sztywnością, z całą dokładnością regulaminu. Ćwiczenia prowadzą podoficerowie. Zastanawialiśmy się co w tym czasie robią oficerowie. Chyba mają jakieś własne ćwiczenia.

O 17 a właściwie o 17.30 z końcem ćwiczeń, nie kończy się bynajmniej trud żołnierza. Przystępuje on do czynności, która pochłania gros jego czasu. Pierze. Drelichy niemieckie są zrobione z białego płótna, które się stale brudzi. Ciągle też muszą być prane. 50 % wolnego czasu żołnierz niemiecki poświęca na pranie drelichów. Wieczorem o godz. 19 apel wieczorny. Potem oporządzanie mundurów, czyszczenie broni. Apele mundurowe i apele broni są bardzo dokładne.

Zastanawialiśmy się czym się trzyma armia niemiecka. Podoficerami czy oficerami, dyscypliną, czy organizacją. Mam wrażenie, że opiera się na dwuch filarach. Na feldfeblach i na pułkownikach. Oni tworzą kościec armii. Organizacja jest uzupełniona żelazną dyscypliną, która wyklucza jakieś załamania duchowe.

Na wiosnę 41 roku jak tylko mrozy zelżały, dywizje, przygotowywane widocznie do walki z Rosją, poczęły przechodzić na naszych oczach intensywne przeszkolenie bojowe. Szkolono je w warunkach zupełnie bojowych. Całymi dniami oddziały przerabiały ćwiczenia natarcia. Natarcia kompaniami i batalionami, przy użyciu ostrej amunicji. Walili z karabinów maszynowych, z karabinów ręcznych, z moździerzy. Na naszych oczach rozgrywała się cała akcja. Ćwiczenia te trwały 6 tygodni, po czym przychodziły nowe dywizje. Żołnierzom mówiono, że jadą do Francji zluzować tamtejsze oddziały. Wyjazd do Francji jest dla żołnierza niemieckiego perspektywą wysoce zachęcającą. Francja jest ciągle w opinii niemieckiej krajem płynącym winem, krajem dobrze zaopatrzonych sklepów, skąd można wysyłać paczki do rodzin. Żołnierze jednak żywili wątpliwości. Obawiali się jakichś niespodzianek.

Sprzęt był już inny. Oddziały miały przeważnie karabiny polskie lub czeskie. Oddziały strzelców alpejskich umundurowano w getry angielskie pochodzące ze zdobyczy zabranych we Francji, pofarbowane na zielono. Niektóre oddziały miały hełmy z poprzedniej wojny.

Jednocześnie kolejno pogarszały się ekipy naszych dozorców. Doszło do tego, że w maju 1941 roku, wartę przed naszym obozem pełnił garbusek z trudem dźwigający karabin.

Naczelne dowództwo i Partia czuwają nad nastrojami żołnierzy. W armii niemieckiej istnieje potężny aparat propagandowy, pracujący tylko i wyłącznie na terenie wojska. Oddziały liniowe mają specjalne własne wydawnictwa, gazetki polowe, wydawane bardzo starannie. Natknąłem sie na taką gazetkę w Wogezach. Nie pamiętam już tytułu, pamiętam tylko motto : „ Wer kaempft hat alles Recht, wer kaempft nich hat alles Recht verloren.“ W gazetce poza artykułami treści ogólnej, było dużo wiadomości personalnych. Feldfebel X — podawała kronika gazetki — otrzymał wiadomość, że urodził mu się syn, składamy mu życzenia. Gefreiter XY został przedstawiony do odznaczenia itp. Wiadomości te miały na celu wywołanie zainteresowania. Pod gazetką podpisany był jakiś Sonderführer Müller, czy Schmidt.

Sonderführer jest to żołnierz specjalnej formacji zajmującej się tylko kwestią propagandy w wojsku. Ubrani są oni w mundury wojskowe, mają inne epolety. Dwa grube zielone szurki przytrzymane węzłem. Mają oni własną hierarchię. Są Obersonderführerzy, Sztabssonderführerzy. Rangi

te odpowiadają rangom podoficerskim i oficerskim. Sonderführer to jakby sowiecki Politruk.

Czy armia niemiecka jest jednolita, czy ma jakieś rysy? Niewątpliwie ma. Przede wszystkim istnieje antagonizm między Partią a Armią. W obozie w Ramberviller stary porucznik niemiecki ze Śląska Opolskiego, jak wiadomo należącego do Rzeszy, zainteresował się jeńcami polskimi. Okazało się, że mówi polsko-śląską ludową gwarą. Wywody jego były niezwykle charakterystyczne „To wy Polacy. — zapytał nas po polsku. Dumny z was jestem. Dobrzeście się bili i w Polsce i we Francji." Ponieważ rozeszły się pogłoski, że Polaków z dywizji polskiej we Francji władze niemieckie mają oddać pod nadzór SS czy SA, zadaliśmy mu pytanie w tej sprawie. Zaprzeczył z oburzeniem. „Nie może być o tym mowy. — oświadczył. Partia się w Niemczech skończyła. Rządzimy teraz my — wojsko. Partia nie ma nic do gadania w sprawach jeńców wojennych."

Rozgadał się na dobre. Zaczął nam opowiadać, że w r. 1939-40 był na linii Siegfrieda. Tam widział Hitlera i Goeringa. „Hitler — oświadczył dosłownie — to straszny człowiek. Ma takie przenikliwe oczy, że aż człowieka przechodzą ciarki. Ogromnie go się wszyscy boją. Jak jaki oficer zostaje przez niego wezwany dla złożenia raportu, to cierpnie na nim skóra. Z Goeringiem jest inaczej. To morowy chłop. Ciągle się śmieje, jest wesoły. Można przez niego dużo załatwić."

Poprosiliśmy naszego rozmówcę o dzienniki niemieckie. Obiecał nam i istotnie przez pewien czas dotrzymywał obietnicy. Przynosił po kryjomu paczki gazet. Któregoś dnia sprowadził ze sobą starego majora niemieckiego i pokazał na nas, grupę Polaków, mówiąc: „To są ci, którzy przedarli się z Polski przez Węgry, czy Rumunię, aby walczyć dalej z Niemcami." Stary major dziwił się wielce zuchwałości Polaków. Nie dość im było raz zostać pobitymi, jeszcze próbowali szczęścia we Francji. Patrzyliśmy na nich w milczeniu. Nie wiedzieli, że marzeniem naszym jest wydostać się do Anglii i spróbować szczęścia po raz trzeci.

Z problemem „Armia-Partia" spotkałem się potem kilkakrotnie. Po raz pierwszy w Norymberdze. Brutalizowanie jeńców polskich przez oficerów rezerwy, niewątpliwie działaczy partyjnych w cywilu, nie zbyt było w smak oficerom zawodowym. Najlepiej jednak ten problem uwidocznił się w Stalagu X.

W batalionie, pilnującym naszego obozu, wyróżniało się niewątpliwie dwuch ludzi. Kapitan H. i feldfebel B. Obydwaj byli w cywilu wybitnymi działaczami partyjnymi, mieli nawet w SA tę samą rangę. W wojsku dzieliła ich cała przepaść hierarchii wojskowej. Mimo to jednak utrzymywali ze sobą stosunki jak najbardziej przyjazne. Kapitan chodził na spacery razem z feldfeblem, a przede wszystkim dzięki poparciu kapitana, feldfebel jeździł ciągle na nadzwyczajne urlopy do domu. Drażniło to w widoczny sposób innych podoficerów a także oficerów. Wiadomo było, że feldfebel B., dzięki swemu stanowisku w Partii, ma więcej do gadania, niż jakiś porucznik. Armia nie lubi tego rodzaju koterii, wywodzących się spoza niej.

Konflikt ten wyraża się nawet czasami w rękoczynach. Koledzy którzy przebywali w obozie jeńców w Strasburgu, opowiadali mi, że cały Strasburg trząsł się swego czasu z powodu awantury w jednej kawiarni, gdzie podoficerowie niemiecy pobili kilku członków SA. w mundurach, ponieważ nie podobało im się nie dość pełne szacunku dla armii zachowanie się szturmowców.

Również poważny jest konflikt regionalny. Żołnierze sudeccy, przyciśnięci do muru, nie ukrywają swego rozczarowania. Przede wszystkim widać, że są sterroryzowani, że nie czują się pewni. Poza tym są rozgoryczeni z powodu gorszego traktowania. Żołnierze sudeccy prawie że nie

awansują, zwłaszcza nie awansują ci młodzi ludzie, którzy byli swego czasu jako obywatele czechosłowaccy w armii czeskiej.

Młody chłopak z Karlsbadu, inteligentny i wyrobiony, skarżył się, że został zmobilizowany w końcu 39 roku i ciągle jest żołnierzem. Nawet nie może dostać „ Oberschütze." Przypisywał to wyraźnie temu, że jest z kraju sudeckiego i że odbywał swego czasu służbę w armii czeskiej. Spytałem go dlaczego przypuszcza, że może to mieć jakiś wpływ na awansowanie. „ Bardzo proste — odpowiedział — my znacznie więcej wiemy co się działo w świecie przed 39 rokiem, niż każdy zwykły Niemiec z Rzeszy. Mieliśmy, do czasu włączenia do Rzeszy, wolną prasę, czytywaliśmy wszystkie dzienniki jakieśmy chcieli."

Problem austriacki wygląda inaczej. Młodzi są z przekonania narodowymi socjalistami. Starzy jednak nie bardzo mogą się pogodzić z rzeczywistością Trzeciej Rzeszy. Ciągle porównują z tym, co widzieli w dawnej Austrii i porównanie wypada widocznie na korzyść tej ostatniej.

Do naszego obozu przydzielili któregoś dnia jako kierownika poczty — bardzo podrzędne stanowisko — porucznika obwieszonego orderami z poprzedniej wojny. Okazało się, iż był to porucznik dawnej armii austriackiej. Znudzony i wściekły obnosił po obozie zniechęconą twarz zdetronizowanego gentlemana. Gdy obejmował swą funkcję zwrócił się do podoficerów francuskich, pracujących na poczcie, w czystej francuszczyźnie z prośbą o wyjaśnienie mu mechanizmu poczty obozowej. „ Pouvez vous me dire comment ca fonctionne — oświadczył — parce que ces cochons sousofficiers prussiens n'y comprennent rien."

Poza propagandą, nastroje w wojsku urabia się drogą doraźnych korzyści. Awanse są częste. Bardzo łatwo rozdaje się dekoracje. Żołnierze niemieccy są obsypywani odznaczeniami. Poza tym są dobrze płatni. Podoficer niemiecki — Unteroffizier — otrzymuje 150 marek miesięcznie, poza tym żona jego otrzymuje osobno 200 marek zapomogi miesięcznie. Jest to konsekwencja zasady, na której oparta jest gospodarka Rzeszy, że wojna bogaci. Wojna bogaci nie tylko państwo, ale musić bogacić także pojedynczych ludzi. Zasada ta jednak została zrozumiana przez prostych żołnierzy nieco szerzej. Żołnierze lubią i biorą łapówki. Łapówki biorą również i podoficerowie. Za paczkę czekolady jeniec mógł uzyskać od podoficera niemieckiego wpisanie go na listę chorych, a co za tym idzie, uzyskać zwolnienie do domu. Do armii niemieckiej powoli wkradł się nastrój desperackiego fatalizmu, jak mogłem to zaobserwować w oddziałach na tyłach. Wykorzystywać co się da wykorzystać, użyć co się da użyć, a co przyniesie przyszłość, to zobaczymy.

Przedłużająca się wojna doprowadziła w Niemczech do wytworzenia się atmosfery wykręcania się od wojska. Ci, którym udało się wykręcić od wojska przez przydział do jakiejś fabryki w charakterze specjalisty wyłażą ze skóry, by stać się niezbędnymi, a tym samym uniknąć powołania. Tym m. in. należy tłumaczyć fakt, że robotnicy niemieccy pracują jak opętani.

Przez pewien czas pracowałem razem z jednym Niemcem, nazwijmy go Herr Müller. Co pewien czas nabieraliśmy go mówiąc, iż w czasie jego nieobecności przychodziła poczta z wezwaniem go do wojska. Bardzo się denerwował i bardzo nie lubił tych żartów. Tłumaczył nam przy tym szczegółowo, że on nie może być powołany, ponieważ nikt inny poza nim, nie zna się na sprawie rozdziału odzieży, w którym to dziale pracował.

Specjalną pozycję mają w Niemczech byli uczestnicy poprzedniej wojny. Nabrali tupetu. Wypowiadają głośno swoje opinie. Kto wie, czy kombatanci obecnej wojny a zwłaszcza inwalidzi, których się widzi dużo, nie zechcą się pewnego dnia wypowiedzieć i dać usłyszeć. Rany i przebyte cierpienia wojenne dodadzą im pewności siebie i zrównają ich w ich pojęciu z panami Trzeciej Rzeszy — członkami Partii.

Starsi chłopi, zwłaszcza ci, który mogą pochwalić się w klapie marynarki wstążeczką biało-czarno-czerwoną, odznaką byłych kombatantów z wojny 1914-1918 roku, lub odznaką Żelaznego Krzyża, jak również starsze kobiety, nie ukrywają w rozmowach niezadowolenia z przeciągania się wojny, a nawet bardzo często z faktu istnienia tejże wojny.

Ile razy słyszałem na własne uszy starych chłopów, przychodzących do kancelarii obozu po jeńców, jak wyrzekali wobec siedzących za stołem podoficerów : ,, Kiedy to się nareszcie skończy."

Pewnego razu starszy chłop z licznymi dekoracjami wojskowymi na marynarce, były feldfebel z czasów wielkiej wojny, pokazał podoficerom niemieckim swą legitymację. Potem zwrócił się do nas, grupy kilku jeńców z zapytaniem : ,, Po co ta wojna. Przecież to wszystko to jakieś okropne głupstwo. Sam byłem pod Verdun, mój syn był znów pod Verdun, teraz jest gdzieś w Serbii i na pewno nie zobaczę go na święta. Po co to wszystko." Nasi dozorcy-podoficerowie niemieccy milczeli ponuro.

Utkwiła mi również w pamięci scena, której bohaterką była stara siwa Niemka. Przyszła ona do Lagerkanzlei z prośbą o przydzielenie jej kilku jeńców do pomocy. Wyrzekała, że nie może sobie dać rady w gospodarstwie, rozpłakała się, pomstując przy tym specjalnie na podatki w naturze. Podoficerowie niemieccy, jak zwykle w takich chwilach siedzieli cicho, jednakże jeden z nich nie wytrzymał i wybuchnął :

,, Pani myśli, że pani tylko jedna jest ofiarą wojny, a ja to co. Jak zostałem powołany do wojska 1 września 1939 roku, to musiałem zamknąć swą garbarnię ,rozpuścić 10 robotników i odtąd utrzymują swą żonę tylko z żołdu."

Społeczeństwo niemieckie interesuje się bardzo polityką. Komunikaty radiowe słuchane są pilnie, trzeba sobie jednak zdać sprawę czego przeciętny Niemiec szuka w tych komunikatach, w ,, Sondermeldunkach." Czyżby wiadomości o nowych zwycięstwach wojskowych, Odnosiłem raczej wrażenie, że szuka on przede wszystkim jednej rzeczy, to jest wiadomości, które mu dawałyby nadzieję szybkiego zakończenia wojny.

Na podstawie tego co mogłem sam zaobserwować i tego, co mówili mi żołnierze, wracający z Arbeitskommando, starsze pokolenie niemieckie, które widziało poprzednią wojnę, a przede wszystkim włościanie, realiści polityczni, zwątpili od dawna w zwycięstwo wojskowe Niemiec. Nie znaczy to bynajmniej, żeby wierzyli w klęskę. Na ogół żyje w nich jakaś ślepa wiara, że cała ta koszmarna awantura zakończy się jakimś kompromisem, jakimś porozumieniem ,, paix blanche," że Niemcy będą mogli się wykręcić od konsekwencji przegranej wojny i zachować część zdobyczy.

O ile chodzi o zachowanie się Stanów Zjednoczonych, to inteligencja niemiecka, pod wpływem propagandy, żywiła jeszcze słabe nadzieje, że Stany Zjednoczone zachowają neutralność. Natomiast doły społeczne, zwłaszcza robotnicy, od dawna nie mieli żadnych wątpliwości co do tego, że, prędzej czy później, Stany Zjednoczone przystąpią do wojny i zadadzą Niemcom ostateczny cios.

Reakcje inteligenta niemieckiego są oczywiście znacznie bardziej skomplikowane. Wydaje się, że inteligencja niemiecka zatraciła poczucie rzeczywistości, poczucie realnego celu wojny. Cała wojna wydaje się być dla przeciętnego inteligenta jakaś bohaterską epopeją. Jest on przekonany, że armia niemiecka jest niezwyciężona, lecz jednocześnie widzi, że istotny, realny cel wojny — zwycięski pokój—oddala się coraz bardziej. Ludzie w rozmowach gubią się w dysertacjach strategicznych, a jak spytać rozmówcę o cel tego wszystkiego, to wprawia się go w poważne zakłopotanie.

W połowie maja 41 roku, jeszcze przed wojną z Sowietami, rozmawiałem z jednym z fabrykantów z mojego okręgu.

,, No, a teraz na kogo uderzycie " — zadałem pytanie memu rozmówcy.

,, Skąd ja mogę wiedzieć — może na Rosję, może na Hiszpanię lub Portugalię, by się zabezpieczyć przed Stanami Zjednoczonymi. W każdym razie jeśli teraz uderzymy na Rosję, to po załatwieniu się z problemem rosyjskim, będziemy musieli ostatecznie rozprawić się z Anglią."

,, A potem, czy to będzie już koniec."

,, Potem, potem niewątpliwie przyjdzie kolej na rozprawienie się z Ameryką Północną, która okazała się wobec nas tak nielojalna."

,, A co z Ameryką Południową."

,, Naturalnie, do Stanów Zjednoczonych będziemy się musieli dobrać poprzez Amerykę Południową, którą zorganizujemy gospodarczo i politycznie."

Tu mój rozmówca łapie się na tym, że właściwie jego program polityczny jest jakimś nonsensem. Uśmiechamy się do siebie. Na koniec dorzucam :

,, Jak tak dalej pójdzie, to będziecie musieli się zająć także Biegunem Północnym i Południowym."

Mój rozmówca przyznaje z uśmiechem, że rzeczywiście, jeśli tak dalej pójdzie, to będą musieli zawojować również i oba bieguny.

O ile wojna z Polską, czy z Francją miała jakiś sens dla umysłu przeciętnego Niemca, to już wyprawa na Kretę, walki w Iraku, czy konflikt ze Stanami Zjednoczonymi, w ogóle wszelkie możliwości przerodzenia się wojny w wojnę światową, wprowadzają go w przerażenie.

POLNISCHE INTELIGENTEN

Do kancelarii obozu przyniósł dziś żołnierz z komendy obozu jakiś papier. Podoficerowie niemieccy oglądają go, czytając uważnie. Półgłosem wymieniają jakieś opinie, oczywiście, żebyśmy nie słyszeli. Kilkakrotnie dochodzi do mnie słowo ,, Polen," potem rzucają na mnie ukradkiem spojrzenia. Domyślam się, że ,, papier " dotyczy nas — Polaków. Postanawiam za wszelką cenę zbadać o co chodzi.

Rozkazy przychoszące z Oberkommando der Wermacht z Berlina składane są do osobnej teczki, chowanej w szafie, stojącej w rogu pokoju. Szafa zamykana jest w czasie nieobecności podoficerów niemieckich.

Siedzę w swym kącie i spisuję nazwiska jeńców, lecz oczy mam utkwione w szafę. Czekam na moment kiedy na chwilę dyżurujący podoficer wyjdzie z pokoju. Zdarza im się to dosyć często. Dyżury ich nudzą. Pod pierwszym lepszym pretekstem wychodzą przed biuro pogwarzyć, popalić cygaro. Wychodzi . . . Podrywam się szybko, podbiegam do szafy, wyciągam teczkę z rozkazami. Jest ! Ostatnia kartka. Czytam, staram się nauczyć na pamięć. Tekst jest krótki.

Z lewej strony u góry napis Oberkomnando der Wermacht. Pod tym jakieś tajemnicze cyfry, wskazujące na odnośny wydział. Treść : Podaje się do wiadomości, że przy klasyfikowaniu jeńców polskich do kategorii niezdolnych do pracy (Dienstunfaehig) czyli tych, którzy mają być zwolnieni z obozu, inteligenci polscy — Polnische Inteligenten — nie mają być pod żadnym pozorem uwzględniani. Kategoria ta nie może być w żaden sposób zwalniana do domów. Pamiętam tekst : Polnische Inteligenten.

Rozkaz właściwie mnie nie zaskoczył. Mimo, że nikt z nas nie widział przedtem czarno na białym tego rodzaju instrukcji, wyczuwaliśmy ją.

Podzieliłem się od razu tą wiadomością z kolegami. Postanowiliśmy zastosować odpowiednią taktykę. Na teror, wobec którego byliśmy bezsilni, postanowiliśmy odpowiedzieć podstępem. To była zresztą nasza jedyna droga. Wiedzieliśmy, że jesteśmy bezbronni w łapach niemieckich, że nie mamy żadnej asekuracji, żadnej gwarancji, że niema kilkudziesięciu tysięcy jeńców niemieckich w rękach polskich, których los byłby najlepszą gwarancją traktowania nas w Niemczech. Byliśmy aliantami, którzy pierwsi porwali się do walki z Niemcami, a którzy dziś zdani są na pastwę

prześladowań niemieckich bez żadnej możliwości rewanżu. Kto się za nami ujmie, kto się ujmie za polską inteligencją. Musimy walczyć własną bronią.

Nie raz mówiło się w wieczornych rozmowach — żeby tak Niemców amerykańskich, czy Niemców z południowej Afryki, zamknięto do obozów koncentracyjnych i zagrożono im, nic więcej — tylko zagrożono, że o ile władze niemieckie nie zmienią postępowania w stosunku do Aliantów-Polaków, internowani Niemcy poddani zostaną regulaminowi niemieckich obozów dla Polaków. Toby na pewno poskutkowało. Były to jednak marzenia.

Poczęliśmy obniżać świadomie swoje pozycje socjalne. W rozmowach nawet z Francuzami, zacząłem dawać do zrozumienia, że właściwie nie jestem żadnym prawnikiem, tylko buchalterem. Mój kolega ekonomista, zajmujący jedno z czołowych stanowisk w życiu gospodarczym Polski, zredukował swą pozycję społeczną do roli kupca. Młody inżynier — do poziomu technika.

Tragiczne sytuacje mają często komiczne strony. Wśród żołnierzy polskich był nauczyciel ludowy z jednej, z zabitych deskami, wiosek na Podhalu. Aby się podnieść w oczach kolegów, podał się za profesora gimnazjalnego. Po pewnym czasie biedak rozchorowuje się poważnie. Nie mógł istotnie pracować. Lekarze niemieccy kilkakrotnie opiniują, że jest „ Dienstunfaehig," że musi być zwolniony do domu, ponieważ nie ma z niego żadnej korzyści. Za darmo je zupę obozową.

Przychodzi termin odjazdu jednego transportu ewakuowanych chorych. Nasz żołnierz zostaje skreślony. Drugi transport — znowu skreślają go z listy. W końcu gdy go skreślili z trzeciego transportu, zaczynamy się domyślać, że zachodzi tu jakaś celowa represja. W końcu wpadamy na pomysł—a może przeszkadza mu po prostu zawód „ profesora gimnazjalnego." Istotnie to uniemożliwiało mu wyjazd do domu.

Dziś po południu niema jakoś nic do roboty. Dwaj podoficerowie nasi dozorcy, rozmawiają o swoich dzieciach. Takie są nadzwyczajne, tak się świetnie uczą. Jeden ma trzech synów. Najstarszy oczywiście obejmie po ojcu sklep, drugi pali się do lotnictwa, trzeci jest rozczulający, pasjonuje się rolnictwem. Chce koniecznie zostać farmerem. „ Załatwiłem już — mówi Wieprz (jak nazywamy grubego feldfebla) — że po wojnie dostanie gospodarstwo w Polsce."

W przyszłej Europie, jak widać, zorganizowanej według „ nowego ładu, niema miejsce, nie tylko dla polskiej inteligencji, ale i dla polskich chłopów.

SIKORSKI W WASZYNGTONIE

Jest gorące, majowe południe, stoję wraz z kolegami w ogonku i czekam aż się otworzy okienko „ Packetpost " i zaczną wydawać paczki. Otrzymałem bowiem paczkę z Francji. Za chwilę przychodzą podoficerowie niemieccy i rozpoczyna się wydawanie.

Radio nadaje komunikaty polityczne. Słuchamy znudzeni. Głośnik umieszczony nad drzwiami ryczy i zgrzyta. Ogonek się zmniejsza stopniowo tak, że dzieli mnie już tylko kilka kroków od balustrady, za którą urzędują Niemcy. Przede mną stoi kolega — podchorąży, pochodzący gdzieś z Poznańskiego.

Nagle drgnęliśmy obaj : Speaker podaje : Gen. Sikorski, szef marionetkowego rządu polskiego w Londynie, został przyjęty na dwugodzinnej konferencji przez prezydenta Roosevelta.

Krew uderza nam do głowy, jakby nas kto biczem zdzielił-to Niemcy wybuchają rubasznym śmiechem : „ Ha, ha, ha, Sikorski, polski generał w Ameryce. A cóż to za operetka !

Krew odpływa nam do stóp. Patrzymy na siebie bladzi, mamy zaciś-

nięte pięści. Z jaką ochotą porwalibyśmy te stoły i porozbijali nimi opasłe brzuchy niemieckie. Najbardziej śmieje się inspektor — urzędnik wojskowy. Ten, który nigdy z pewnością nie wąchał prochu.

Opanowujemy się. Odbieramy czym prędzej paczki i kłusem pędzimy do baraków. Powtarzamy kolegom wiadomość. Sikorski był przyjęty przez Roosevelta. O czym mogli mówić. Rozpoczynają się długie dyskusje na temat politycznego znaczenia tego faktu. Niewątpliwie oznacza to, że Ameryka interesuje się sprawą Polski, kto wie może będzie orędzie Roosevelta w sprawie polskiej, tak jak kiedyś był punkt polski w orędziu Wilsona. Barak polski przez kilka dni żyje tą wiadomością. Z obozu rozchodzi się ona po polskich Arbeitskommandach. Głupi speakerze niemiecki, gdybyś wiedział, jaki oddźwięk wiadomość ta wywołała wśród Polaków, nigdyby ci ona przez usta nie przeszła !

Wiadomość ta naturalnie służy nam za kanwę do całego obrazu. Skoro Sikorski pojechał do Ameryki, oznacza to, że działa i pracuje i że Rząd polski w Londynie jest aktywny. Sprawa polska nie jest pogrzebana, tak jak starają się nam wmówić niemieckie wydawnictwa propagandowe.

Z takich to strzępków tworzymy sobie światopogląd polityczny. Mamy jeszcze drugi, niezwykle cenny element — wyciętą z jakiegoś niemieckiego ilustrowanego pisma fotografię, przedstawiającą przegląd oddziałów polskich w Szkocji przez premiera Churchilla i gen. Sikorskiego. Pada deszcz. Żołnierze w angielskich hełmach i krótkich pelerynkach prezentują broń. Mają karabiny angielskie. Przed frontem idzie premier Churchill, gen. Sikorski, obok pani Churchill, za nimi jakiś wysoki oficer. Fotografia ta od dłuższego już czasu krąży po obozie. Jest tak zatłuszczona, że się po prostu lepi. To nic — przechowuje się ją skrzętnie w baraku. Każdy przejeżdżający z Arbeitskommando przygląda się jej długo i z namaszczeniem.

I na podstawie tego drobnego świstka urabiamy sobie cały obraz. A więc istnieją polskie oddziały wojskowe w Anglii. Muszą być liczne, skoro premier angielski nie wahał się pofatygować do nich z wizytą. Obecność Winstona Churchilla na tej paradzie podnosi nas na duchu, jest bowiem wyrazem szacunku dla wysiłku bojowego Polaków.

Wiemy także o polskiej brygadzie w Afryce. Ta wiadomość dotarła do obozu już inną poufną drogą. W jaki sposób i skąd — oczywiście nie mogę mówić. Wystarczy jednak, by ktoś raz zasłyszał a już rozchodzi się po obozach jenieckich, po całych Niemczech w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób.

CZESŁAW POZNAŃSKI

MYŚLI O DEMOKRACJI

W Polsce przedwojennej linia podziału między demokratami i antydemokratami była jasna i wyraźna. Do demokracji przyznawały się i o demokrację walczyły : P.P.S., Stronnictwo Ludowe, Stronnictwo Demokratyczne a także i tak nazwany Front Morges. Antydemokratycznymi otwarcie i bez zastrzeżeń były nie tylko grupki narodowo-radykalne hołdujące Fuehrerprinzip, ale także i Ozon i Stronnictwo Narodowe. Wódz ideowy Stronnictwa Narodowego, Dmowski, w pismach swych wyraźnie głosił, że czasy demokracji są skończone, że demokracja nie ma prawa do bytu i nie taił swych sympatyj dla regime'u faszystowskiego.

W roku 1937 Tadeusz Bielecki uważał demokrację za żydokrację a towarzysz jego partyjny Stanisław Kozicki pisał „Jeśli chodzi o ideologię na której zbudowane są sposoby rządzenia w różnych państwach, to możemy powiedzieć, że są państwa, w których władza spoczywa w rękach masonerii

i te nazywają się „demokracjami“ i są państwa w których władza spoczywa w ręku żywiołów narodowych i te nazywane są dyktatorskimi.

Pisanie o państwach demokratycznych i dyktatorskich jest przejawem nowej próby zorganizowania opinii światowej przeciwko prądowi narodowemu i utworzenia koalicji, któraby kierownictwem jaczejek i kahałów doprowadziła do zniszczenia wielkiego prądu narodowego, ogarniającego z coraz większą mocą ludy Europy.

Dzisiaj-przynajmniej na terenie Wielkiej Brytanii—jest inaczej. Dzisiaj wszyscy Polacy przyznają się do demokracji. Demokratami są dzisiaj i Ignacy Matuszewski i Tadeusz Bielecki i falangiści. „Jestem Polakiem“ po angielsku zapewniało czytelników, że jest pismem demokratycznym. Ignacy Matuszewski w Wiadomościach Polskich broni legalizmu i demokracji.

Większa jest radość w niebie z jednego nawróconego grzesznika, aniżeli z pięćdziesięciu sprawiedliwych. Gdyby więc te demokratyczne deklaracje oznaczały, że wojna otworzyła tym ludziom oczy na istotne oblicze totalizmu, że pobyt w krajach demokratycznych dokonał w nich przeobrażenia myślowego, że nauczył ich, że demokracja jest istotnie wyższą formą życia politycznego, to byłyby one bardzo pożądanym objawem. Jednakowoż z wypowiedzi publicznych tego wniosku wyciągnąć nie można. Ani Stronnictwo Narodowe nie wyrzeka się puścizny ideowej Dmowskiego, ani Ignacy Matuszewski nie żałuje za grzechy reżimu pułkownikowskiego i nie potępia tego, co ostatnie rządy w Polsce robiły, ani dawni narodowi radykali i falangiści nie wyrzekli się swego programu opartego na Fuehrerprinzip. Tyle tylko, że przestali akcentować głęboki rozdźwięk między swymi poglądami a demokracją, a odkryli natomiast, że i ich poglądy pod nazwę demokracji podciągnąć można. Słowo „demokracja“ stało się dla nich barwą ochronną, tak jakby słowo to istotnie nic nie znaczyło.

I znajdują się już teoretycy, którzy starają się uzasadniać, że istotnie tak jest, że demokracja to pojęcie niesłychanie rozciągliwe pod które można podkładać jakąkolwiek treść. Twierdzą, że demokracja może być zbudowana na zasadzie arystokratyczno-plutokratycznej, że bynajmniej nie znosi przywilejów społecznych, że nie znaczy by dawała wszystkim szanse dostępu do wiedzy. Demokracja w tym ujęciu jest raczej kwestią dobrych obyczajów, łatwiej kwitnącą u narodów o spokojnym i flegmatycznym temperamencie, ma w sobie „wiele grzeczności, uprzejmości, woli kompromisu i zgodności“.

Mówi się że np. monarchia austro-węgierska była demokracją.

Można oczywiście po prostu wzruszyć ramionami i pójść dalej. Byłoby to jednak błędem. I to z wielu względów. Przede wszystkim wojna obecna jest wojną ideową. Jest wojną o demokrację, wojną z totalizmami. Trzeba więc żeby idea demokratyczna miała to samo napięcie, które mają idee totalistyczne, by miała ten sam dynamizm. A tego dynamizmu się nie wykrzesze jeżeli się pozwoli, by słowo demokracja stało się wytartym liczmanem bez żadnej wartości wewnętrznej.

Dalej trzeba pamiętać, że to nie tylko polskim objawem jest żeglowanie dzisiaj pod flagą demokratyczną żywiołów antydemokratycznych. To znaczy, że zwycięstwo sprzymierzonych, że nasze zwycięstwo nie będzie jeszcze samo przez się zwycięstwem demokracji. Wszędzie są elementy, które czekają na to, by zwycięstwo to skonfiskować, by świat powojenny urządzić w sposób daleko bardziej niedemokratyczny. Przypomnijmy chociażby tę walkę codzienną, nieubłaganą którą warstwy uprzywilejowane Stanów Zjednoczonych prowadzą przeciw Rooseveltowi i Wallace'wi. I przypomnijmy z drugiej strony, że weterani fabianizmu Sidney i Breatrice Webb, że wielu z czołowych ludzi intelektualnej lewicy angielskiej istotnie szczerze wierzy w to, że „najlepszą demokrację“ znaleźć można w Rosji Sowieckiej.

O demokrację trzeba więc dzisiaj nadal walczyć, trzeba będzie walczyć i potem, gdy nareszcie w całej Europie z powrotem zabłysną światła i gdy ryk syren już tylko będzie zwiastował odjazdy statków z portów. I dlatego na czasie jest postarać się c sformułowanie czym demokracja, ta bezprzymiotnikowa, nie ,,narodowa", nie ,,kierowana", nie ,,lepsza", jest w swej istocie.

Demokracja dosłownie znaczy rządy ludu. Najlapidarniejsze sformułowanie jej istoty daje słynne określenie Abrahama Lincolna określające ją jako rządy ,,of the people, by the people, for the people". W warunkach obecnych demokracja bezpośrednia, gdzie zgromadzenia ludowe decydowałyby o wszystkich kwestiach, tak jak lud szlachecki bezpośrednio wybierał króla na Woli, albo jak dzisiaj jeszcze w małych kantonach szwajcarskich raz do roku cały lud się zbiera na placu publicznym, by decydować o sprawach kantonu, jest oczywiście technicznie niemożliwa. Dlatego też wszystkie systemy demokratyczne są systemami rządów reprezentacyjnych. Istota jednak pozostała niezmienna. Istotą tą jest, że rządami demokratycznymi są tylko takie, gdzie ostatnie słowo należy do ludu, czyli dzisiaj, gdzie istotą i symbolem władzy jest kartka wyborcza.

Przez cały wiek XIX demokracja walczyła o to, by ta władza kartki wyborczej była istotnie władzą demokratyczną, to jest by każdy obywatel miał równe prawo głosu, by usunąć wszelkie ograniczenia prawa wyborczego. Walka ta została wygrana w Francji już w roku 1848, w Wielkiej Brytanii hasło ,,one man one vote", postawione przez chartystów już na początku wieku XIX, stało się prawem dopiero po Wielkiej Wojnie. Dzisiaj pozycja ta w demokratycznym światopoglądzie jest nienaruszalna. Ustrojem demokratycznym jest jedynie ustrój oparty na powszechnym i tajnym głosowaniu.

Z tą wszechwładzą kartki wyborczej związany jest jednak i szereg innych elementów. Jeżeli całą władzę oddajemy w ręce wyborcy to znaczy, że musi on mieć istotnie ,,wybór". Ta możność ,,wyboru" wyklucza nie tylko tak jaskrawe parodie demokracji jak wybory w Niemczech, Włoszech, czy Rosji, czy gdzie wyborca ma przed sobą tylko jedną listę. Wyklucza nie tylko takie systemy jak ostatnie polskie prawo wyborcze. Z tej wolności wyboru wypływa z nieubłaganą konsekwencją konieczność całego szeregućswobód obywatelskich, jak wolność prasy, wolność zgromadzeń, wolność agitacji. Na to bowiem, by wyborca istotnie miał wybór musi być przede wszyskim uświadomiony, co i dlaczego wybiera.

Kiedy w 1867 roku reforma wyborcza Disraelego po raz pierwszy dała kartkę wyborczą szerszym masom, jeden z polityków brytyjskich powiedział ,,Teraz musimy wykształcić naszych panów". I ustawa o powszechnym nauczaniu roku 1870 była dzieckiem tej reformy wyborczej.

Sama umiejętność pisania i czytania jest jednak tylko jednym z warunków uświadomienia wyborcy. Na to by był on naprawdę uświadomiony musi on mieć możność znania w pełni alternatyw, które przed nim stoją. I dlatego z samej istoty demokracji wypływa konieczność prasy, wolność zgromadzeń, wolnosc agitacji. Wyborca, który wie tylko to, co mu rządzący pozwalają wiedzieć, wyborca do którego opozycja nie ma równego i wolnego dostępu w istocie swej już stracił wolność wyboru. Tyranem może być nie tylko jednostka, czy zorganizowana grupa mniejszościowa, która opanowała aparat państwowy, jak to się stało w krajach totalitarnych. Tyranem może być i większość, która zaprzecza swobody mniejszości.

Koniecznym uzupełnieniem prawa rządzenia oddanego w imię demokracji większości, są swobody obywatelskie, będące gwarancją dla tych, co obecnie są mniejszością, że mogą walczyć o to, by stać się większością.

Niektórzy teoretycy demokracji, jak np. profesor Barker, idą tak daleko› że za zasadę demokracji uważają kompromis między większością, a mniejszością. Twierdzą oni, że jedynie wtedy ustawa może być uznana za

naprawdę demokratycznie uchwaloną, o ile większość nie nadużywa swego prawa stanowienia bezwzględnego a obowiązkiem większości jest nie tylko wysłuchać tego, co mniejszość mówi, ale starać się także, w miarę możności, żądania jej uwzględnić.

Jest to może zbyt radykalne postawienie sprawy. Są wypadki w których większość ma nie tylko prawo, ale i obowiązek wobec wyborców realizowania swego programu wbrew najbardziej nieprzejednanemu oporowi mniejszości. Tak zresztą było i w Wielkiej Brytanii. Wystarczy przypomnieć jak liberalny rząd Asquitha i Lloyd George'a groźbą mianowania dostatecznej ilości lordów dla zmiany większości w Izbie Lordów, przeprowadził polityczne obezwładnienie tej Izby, która stanęła w poprzek reformom społecznym.

Niewątpliwie jednak *tolerancja* wobec mniejszości, uznanie jej roli opozycyjnej za konieczny czynnik życia politycznego, jest istotnym i koniecznym warunkiem demokratycznego ustroju.

A przede wszystkim koniecznym warunkiem tego ustroju jest samo istnienie opozycji. Albowiem dopiero istnienie opozycji, istnienie możliwości rządu alternatywnego daje wyborcy, który bezpośrednio w rządzenie ani w ustawodawsto interweniować nie może, istotną możność wyboru, istotną możność decydowania o polityce państwowej.

To znaczy, że rządy demokratyczne są i muszą być rządami partii policznych, że istnienie-dwóch, czy więcej-partii politycznych jest konieczną przesłanką ustroju demokratycznego.

Walka z „partyjnictwem" o której tyle słyszeliśmy w przedwojennej Polsce, czy w przedwojennej i wojennej Francji nie jest i nie była niczym innym, jak walką z demokracją.

Monopartia jest negacją demokracji nie tylko wtedy, gdy jest oparta na Fuehrerprinzip. Jest ona negacją demokracji w samym swym założeniu, albowiem demokracja, to właśnie ścieranie się poglądów z wyborcą jako ostatecznym arbitrem.

Jakżeż w świetle tego przedstawia się hasło „jedności narodowej" ? Czasu wojny hasło to ma swoje uzasadnienie. W chwili bowiem gdy naród jako całość walczy o swe życie, walczy o swe istnienie, wspólność interesów narodowych, jest tak przygniatająca, że ludzie o najróżniejszych przekonaniach politycznych mogą się połączyć we wspólnym wysiłku. Ale pamiętajmy o tym, że taka jedność narodowa oznacza jedynie zawieszenie walk między partiami, zawieszenie decydujących rozgrywek o sprawy sporne, a nie oznacza bynajmniej zlikwidowania różnic pomiędzy nimi. „Jedność narodowa" i rządy „jedności narodowej" są objawem i wynikiem kompromisu między partiami a bynajmniej nie ich likwidacją. Widzimy to najlepiej na przykładzie naszych gospodarzy, gdzie mimo istnienia rządu jedności narodowej, ani torysowie, ani Labour Party nie wyrzekli się swych indywidualności, ani swych programów. A rewolta skrajnych konserwatystów przeciw billowi Bevin'a o uregulowanie stosunków pracy w przemyśle hotelowym i restauracyjnym, rewolta Labour Party przeciw utrącaniu przez rząd projektu Beveridge'a, a bardziej jeszcze wzrastająca ilość głosów, którą przy wyborach otrzymują kandydaci „niezależni" występujący z programami lewicowymi przeciw konserwatystom popieranym w imię wyborczego zawieszenia broni przez całą maszynerię Labour Party wskazuje, że nawet podczas wojny „jedność narodowa" jest ścisle ograniczona do wspólnej woli walki z wrogiem.

I właśnie doświadczenie wojennej jedności narodowej brytyjskiej wskazuje na to, dlaczego w czasach pokojowych hasło jedności narodowej jest, i nie może nie być, hasłem reakcyjnem, antydemokratycznym.

Założeniem jedności narodowej jest odsunięcie na bok spraw spornych. To znaczy utrzymanie status quo. Każda bowiem reforma, każda ustawa postępowa jest uznawana za sporną przez „vested interests." Wszystkie

takie ustawy wszędzie były przeprowadzane jedynie w zawziętej walce. Rewolta konserwatystów przeciw ustawie Bevinowskiej, zaakceptowanej uprzednio przez cały rząd, w którym konserwatyści mają przecież większość, była właśnie motywowana tym, że ustawa ta porusza „kwestie sporne". I nie jest wykluczone, że w dalszych obradach Bevin będzie musiał poczynić ustępstwa.

Klasycznym przykładem jak „jedność narodowa" funkcjonuje w czasach pokojowych, jest Francja. Miała ona po wojnie dwa gabinety jedności narodowej. Pierwszy raz gabinet taki utworzył Poincarè w roku 1926. Stało się to dlatego, że rządy większości lewicowej Herrot'a rozbiły się o „srebrny mur. „Banki i wielki przemysł francuski, by uniemożliwić rządy lewicy uderzyły w walutę francuską. I dla uratowania waluty powołany został przy parlamencie, o wyraźnej większości lewicowej, rząd jedności narodowej pod przewództwem przedstawiciela prawicy, Poincare'go; rząd który dawał gwarancję, że nic nie naruszy spokoju klas posiadających.

Drugim rządem „jedności narodowej" był rząd Doumergue'a powołany dla uspokojenia faszystowskiej ulicy, która wywołała rozruchy 6 lutego 1934 roku. Znowu więc „jedność narodowa" oznaczała, że wola ludu wyrażona w zwycięstwie wyborczym bloku lewicy nie będzie respektowana. Oznaczała, że prawica odrzucona przez wyborców dochodzi mimo to do władzy gwarantując, że o żadnych reformach nie będzie mowy.

Albowiem oczywiście jedność narodowa wyklucza wszelkie reformy na które nie ma jednomyślnej zgody. Daje więc tym sferom, które reprezentują mniejszość narodu, ale potężniejsze wpływy ekonomiczne nie tylko możność wolnej dyskusji, nie tylko możność walczenia o zwycięstwo swoich poglądów, ale wprost prawo veta.

A to jest niezgodne z założeniami demokracji, opartymi na prawie większości.

Przejdźmy z kolei do drugiego zagadnienia. W związku z prawie powszechnie dziś uznaną koniecznością gospodarki planowej (niedobitki laissez faire'yzmu, które tutaj np. na terenie Wielkiej Brytanii zgrupowały się w Towarzystwo Indywidualistów i których głównym rzecznikiem jest Sir Ernest Benn, nie wchodzą poważnie w rachubę) bardzo popularną staje się teoria t.z. samorządu gospodarczego. Twierdzi się, że parlament wybrany przez powszechne głosowanie na podstawie programów politycznych, nie ma po prostu kompetencji do rozstrzygania złożonych spraw gospodarczych i że wobec tego, obok parlamentu politycznego, winien istnieć drugi parlament gospodarczy, wybrany przez sfery gospodarcze i że właśnie ten parlament, czy Izba gospodarcza winny, bez kontroli ciała politycznego mieć prawo decyzji. Demokratyzm ma być zabezpieczony w ten sposób, że związki zawodowe robotnicze miałyby również zagwarantowaną reprezentację w tej Izbie. Na tym stanowisku np. stanął raport wielkich przemysłowców brytyjskich w „A National Policy for Industry". Na zbliżonym stanowisku stoją niektóre wielkie związki zawodowe brytyjskie, stoi nawet część socjalistów belgijskich.

To, że jak powiedziano idee te znalazły oddźwięk i w niektórych sferach robotniczych, tłumaczy się oczywiście tym, że związki zawodowe wiedzą z doświadczenia, że łatwiej im jest pertraktować z wielkimi zorganizowanymi grupami kapitalistycznymi, aniżeli z drobnymi przedsiębiorcami, oraz że wielkie koncerny łatwiej uwzględniają żądania robotnicze, albowiem łatwiej im jest wszelkie podwyżki płac przerzucić na konsumenta.

I tu kryje się pierwsza z przyczyn dla której wszelki, tak pojęty, samorząd gospodarczy jest niedemokratyczny. Przy najszerzej nawet bodaj pojętym udziale związków zawodowych robotniczych, przy zupełnym parytecie pracobiorców i pracodawców w takiej Izbie gospodarczej zawsze byłaby ona reprezentacją tylko jednej grupy: grupy producentów, pomijając nie mniej ważną grupę konsumentów. Byłaby więc jednostronną reprezentacją

interesów. Dalej w samym *założeniu* delegaci do tej Izby byliby reprezentantami cząstkowych interesów, w przeciwstawieniu do posłów do parlamentu, którzy w założeniu reprezentują interesy całości narodu.. Wszelkie więc większości w takiej Izbie a ostatecznie, w sprawach spornych musi rozstrzygać większość, powstawałyby jako rezultat kompromisów między poszczególnymi interesami grupowymi, a nie pod kątem widzenia dobra powszechnego. Koncepcje te nie są niczym więcej, jak mniej lub bardziej zakamuflowanymi wersjami korporatyzmu, wersjami Dollfussowskiego Staendestaat, czy Salazaryzmu, a więc negacją demokracji.

Złudzeniem jest bowiem, że można politykę gospodarczą, planowanie gospodarcze oderwać od właściwej polityki, że można planować w oderwaniu od celu politycznego i społecznego planowania.

Nie jest przypadkiem, że uczniem teoretyka syndykalizmu francuskiego, Georges Sorel'a, który swierdził, że klasę robotniczą zagadnienia walki politycznej nic nie obchodzą i że winna ona skoncentrować swe wysiłki na walkę czysto ekonomiczną, był Benito Mussolini, a że drugi z uczniów Sorel'a, Hubert Lagardelle, jest obecnie ministrem pracy Vichy.

Oczywiście i w ustroju demokratycznym jest miejsce na instytucje samorządu gospodarczego ; jest miejsce w ustroju parlamentarnym na komisje pozaparlamentarne ekspertów. Ostatnie jednak słowo, zarówno w sprawach gospodarczych, jak w sprawach politycznych, w państwie opartym na zasadach demokratycznych, należeć musi do tego ciała, które wyszło z powszechnego głosowania, t.j. do parlamentu.

To ostatnie zagadnienie, mianowicie jak pogodzić demokrację z planowaniem gospodarczym, jest zresztą może najbardziej kluczowym zagadnieniem, zagadnieniem od rozstrzygnięcia którego zależą losy demokracji w ogóle. Póki bowiem państwo było organem czysto politycznym, póty sprawa demokratyczności jego rozstrzygała się w pełni przez gwarancję swobód obywatelskich i powszechność prawa wyborczego. Z chwilą jednak gdy obok państwa wyrosły olbrzymie organizacje monopolistyczno-gospodarcze, których wpływy stały się tak potężne, że mogły jak we Francji, Stanach Zjednoczonych a po części i w Wielkiej Brytanii, skutecznie niwelować wolę narodu wyrażoną przy urnie wyborczej, sama demokracja polityczna przestaje być wystarczająca. Z chwilą tą okazało się, że liberalizm gospodarczy, który przez wiek XIX był odpowiednikiem liberalizmu politycznego zbankrutował, że jedną z wolności, ktorą zabezpieczał była wolność umierania z głodu i gdy demokracja jako hasło wystawia żądanie nowej wolności „wolnosci od niedostatku", rola aparatu państwowego wzrasta niepomiernie. I wzrasta niebezpieczeństwo uniezależnienia się tego apartu, niebezpieczeństwo technokracji, będącej sprzeczną z demokracją. Demokracja musi się przed tym niebezpieczeństwem zabezpieczyć.

Dlatego jednym z najgroźniejszych haseł obecnie jest hasło „silnego rządu", hasło usprawnienia demokracji przez wzmocnienie władzy wykonawczej, przez uniezależnienie rządu of „fluktów partyjnych".

Im szerszy bowiem jest zakres rządów, im głębiej w życie sięga administracja państwowa, tym konieczniejsza staje się ścisła kontrola rządu przez demokrację, to jest przez ciało wybrane i odpowiedzialne przed wyborcami.

Na wielu jeszce przykładach możnaby wykazać, że demokracja nie jest pojęciem kauczukowym, dowolnie rozciągliwym, że ma ona swoją istotną treść, że jest ona jedyną odpowiedzią na zagadnienia chwili obecnej. Ale na to trzebaby książkę całą napisać.

Na wstępie cytowalismy Lincoln'owskie określenie demokracji — „Governement of the people, by the people, for the people". Niech nam wolno będzie zakończyć ten artykuł tym drugim określeniem, które dzisiaj jest zawołaniem ruchu podziemnego w Polsce. Demokracja to

„*Wolność, równość, niepodległość*".

LUCJAN MICHALCZEWSKI

Autor poniższego artykułu, nadesłanego do redakcji „Nowej Polski", nie należy do żadnego z lewicowych ugrupowań polskich; reprezentuje raczej poglądy centrowo-demokratyczne. Jest to więc głos objektywny oświetlający najzupełniej bezstronnie metody i charakter ofenzywy organów „Falangi" i Obozu Narodowo-Radykalnego.

OFENSYWA OSZCZERSTW POTĘŻNIEJE

W dwóch numerach „Myśli Polskiej" (Nr. 40 i Nr. 41) zamieszczono ostatnio artykuł Stanisława Kowalskiego p.t. „Małość i błąd. Mechanizm i konsekwencje małości".

Jaką wagę przykładała Redakcja do tego artykułu może świadczyć poświęcenie miejsca na 20 kolumn druku (!) czyli ponad 10.000 słów oraz stwierdzenie autora, że jest to rodzaj *bilansu prac naszej emigracji"* . . . do czego ma prawo każdy Polak w tych decydujących chwilach".

Tezą artykułu jest zapewnienie autora, że sprawa polska na Zachodzie jest „zaprzepaszczona", a wskazanie winnych nie nasuwa żadnych wątpliwości.

W POSZUKIWANIU WINOWAJCÓW

Wywody autora dadzą się ująć w następujące linie główne: Na Zachodzie przeważała opinia o Polsce jako o kraju nacjonalistycznym i faszystowskim. Podczas wojny nikomu nie wypomina się dawnych, mniejszych, czy większych grzechów — jedynie Polsce nie przebaczono drobnych usterek z okresu niepodległości i nagonka na Polskę nie słabnie. „Ktoś tego chce, żeby Polska występowała w aurze wstecznictwa, komuś na tym zależy. . ." Otóż „ . . . ten stan rzeczy . . . jest winą samego środowiska polskiego a raczej jego części". Zawinia tu głównie Rząd Polski, władza, „. . . która po wrześniu przeszła w inne ręce", wina obciąża zwłaszcza dominujący w rządzie czynnik lewicowy, który po przyjeździe do Anglii „zaczął wywalać cały swój bogaty repertuar". „Reprodukcję żalów zaaranżowano w skali światowej, czyniono je publicznie i w przekładach na języki obce". Lewica zamiast bronić sprawy polskiej, oskarżała przed światem cały naród polski a poza tym zapragnęła uchwycić władzę w swoje ręce. Ustrój społeczny jest przecież organiczną całością, w której i lewica i prawica spełniają swoje uzasadnione funkcje, a tymczasem lewica dąży do uśmiercenia całego obozu prawicowego. Stworzono mit o polskim faszyźmie, „którego nigdy nie było" i rozpoczęto denuncjacje na wielką skalę rzekomego polskiego faszyzmu i antysemityzmu, zaprzepaszczając dla tych partyjnych celów sprawę polską i marnując trzy lata pobytu w Anglii. Najwyższy czas „ukrócić spryciarzy" i naprawić zło.

SKIERUJMY REFLEKTOR NA „PROKURATORA"

Oczywiście powyższy skrót nie zawiera dziesiątków innych zarzutów, ani nie może też oddać specyficznej „atmosfery" artykułu, dopiero przeczytanie całości tego generalnego oskarżenia lewicy i obozu demokratycznego pozwala zorientować się w *wielkiej grze, rozpoczętej wielofrontowym* atakiem, w którym artykuły „Myśli Polskiej" stanowią tylko pewien wyznaczony odcinek.

Spróbujmy przypatrzeć się bliżej zarówno założeniom, jak i technice konstruowania zarzutów. Dla bliższego, „anatomiczego" zbadania przyjdzie nam zdjąć z tego Fidiasza marynarkę, nie na jego miarę robioną,

zdemaskować wywatowane bicepsy „tromtadracji mocarstwowej", wyczuć i zmierzyć puls tego historycznego krzyku „o wielkość" i młoteczkiem psychiatrycznym opukać cały organizm myślenia w poszukiwaniu śladów reakcji normalnych, czy chorobowych.

Założenie artykułu i zarzuty główne, wytoczone polskiej myśli postępowej sformułowane są *według starej techniki*: *„łapaj złodzieja"*. Ponieważ autorem jest wybitny publicysta, nie obce mu jest *unowocześnienie* tej techniki przez mistrza Goebelsa, czy reżyserów „Radia chrześcijańskiego", operującego gdzieś na wschód od Polski. Podobną techniką posługuje się propaganda niemiecka, gdy winę za wybuch wojny zwala na Roosevelta, na Churchilla, czy na Polskę, zależnie od „sezonu politycznego".

Jako wytrawny demagog autor podlewa odpowiednio sosem naukowym swoje fałsze a tak łatwo słowami: „projekcja" „zakres patologii socjologicznej", „organicznie i strukturalnie" i t.p. okryć zwykłe bzdury.

Ponad to dla uzyskania efektów sugestywności i budzenia nastrojów autor grupuje z lubością, przy ważniejszych zarzutach, makabryczne przymiotniki w rodzaju: „potworne", „straszne oskarżenie", „straszliwy eksperyment" „najdramatyczniejsza pretensja", „o krwawa ironio" i t.p. zwroty ze słownictwa „Wernyhory emigracyjnego". Są miejsca, gdzie po prostu widzi się, jak autor zamyka oczy i pobożnie krzyżuje rączki na piersiach, a łypie przy tym badawczo oczami na boki, czy wywiera dostatecznie płaczliwe, czy też tragiczne wrażenie.

POTOP KŁAMSTWA I OBŁUDY

Zajmijmy się teraz kilkoma przynajmniej kłamstwami, z góry zaznaczając, że nie jest to rzecz łatwa. Z dziesięciu tysięcy słów, co najmniej połowa, to nie tylko oszczerstwa, to *cyniczne odwrócenie rzeczywistości o* 180 *stopni.* „Stranger than fiction". Wiadomo, jak trudno prostować jedno fałszywe zdanie, cóż dopiero, gdy tu cały wodospad kłamstwa leje się ze szpalt „Myśli Polskiej". Wyłowienie chociażby kilku najistotniejszych przeinaczeń prawdy rzuci jaskrawe światło na całą istotę manewru.

To co mówimy nie jest przeznaczone dla ludzi z obozu autora. Tych nic nie przekona. Obóz skrajnie narodowy odrzucił niepotrzebny balast, obciążający pozostałą część środowiska polskiego, *balast refleksji i ważenia argumentów*. Wszystko u nich jednoznaczne i proste. Idzie nam raczej o zaalarmowanie lewicy i tych elementów centrum i prawicy, które dotąd wierzą jeszcze w podstawy etyczne demokratycznego życia. Idzie o wskazanie do jakich granic zakłamania doszła grupa skrajnych nacjonalistów polskich. Ekshibicjonistyczna spowiedź publiczna ich sztandarowego apostoła jest ostrzegawczą zapowiedzią całkowitego przewrotu w dziedzinie analizy zjawisk społecznych, w dziedzinie myślenia i sądzenia. Przysłowie francuskie mówi: „rzucaj błotem, zawsze coś z tego przyschnie." Póki to robiła anonimowa „Walka" można było wzruszać ramionami, skoro jednak te same argumenty i wywody czyta się w „Myśli Polskiej", a wybitny publicysta bierze do ręki kubeł z farbą, by kunsztownie i z pełną świadomością przemalowywać prawdę, to są to już objawy zarazy ogarniającej w naszych oczach z zawrotną szybkością coraz to znaczniejsze szeregi.

CZY ZARAZA FASZYSTOWSKA OGARNĘŁA JAKIEŚ ODŁAMY SPOŁECZEŃSTWA POLSKIEGO.

Zrezygnujmy z góry „pro foro externo" z terminologii: „faszysta" i „hitlerowiec". To obraża polskich ONR-owców, kwestionuje ich niewątpliwy patriotyzm i nie odpowiada treści ich ideologii, formowanej odmiennie od nazizmu, czy włoskiego faszyzmu. Postawmy sobie natomiast kilka pytań. Czy olbrzymi napór idej i myśli faszystowsko-nazistow-

skich a zwłaszcza efektowne pokazy zdobywania władzy totalnej, nie zrobiły żadnego wrażenia przynajmniej na pewnych odłamach społeczeństwa polskiego reagującego zawsze tak czule na przemiany Zachodu? Czy nie przemówiły do wyobraźni młodzieży? Czyśmy nie widzieli w Polsce pochodów i pielgrzymek, ,,koszul" i ,,wodzów", obozów z odgórną hierarchią szefów, czyśmy nie czytywali pism, szczujących według wzorów ,,sąsiedzkich", czyśmy nie byli świadkami polemik nawet w obozie katolickim, wydawałoby się tak zdecydowanie anty-totalistycznym. Tak np. ś.p.ks. Piwowarczyk, redaktor ,,Głosu Narodu", zamęczony później w Oświęcimiu, zmuszony był do ostrego wystąpienia przeciw poglądom ks. J. Bocheńskiego, pełnym sympatii dla totalizmu. Tak nieodżałowany, prawdziwy demokrata-chrześcijanin Wojciech Korfanty rzucał gromy na totalistyczne zapędy młodocianych ,,wodzów" obozu radykalno-narodowego.

W zakresie przemian ideologicznych każde zjawisko, występujące na Zachodzie, przeżywała Polska o kilkanaście lat później w słabszym przeważnie natężeniu. Tak było z reformacją, humanizmem, oświeceniem i romantyzmem, rewolucją francuską, pozytywizmem, socjalizmem itd. W wypadku faszyzmu zjawisko się niesłychanie skomplikowało. Wrześniem 1939 i okrutnym terrorem trzech lat okupacji naród został wstrząśnięty do głębi. *Szokiem, jakim było widowisko rozhuśtanych instynktów nacjonalistycznych, naród polski został jak gdyby zaszczepiony i* zdawałoby się raz na zawsze wyleczony z niebezpieczeństwa zakażenia faszystowskiego. *Inaczej rzecz się ma z zarazkiem, który uniosła w r.* 1939 *część emigracji.* Ale zbyt ciekawy to temat, żeby nie omówić go osobno, żeby bez żonglowania przymiotnikami ,,hitlerowski", czy ,,faszystowski" nie wykazać zbieżności idei, koncepcji, sloganów, których totalistyczną treść usiłuje się zakrywać emocjonalnym pokostem narodowym.

Nikt z nas nie wierzy, by w kraju, tak jednolitym, tak zwartym, znalazł się Quisling po trzech z górą latach bezprzykładnego totalnego, w dobrym znaczeniu tego, słowa, oporu. Można nie wierzyć w przewrót z inspiracji niemieckich w odrodzonej Polsce. Ale z troską trzeba myśleć o mroku, jaki na pewne umysły rzuciły obce i wrogie duchowi polskiemu ideologie, jak pokryły śniedzią wiele gorących serc i nieprzeciętnych mózgów. Powrócimy do tego tematu w osobnym artykule.

CZY LEWICA OBJĘŁA WŁADZĘ NA EMIGRACJI?

Najbardziej humorystycznym, obliczonym tylko na łatwowiernych i naiwnych wyznawców własnego obozu jest twierdzenie p.K., jakoby rządy na emigracji objęła lewica, gdy w istocie lewica i centrum nadal są w pełnej rozsypce i w odwrocie na wszystkich polach, nieświadome narastającego niebezpieczeństwa. Jak to do złudzenia przypomina krzyki o zagrożeniu narodu przez żydów i masonów w pewnym ,,wzorcowym" państwie w latach 1933-34. Pan K. pisze filuternie: ,,Lewica ma w tej chwili *większość* spraw polskich na emigracji w swojej dyspozycji". Albo: ,,Czynnik lewicowy zgłosił od razu największe pretensje. . . ." Lub to generalne podsumowanie: ,,A jeśli mimo wszystko, chce się to, co było w Polsce przedwojennej, nazywać faszyzmem, to *dziesięćkroć razy więcej jest faszyzmem to, co się dzieje w dzisiejszym rządzie polskim, któremu sankcję daje Gen. Sikorski, a ton i kierunek polska lewica*". W ogóle do obliczeń p.K. ma szczególne zdolności: ,,*Dziesięćkroć więcej*". Gdyby pisał o Bieleckim i Doboszyńskim gotówby był obliczyć, że są stokrotnie mniej faszystowscy od Słonimskiego, czy . . . Sopickiego.

Rozejrzyjmy się z niepokojem, gdzie są te wpływy lewicy. Czy w Rządzie Polskim? Są tam co prawda Kwapiński i Stańczyk, członkowie PPS, ale i ci nawet przez socjalistów innych krajów nazywani są z przekąsem

„polskimi nacjonalistami" za ich typowo polski, a więc na gruncie patriotycznym stojący socjalizm. Ale już ludowiec Mikołajczyk, chłop poznański, farmer, jakby go określono na Zachodzie, mało entuzjazmuje się marksizmem. Czy możnaby np. stosując „licentia poetica" à la pan Kowalski, nazwać Raczyńskiego „małorolnym radykałem", Strońskiego „ascetycznym Robespierre'm emigracji", a Hallera „komunizującym masonem"? Czy Strassburger głosi wywłaszczenie fabrykantów i ziemian, a Komarnicki nawrócił się na „trockizm" ? Czyżby przyjaciel Dmowskiego Seyda, u schyłku życia, przechrzcił się na socjalistę. A może premiera Sikorskiego uważa pan K za „czerwonego generała", a przywódcę chrześcijanskiej-demokracji Popiela za „rewolucyjnego ateusza" ? Doprawdy trzeba po prostu przecierać oczy ze zdumienia, jak niskie wyobrażenie o czytelnikach, „Myśli Polskiej" ma pan K., albo też liczy na ich radosny uśmieszek porozumiewawczy : „Ach jaki ten nasz K. sprytny ! "

Ujmijmy jeszcze raz Rząd Polski w formułkę cyfrową : Na lewicy — dwie osoby, w centrum Mikołajczyk i Popiel, natomiast na prawicy, która przecie według określenia pana K. „. . . reprezentuje wartości związane z tradycją, historią, akcentuje to, co jest w narodzie odwieczne, stale niemienne . . ." — mamy skupionych ośmiu ministrów. *Dziwny ten „czerwony" wóz rządowy, ciągniony przez 8 koni w prawo i przez 2 w lewo.*

Mógłby pan K. zarzucić, że opuściliśmy prof. Kota. Ale ten udziału w posiedzeniach Rządu nie bierze, wyciągając kasztany z ognia dla Rządu, Gen. Sikorskiego i sprawy polskiej, to w Kujbyszewie przez pełną poświęcenia pracę dla ratowania ludności polskiej, to na Średnim Wschodzie, to wreszcie w Palestynie, przez wzięcie na siebie personalnie odium shisteryzowanej emigracji za uczciwy i ludzki stosunek do sprawy żydowskiej. Ale ten wybitny uczony, profesor historii kultury polskiej, chyba bardziej związany jest z tradycją i historią narodu, niż panowie Bielecki, czy Doboszyński, przeżuwający obce wzory.

Na uboczu stoi też prezez NIK — Tomaszewski, członek PPS, umieszczany raczej we frondzie narodowej tej partii.

A może pan K. widzi wpływy lewicy w Radzie Narodowej ? Tam PPS nie mogąc zawsze liczyć na poparcie ludowców, którzy prowadzą odrębną politykę, ma przeciw sobie w wielu sprawach zasadniczych zblokowane Stronnictwo Pracy i Klub Narodowy, nie licząc t.zw. „Bezpartyjnych" (z wyjątkiem Szerera i Kożusznika).

A może Sztab Naczelnego Wodza obsadzony jest przez zwolenników lewicy, lub też znajdzie pan K. chociażby na lekarstwo jednego pułkownika-lewicowca ?

Kiedy szukamy tych wpływów lewicy na innych polach, to ze zdumieniem stwierdzamy, że nie tylko PPS, ale również ludowcy odsunięci są od wielu placówek, że ich pisma i wydawnictwa z trudem docierają do świetlic i oddziałów wojskowych tak w W. Brytanii jak i na Średnim Wschodzie, mimo spełnienia warunków, jakie zazwyczaj władze wojskowe oświatowe wszelkim wydawnictwom stawiają i mimo udzielenia odpowiednich zezwoleń w rozkazach. Wpływy skrajnych nacjonalistów sięgają do radia, oświaty, do wielu urzędów i placówek, ugruntowują się w „jedynce", „dwójce", ‚trójce", do „dwudziestki" włącznie, jeśli ktoś sobie taką numerację wprowadzi.

Rzadki okruch prawdy w „bilansie" pana K. to stwierdzenie, że lewica nie ma ludzi. Nie miała ich również w Polsce, ale zbyt złożone są przyczyny tego zjawiska, by je tu rozpatrywać.

Może najwięcej na emigracji jest ludzi apolitycznych, na prawdę szczerych demokratów, którzy sobie nawet nigdy swego nastawienia demokratycznego nie uświadomili, ale w ludzi tych bije skoncentrowany, huraganowy ogień artylerii nacjonalistycznej. Gdzie nie dociera chwyt uczuciowy, czy gra na impulsach, tam dosięga celowo kolportowana, oszczercza plotka, godząca

we wszystko i w każdego i chwieje się ta bezkształtna politycznie masa i coraz częściej w zgiełku natrętnych sloganów nie słyszy spokojnego, umiarkowanego głosu rozumu.

Widzimy, jak słusznie mówi pan K., że „sytuacja lewicy w tej wojnie jest wyjątkowa". Istotnie, jeszcze tylko brakuje sporządzenia list proskrypcyjnych i prośba do Anglików, ażeby na wyspę Mann wysłano pisarzy i działaczy tej *lewicy, która dla pana K. rozpoczyna się chyba od Seydy w lewo*, a paradoks tej wojny i sytuacji emigracji polskiej będzie ukoronowany.

Ta „potężna lewica" ma według proroczej wizji pana K. szatański plan, co gorzej urzeczywistnia go już częściowo, gdyż: „. . . przeprowadzono w ciągu tych trzech lat dzieło, które miało wytrącić z gry całe ugrupowania polityczne. Mało powiedzieć wytrącić z gry. Przekreślić, skompromitować, uśmiercić śmiercią cywilną i pogrzebać w uczciwej opinii, cały wielki odłam narodu polskiego. W miarę upływania czasu, niepokój podsuwał coraz ostrzejsze środki. Bo a nuż nie zatłukło się jeszcze ofiary dostatecznie i partner wstanie z pod tej młocki. Więc *czerpiąc z bogatego doświadczenia i wynalazczości technicznej wielkiego wodza tych szalonych czasów, na całą wielką część społeczeństwa polskiego — rzucono trąd*".

Niemcy twierdzą, że żydzi zarażają innych tyfusem, pan K. lewicy polskiej przypisuje specjalizację w trądzie, ale jakby zamało wykorzystał efektów paraboliczno-uczuciowych porównuje jeszcze postępowanie lewicy w formie swoiście „wybrednej" i „kulturalnej" z hitlerowskimi metodami wytracania żydów. Oto dosłowny cytat w całej krasie mistycznej: „Należy przyznać, że Hitler, gdy się zabiera do podobnych egzekucji masowych robi to okrutniej, jego wagony śmierci, wyścielane niegaszonym wapnem, oraz jego komory gazowe są zaiste bardziej barbarzyńskie, *ale punkt wyjścia jest ten sam: i tu i tam starania o jednotonowość grupy społecznej, o „czystość". Żeby jakaś jednak różnica istniała* po dwuch stronach frontu, realizacja marzeń Hitlera odbywa się w płaszczyźnie śmierci fizycznej, realizacja marzeń polskiej lewicy w płaszczyźnie moralnej". Lewica polska robi więc to samo z narodowcami na emigracji, co Hitler z żydami w Polsce! Rozumowanie pana K. wkracza w tych partiach w dziedzinę jakiegoś niepokojącego obłędu. Gdzież są ci męczennicy? Czy w szeregach bezkarnie hulającej „Walki", czy w szeregach podobnych panu K., doskonale sytuowanych urzędników, pisujących paszkwile do prasy opozycyjnej nawet na własne działy pracy („o krwawa ironio" wg. stylu pana K.), czy też wśród dyplomatów, którzy wydają najtajniejsze akta państwowe p. Mackiewiczowi, „Walce", a któż zaręczy czy i nie dalej jeszcze?

„WIELKI ODŁAM NARODU POLSKIEGO"

Kto go reprezentuje? Jest rzeczą znaną, że warcholskie elementy nacjonalistyczne, dyszące niecierpliwie, aby się dorwać do monopolistycznej władzy, wyszły poza obręb właściwego stronnictwa narodowego. Pozostały po tym exodusie Klub Narodowy kontynuuje tradycje Narodowej Demokracji, gdy nowy połączony z „Falangą" i ONR Obóz Narodowy *nie mógł już przełknąć słowa demokracja w deklaracji stronnictw o jedności narodowej.* Prężność dynamiczna tej grupy, złudzenia „potęgi", jakie daje opanowanie części emigracji, obfitego pomiotu z dawnej, skorumpowanej i nieprzebierającej w środkach kliki sanacyjnej, zdobycie gorących serc młodzieży, wszystko to podsuwa miraże władzy, która wydaje im się tak łatwa i bliska, zwłaszcza na ciasnym podwórku emigracyjnym. Zblokowani z „Falangą" (co za wydźwięk ma to słowo i jakie skojarzenia budzi na Zachodzie), ONR i innymi mętnymi, już nawet nie kierunkami politycznymi, ale wprost sektami, — ci ludzie pretendują do „wielkiego odłamu narodu polskiego". I ten „wielki odłam" lewica chce uśmiercić! Ty-

powy wywód „pars pro toto“, tym razem mała pars, ale naprawdę pars pro-totalistyczna.

Pan K. ubolewa, że na lewicy brak człowieka „wielkiego formatu“, któryby nakazał lewicy opamiętanie. Ciekawe, jaki format przymierza pan K. do wodzów własnego obozu: Bieleckiego czy Przetakiewicza, Doboszyńskiego, czy ks. Bełcha. Za dobrze się wszyscy znamy na małym podwórku emigracyjnym, żeby nie zdawać sobie sprawy, jakiego formatu są ci „wodzowie“, lub jakie nakręcają ich sprężynki, stare i zgrane. Dla tego rodzaju wielkości brak jest tu przede wszystkim perspektywy przestrzeni, defilad, okrzyków. Gdy wodzowie pałaszują demokratycznie razem z tłumem bigos u Jóźwiaka, wielkość może być łatwo podpatrzona i we właściwych proporcjach oceniona.

Autor miota się na niesłychany fakt rozbicia prawicy na 2 grupy, sugerując nacisk z zewnątrz, a nie wewnętrzne rozbicie. Pisze: „Aby już zbyt bezczelnie nie prowokować zdrowego sensu i nie wydrwić zanadto własnych założeń programowych — nie należało tej zasady naruszać tak, aby to było widać“.

Znów zabawa w „ciuciubabkę“ z rzeczywistością. Nikt chyba nie wątpi, że sytuacja prawicy na emigracji nigdy nie była korzystniejsza. Umiarkowany odłam ma przewagę w Rządzie, obsiadł większość placówek a skrajny odłam tępi bezlitośnie insynuacją, plotką każdego niezależnego i odważnego człowieka innych przekonań, a poza tym razem z wielkomocarstwową sanacją reprezentuje jedyną opozycję.

W RZĄDZIE I W OPOZYCJI

Co za wspaniała sytuacja! Prawica ma przewagę w rządzie i ton nadaje opozycji, a przy tym krzyczy w niebogłosy, że jest uśmiercana. Postawa moralna tyowa dla obłudnika, czy też przebiegłego uczestnika wszystkich ustrojów, nieśmiertelnego sanatora. Prawdziwego rozkładu sił na emigracji nie widzą tylko ślepi, lub ci co przymykają tylko oczy i mrugają porozumiewawczo. Teraz tylko wystarcza zrobić straszny krzyk, że grozi przewrót lewicowy, że lewica ma ogromną przewagę, a już nikt przy tym bicu w tam-tamy nie zauważy, że rzeczywistość przedstawia się inaczej.

Faktem jest, że ani w rządzie polskim, ani w *środowiskach emigracyjnych nie ma radykalnej lewicy*, tak typowej dla innych narodów *europejskich, natomiast tylko ślepcy nie widzą narastającej i coraz butniej panoszącej się radykalnej prawicy*. Istota organicznej, zdrowej struktury społecznej grozi więc zwichnięciem, ale akurat w przeciwną stronę, niż to fałszywie usiłuje udowodnić pan K.

Odnosi się wrażenie, że autor przez lornetkę ogląda sytuację polityczną na emigracji i ilekroć widzi lewicę, to patrzy przez szkła powiększające, ilekroć mówi o prawicy, skromnie lornetkę odwraca drugim końcem. Udaje sam, że nie widzi, może i inni nie zauważą. Dymna zasłona jego analizy ma spowijać w ukryciu wielkie manewry, jakie rozpoczęły się na emigracji, zdobywanie metodą konia trojańskiego urzędu po urzędzie, placówki po placówce, — manewry, które tu na emigracji mają przygotować kadry do „zrobienia porządku“, może tu jeszcze, może po powrocie, w pierwszych chwilach chaosu. Kult „ofiarnego Eligiusza“ nie wygasł, raczej ponownie stwarza się dla niego „klimat“ niewiarogodnym podszczuwaniem.

DENUNCJATORZY CZY OBROŃCY SPRAWY POLSKIEJ?

Majstersztykiem sztuki sofistycznej jest zarzut, że lewica polska, zamiast bronić sprawy polskiej, denuncjowała każdy objaw rzekomego faszyzmu polskiego. I ona to jest winna, że opinia o Polsce faszystowskiej i antysemickiej na zachodzie, zamiast ulec zmianie, jeszcze się pogorszyła. — „Puszczono w ruch olbrzymią maszynę propagandową, użyto wiele naci-

sków, wyzyskano dziesiątki kontaktów". Autor oburza się, że obóz narodowy nazywa się faszystami. „Myślę" — pisze on, „że Anglicy sami tej nazwy dla nas nie wymyślili, że to poszło z płodnej inspiracji". I parę zdań dalej — „Przypominam sobie nieszczęsną, sprawę „Jestem Polakiem" i jej pogłos w prasie brytyjskiej. W tym wypadku ktoś musiał denuncjować na zewnątrz".

Trudno o zręczniejsze sfałszowanie prawdziwego obrazu, który wygląda w ten sposób, że ludzie lewicy w pismach, rozmowach, na zjazdach, przez odczyty, protesty i listy do prasy, artykuły i t.p. *bronią nie tylko sprawy Polski, jej granic i prawa do niepodległości, ale wybielają z komicznym zapałem* wszystkich falangistów, ONR-owców i t.p. niepoczytalnych działaczy.

Bardzo nisko ceni p. K. naszych gospodarzy, uważając, że ich *nie interesuje wewnętrzne życie polskie.* Tak jakby nie było setek Anglików znających język polski, instytutów, z urzędu badających opinię i prasę polską.

Spójrzmy też, kto pisze listy prostujące do „Tribune", „New Leader", „New Statesman & Nation", „Daily Herald" i wielu innych pism, nam nieprzyjaznych. Oto ludzie, o których z przekąsem mówi p. K., że „zaliczają się do wielkiego kręgu lewicowego, czy jak modnie jest teraz mówić „demokratycznego" ze specjalnym akcentem na tym słowie; a więc Pragier, Słonimski, Zahorska, Ciołkosz, Bauer-Czarnomski, Poznański, Filipowicz, i dziesiątki innych — natomiast na lekarstwo nie znajdziesz ludzi ze skrajnego skrzydła, a p. Rojek odważył się dopiero po 3 latach na zabranie głosu w prasie angielskiej.

W sumie ten stosunek walczących o sprawę polską w prasie angielskiej jest korzystny dla lewicy jak 30: 1 (Współczynnik dopuszczalnej omyłki znacznie niższy niż w obliczeniach pana K.)

Przeważnie lenistwo i sarmacka duma wpływa u wielu ludzi „wielkiego formatu" ze skrajnej prawicy na małą znajomość nie tylko języka, ale i stosunków angielskich. Tak samo akcje: odczytowa, koncertowa, referatowa, współpracy z organizacjami międzynarodowymi prowądzone są w przeważającej liczbie przez tych, tak pogardliwie zwanych demokratów. W tym kierunku poszły wysiłki polskiego Pen Klubu, prelekcje jego członków: Kuncewiczowej, Balińskiego i innych. Lewicowa Informacja Społeczna oddziaływuje głównie na ośrodki robotnicze Wielkiej Brytanii przez stałą akcję odczytową, na pewno rekordową wśród instytucji polskich.

Dziwnym zrządzeniem losu poezja pisarzy demokratycznych nie tylko zdobyła sobie uznanie na emigracji, dotarła do kraju, ale przemówiła również w przekładach do czytelnika angielskiego. „Alarm" deklamują nawet ONR-owcy oczywiście opuszczając nazwisko autora. Gdzie bawi muza skrajnych narodowców!? Co o Polsce walczącej piszą geniusze emigracyjni tego obozu? Ilu z ich zdolnych publicystów nawiązało kontakty z prasą brytyjską?

Bardzo źle wypada ten bilans i to na niekorzyść „wielkiego odłamu". Ale to nie wszystkie pozycje jeszcze obliczone.

POLITYKA WYDAWNICZA

Spójrzmy na produkcję wydawniczą. Lewica, przekreślając swoje interesy partyjne, wydaje głównie publikacje, przeznaczone dla czytelnika angielskiego i obsługuje prasę brytyjską. Dużo wiadomości o Polsce przyniosły doskonałe broszury paropensowe, wydawane przez Polską Informację Społeczną. Dawniej nawet je pochwalał p. K., teraz na łamach „Myśli Polskiej" znajduje w nich „potworne" i „karygodne" błędy, gdy ośmielono się wydać Program Polski Ludowej. Tymczasem cała omal *produkcja skrajnej prawicy jest i była przeznaczona na rynek wewnętrzny*, na pogłębienie konfliktów w emigracji, zbałkanizowanie jej i nacjonalistyczne rozhisteryzowanie. Poczciwy i uczynny Mildner drukował jednym tchem „Żywot Św. Stanisława i jego znaczenie dla narodu", „Dziedzictwo"

Wybranowskiego, tendencyjną „powieść", pod którą autor jej wstydził się podpisać własnym nazwiskiem, „Jestem Polakiem" i dziesiątki broszur politycznych. Cóż dopiero mówić o *wydawnictwach nielegalnych, które są nie tylko zbrodnią wobec sprawy polskiej, ale też grubym nietaktem* wobec zdyscyplinowanego i tolerancyjnego społeczeństwa brytyjskiego, owych „Polakach walki", ulotkach, pocztówkach, hasłach, listach i t.p., nie mówiąc o „Walce", kontynuacji ideowej „Jestem Polakiem".

Jeszcze w roku 1941 „Myśl Polska" walczyła z tym szaleństwem, jeszcze p. R. podkpiwał sobie z Przetakiewicza, w parę miesięcy później nastąpiło połączenie secesji „bielecczyków" ze Stronnictwa Narodowego z obozami Falangi i ONR'u, czyli *ludzie „Walki" zostali organizacyjnie i ideologicznie adoptowani przez ludzi umiarkowanej dawniej „Myśli Polskiej", czy też odwrotnie* !

Powiązania tego nigdy się nie wypierano. „Walka" pisała o „Jestem Polakiem" :

> „Było to pierwsze narodowe pismo na uchodźctwie, to też wszystkie ciemne moce międzynarodowe po obu stronach Atlantyku rozpętały się, by je utrącić. Głośno o nim było w Parlamencie angielskim i w otoczeniu Prezydenta Roosevelta . . ."

Pismo to :

> „. . . zajęło postawę bojowo katolicką, nie bało się pisać o masonerii i piętnować brudów polskiego Londynu. Pierwsze na emigracji rzuciło hasło masowej emigracji żydów z Polski po obecnej wojnie . . . , pierwsze . . . żądało dla Polski obszarów kolonialnych . . ."

„Myśl Polska" w artykule p. K. chwali „Jestem Polskiem", chociaż nie przyznaje się przezornie do „Walki". Dla odmiany znów „Wiadomości Polskie" przedrukowują często i z lubością „Myśl Polską" i nowojorski „Nowy Świat". Bogaty, skuzynowany koncern ! Ciekawe, czy ta koordynacja jest przypadkową zbieżnością, czy też w tym dyrygowanym chórze „opinii publicznej", ktoś z góry wyznacza rolę histerycznemu sopranowi „Walki", czy zakłamanemu barytonowi „Myśli Polskiej".

Jakby zamało było obozowi skrajnie nacjonalistycznemu propagandy własnych celów politycznych w wewnętrznym życiu emigracji polskiej, próbowano ponad to specjalnymi numerami angielskimi („o krwawa, potworna ironio" — jakby powiedział p. K.) zwrócić uwagę obojętnej opinii angielskiej na siebie.

Zarówno bowiem w „Jestem Polakiem" jak i w „Walce" umieszczano niektóre artykuły „ważniejsze" jak i niezdarne, kompromitujące apele w języku angielskim. Jakby ktoś na ulicy nachalnie zaczepiał przechodniów i krzyczał : „Czemu nie zwracacie na mnie uwagi, taki jestem przecież rewolucyjny ! "

Pan K. zamiast wdzięczności dla lewicy za bagatelizowanie tych wyskoków na gruncie angielskim, za ukazywanie niedojrzałości tych wybryków określa postępowanie lewicy jako denuncjację.

Głupotę w rodzinie ukrywa się z zażenowaniem. Tak robiła też polska lewica z pisemkami i świstkami nacjonalistycznymi.

Ale p. K. żąda od lewicy trochę za dużo. Zabrania jej na łamach prasy własnej walczyć z szowinizmem skrajnej prawicy, bo to . . . gotowi przeczytać Anglicy. I tylko z tego źródła dowiedzą się, że w polskich kołach istnieją tendencje podobne do faszyzmu ! Natomiast p. K. żadnego skrępowania w stosunkach wewnętrznych nie uznaje i może nałgać ile wlezie, oszczerczą kampanią podburzać żołnierza, lotnika, urzędnika. Mówiąc obrazowo, p. K. ma prawo w dyskusji używać . . . karabinu maszynowego, dając przeciwnikowi do ręki w tym pojedynku. . . . Pismo Święte. Swoista i charakterystyczna dla jego obozu moralność !

Pełna najlepszych intencyj młodzież, podszczuwana przez prowodyrów, w atmosferze zupełnej bezkarności, o jakiej nie było mowy w Polsce przedwrześniowej (według p. K. „dziesięciokrotnie" mniej faszystowskiej, niż obecny rząd emigracyjny), wybrała najtragiczniejszy okres naszej walki o byt narodowy, by w nielegalnych na terenie praworządnego narodu wydawnictwach obnosić swoją „dętą mocarstwowość", swoje „wielkości

nie trzeba się bać", a nawet swój antysemityzm, dając w ręce wrogie groźną i niebezpieczną broń.

Kto wie, czy Goebbels nie przygotowuje dla przyszłych „demokratycznych" Niemiec bogatego dossier z wydawnictw polskich na emigracji ? A może to robią dobrzy Niemcy ? A może gdzieś w szufladach czeka ten cały materjał na ambarasujący bilans w chwili dla Polski najbardziej niekorzystnej ? Napewno czyta się to pilnie w niejednej ambasadzie londyńskiej i następnie wykorzystuje wobec narodów sprzymierzonych.

SPRAWA ANTYSEMITYZMU NA EMIGRACJI

Wielu Polaków nie lubi Żydów. Może dlatego, że stanowili obcy organizm w społeczeństwie. Obie strony nie są winne tej niechęci. Tak samo Turcy nie znoszą Ormian i Greków, Amerykanie — Murzynów. Być może w głębi czają się nawet odruchy fizjologiczne, jako tło tej niechęci. Cały postęp ludzkości to stopniowe opanowywanie odruchów i podporządkowywanie ich rozumowi. Skazane na wspólny żywot obie strony muszą znaleźć uczciwe, etyczne rozwiązanie zagadnień współżycia. Na emigracji brak tej kontroli odruchów przez rozum polityczny, występuje niestety niejednokrotnie. Chełpimy się, że byliśmy tolerancyjni w przeszłości, kiedy cały świat był antysemicki, co zresztą jest historycznie prawdą, natomiast teraz kiedy cały Zachód stawał się coraz bardziej wobec Żydów życzliwy, skrajna prawica polska tolerowała, a nawet na emigracji niedwuznacznie kultywowała antysemityzm. *Jak bardzo pomyliliśmy się z rozmieszczeniem naszych nastawień uczuciowych w czasie* ! Ile słuszności jest w ocenie jednego pisarza angielskiego, że Polska wyszła na arenę dziejową XX wieku z umysłowością pod wieloma względami osiemnastowieczną utrwaloną w latach niewoli !

Emigracja animowana ciągle nienawistną i oszczerczą kampanią przeciw rządowi zatraca poczucie rzeczywistości i zapomina, co się dzieje w kraju. Trzeba brutalnie uświadomić sobie, że są *na emigracji* ludzie, którzy nie wierzą tragicznym wiadomościom, nadchodzącym z kraju, nie wczuwają się dostatecznie w tragizm ginących setkami tysięcy żydów polskich, nie zdają sobie sprawy że po eksterminacji żydów przyjdzie kolej na Polaków, a właściwie sądząc z rozmiarów wysiedleń chłopów z lubelszczyzny kolej na eksterminację biologicznej masy narodowej, na tępienie, Polaków już nie tysiącami, a milionami nadeszła w hitlerowskim „rozkładzie czasu."

Żądając od społeczeństw anglosaskich współczucia dla prześladowanych i zerwania z uporczywą legendą „dobrych Niemców", trzeba jako wrogów wewnętrznych i „piątą kolumnę", świadomą lub nieświadomą traktować tych wszystkich, którzy lekkomyślnie odrzucają wieści z kraju, wątpią w ich prawdziwość, lub nie daj Boże gotowi są szydzić z nieszczęścia, póki nie giną ludzie ich wiary czy ich rasy.

Na tym tle rodzą się w społeczeństwie emigracyjnym niechęci i ugruntowuje się świadomie kolportowana opinia, że rząd polski zaniedbuje informowania zagranicy o losie Polaków, kosztem przesadnej informacji o położeniu Żydów. Inspiracja ta przegląda z ostrożnego artykułu p.t. „Rozpiętość" p. Rojka w „Myśli Polskiej" (Nr. 39). Autor pisze :

> „Rząd polski wyrobił w opinii świata *tylko przekonanie*, że okupowana Polska służy jako miejsce masowej, ponurej kaźni dla Żydów z całej Europy. Całym sercem ludzkim i całym sumieniem chrześcijańskim oburzamy się wszyscy na morderstwa niemieckie, dokonywane na ludności żydowskiej, ale to przecież nie wyczerpuje zagadnienia progamu niemieckiego wobec Polaków. Jest to program specjalny. Czy dużo o nim świat wie, czy *nie sądzi się raczej powszechnie, że nie jest w Polsce — z wyjątkiem Żydów-aż tak źle*, a w każdym razie nie gorzej, niż np. w Norwegii?"

Obok tej jedynej wzmianki cały artykuł wyzyskany jest do ataku na rząd i lewicowe projekty ustroju Polski. Osobliwa okazja, osobliwa forma minuty milczenia nad grobami milionów !

W Kraju wszystkie odłamy opinii polskiej potępiły rzeź Żydów. Obóz

najskrajniejszy milczy. Pan K. słyszał o tym z ust naocznego świadka, a mimo tego pisze: „Najbardziej radykalne odłamy protestują słowami pism tajnych". Gdyby artykuł jego przeznaczony był dla pisma angielskiego możnaby go usprawiedliwić, gdy pisze w „Myśli Polskiej" — fałszuje fakty na użytek wewnętrznej polityki partyjnej.

Gdy go się napiętnuje, zacznie wywodzić, że to jest denuncjacja. I tak w kółko!

Miarą obłudy autora i jego wartości moralnej jest ustęp:

„Czytam angielską prasę. Jest w niej wiele o prześladowaniach Żydów w Polsce, jest o prześladowaniach Polaków (choć w obu wypadkach nietyle ile powinno być). Są szczegóły, epizody. *Jednego tylko niema: o wspaniałej postawie Polaków. Prasy angielskiej nikt nie poinformował.* Myślę, że denuncjator w sprawie „Jestem Polakiem" miałby teraz robotę. Drogę przecież zna".

Analiza stylu i duch artykułu naprowadza na domysł, że pod pseudonimem Stanisława Kowalskiego *tym razem* ukrywa się autor, który zajmował i dotąd zajmuje wybitne stanowisko rządowe na odcinku informowania opinii angielskiej. Ile cynizmu jest w fakcie umieszczenia w jego artykule zdania, że „W rezultacie świat zachodnio-europejski po trzech latach bliskich z nami stosunków może nie dość dobrze wie co się dzieje pod okupacją. . . . "Autor przecież wydaje wyrok również na siebie. Liczył że nikt go pod pseudonimem zbiorowym Myśli Polskiej nie odkryje i nie załamie rąk nad krytykiem, rzucającym gromy . . m.i. na siebie. Pan K. używając jego słów „Mógłby wiele zrobić. Drogę do prasy brytyjskiej przecież zna. Miałby teraz wdzięczną robotę. . . . Dodajmy: i dla Polski pożyteczniejszą.

Prawdziwe przyczyny złej opinii o Polsce *leżą zupełnie gdzie indziej*, niż to widzi autor. Oskarżenia spowodowane są naszą *nieobecnością na Zachodzie w czasie* 150-*letniej niewoli i wrogą propagandą w latach* 1914-1939. Wyrastają z naszej nieudolności do pracy zespołowej, z tolerowania niedołęstwa organizacyjnego.

Pan K. określa naszą pracę propagandową jako „narastający skandal z polskim Ministerstwem Informacji". Czy p. Stroński to też lewicowy minister? Czy nigdy nie był sztandarowym dziennikarzem Narodowej Demokracji, kto wie czy i dzisiaj przekonaniowo nie jest bliższy panu K. niż p. Słonimskiemu? Wina zresztą nie leży w takich, czy innych poglądach danego ministra, ale jego zdolnościach organizacyjnych i umiejętnościach doboru pracowników.

Dalsza przyczyna złego funkcjonowania wielu naszych placówek, to *roznamiętnienie partyjne, zwłaszcza obozu sanacyjnego i skrajnie prawicowego, które, obarczone kompleksem opozycji*, rozdmuchują każdy drobiazg, każdą sprawę, judzą ludzi na siebie, wyzyskują animozje personalne, o jednego obrzezanego pracownika robią klęskę narodową, z próby obcych żądań — tak przecież zrozumiałych w ustawicznej grze sił i stanowczo przez rząd odrzucanych — wysnuwają pobudki rewolucyjne i „Targowice". A gdzież jest lojalność urzędników, którzy nie potrafją rozróżnić interesu państwowego od intersu partyjnego, którzy nawet tak naturalnej tajemnicy służbowej w sposób wysoce karygodny dochować nie potrafią, rzucając najważniejsze tajne wiadomości bieżące na żer plotki i najbardziej sensacyjnych alarmów.

KILKA SŁÓW POD ADRESEM P. STANISŁAWA KOWALSKIEGO

Żeby zakończyć ten nieproporcjonalny w stosunku do góry kłamstw i oszczerstw wywód, demaskujący przynajmniej w liniach głównych obłudę i cynizm ataku „Myśli Polskiej", zacytuję, jak autor ocenia swoje zabiegi, tak charakterystyczne dla mentalności jego środowiska:

„Wiem, że w artykule tym zawarte jest straszne oskarżenie. Ale go nie cofam. *Dobrze sprawę przemyślałem i znam odpowiedzialność, jaka ciąży na człowieku piszącym.* Mimo to, ponieważ *nigdy nie jest moją intencją drażnić i judzić*, nie czynię tego i teraz.

Wojna nie jest zakończona. Zło jeszcze jest do odrobienia, przynajmniej w pewnym stopniu. . . . A gdyby tak się cofnąć, spryciarzy ukrócić, błędy odrobić, zebrać siły i stanąć w obliczu tych wszystkich prac tak razem, jak razem stoją tam — w obliczu śmierci?“

Cóż można na to odpowiedzieć? Choćby się miało największą odrazę do takich fenomenów psychicznych jak autor wezwania, choćby człowiek nigdy nie był pewien, czy ta ręka, wyciągnięta do współpracy po długim oskarżaniu o zdradę narodową, zawiera różaniec, czy kastet — to obowiązek chwili nakazuje współpracę nawet z diabłem, o którym tak trafnie mówi przysłowie, że się w ornat ubrał i ogonem na mszę dzwoni. Nie jest prawdą, ażeby sprawa polska w Wielkiej Brytanii i w U.S.A. stała tak źle, jak to autor w trybie dokonanym określa: „*zaprzepaszczona*“, *zamiast raczej zostawić sąd historii, a w każdym razie naukowcom dawnej, objektywnej, dobrej polskiej szkoły*. Prawdą natomiast jest, że *zbliżają się miesiące najważniejsze, które zadecydują być może o losach naszego narodu*. Każde pióro, każdy talent, wszelkie zdolności winny być wyzyskane, dlatego też redaktorzy „Walki“, podszczuwacze anonimów, pracowici korespondenci opozycji, zajmujący wygodne stanowiska rządowe — słowem wszyscy ci, którzy tracą dziś czas na judzenia na froncie wewnętrznym powinni być zmobilizowani do pracy propagandowej wśród obcych.

Najwyższy czas na jakiś „Treuga Dei“, na zaprzestanie walki wewnętrznej, a skupienie się na froncie zewnętrznym. Ale do tej współpracy p. Kowalskiemu wolno podchodzić nie w postawie Michała Archanioła z karzącym mieczem ognistym, ale w znacznie pokorniejszej postawie winowajcy za to co się dzieje, obciążonego grzechem cięższym od przewinień tych, których chce wtrącać do piekieł.

MIECZYSŁAW SZERER

STANISŁAWA THUGUTTA WYBÓR PISM I AUTOBIOGRAFIA

Nie zamierzam wdawać się w rozważanie, dlaczego literatura pamiętnikarska i życiorysowa rozwinęła się w Polsce stosunkowo bardzo słabo. Stwierdzam jedynie, że tak jest i że to jest źle.

Anglicy są pod tym względem bardzo od nas różni. Przepadają za biografiami i autobiografiami i niema tu bodaj miesiąca, w którymby nie ukazała się co najmniej jedna gruba książka z tej dziedziny. Są nawet tacy (pośród Anglików samych), co uważają, że jest tego za dużo. Z pewnością istnieje w Anglii mnóstwo życiorysów ludzi interesujących jedynie dość szczupłe grono ich osobistych znajomych; wiele jest też biografii pisanych szablonowo, notujących rzeczy, które doskonale nadają się do zapomnienia i rozepchanych niepotrzebnie ocalałą korespondencją

(„choćby to był do ekonoma list
albo przymierze
Wiecznej miłości z Hańdzią
lub Marylką. . .“)

A także coraz rychlej autorzy zabierają się do zapoznawania świata ze szczegółami swej krótkiej jeszcze podróży przez życie. Znam autobiografie ludzi, którzy zaledwie opierzyli się w czterdziestkę.

Ale to dowodzi jedynie, jak Anglicy są ciekawi — człowieka. Ktoś wybitny, kto urodził się pod niebem angielskim i żył sokami kultury tej ziemi, jest dla nich częścią krajobrazu angielskiego: życie jego warto zwiedzić tak, jak zwiedza się malownicze zakątki przyrody. Niema dwóch zdań, że nie posiadając podobnego pietyzmu, czy choćby tylko zwykłej ciekawości, jesteśmy ubodzy znajomością ludzi,

którzy tworzyli światła i cienie naszego życia.

Oczywiście, literatury biograficznej nie można mieć na zawołanie. Musi naprzód istnieć w społeczeństwie swoista pasja zbieracka, któraby skłaniała ludzi do zbierania szczegółów z życia współczesnych. Musi istnieć zamiłowanie do anegdoty, do wszystkiego, co ukazuje człowieka bez pozy, bez odświętności (bez negliżowego rozchełstania także), natomiast w prostocie zrozumiałych cech stworzenia ludzkiego. Anglicy mają tę pasję rozwiniętą bardzo silnie — my bardzo niedostatecznie.

To też gdy u nas umrze ktoś znaczny w życiu publicznym, nekrologi bywają przeważnie złożone z pochwał zbyt konwencjonalnych, by brzmiały prawdziwie i dawały szczerą podobiznę. Anglicy natomiast nie starają się koniecznie zrobić bohatera z każdego nieboszczyka. Wydobywają za to całą barwność jego indywidualności — takiej, jaka była, w naturalnych wymiarach — i nie wahają się nawet z racji jego śmierci opowiadać wesołych kawałów złączonych z jego osobą. My jesteśmy solenni. Oni zachowują swych zmarłych znacznie dłużej między sobą.

* * *

Myśli takie i żale nasuwają się same z siebie, gdy ma się pisać o wydanym dopiero co w przedruku „*Wyborze Pism i Autobiografji*" *Stanisława Thugutta* (*Glasgow* 1943, *Książnica Polska*). Gdyby Thugutt był Anglikiem, ileż mielibyśmy o nim opublikowanych wspomnień, ile portretów i portrecików! Stanisław Thugutt, jak mało kto, nadawał się do traktowania anegdotycznego. Była w nim szczególnego rodzaju dwoistość, która stwarzając kontrasty, nadawała jego wyglądowi duchowemu i zachowaniu się wielką wyrazistość.

„Stanisław Thugutt był człowiekiem surowego wyglądu, ostrego słowa i gestu. Rąbał prawdę z ramienia, nie bawił się w strojenie mowy w ozdobność, niecierpliwie odpychał wszystko, co trąciło uwodzicielstwem. Mowa i pisanie tego polityka i publicysty zbudowane były z najtwardszych materiałów: marmuru i stali miały błysk i nieukruszoność". Ale też „tym, co znali go z bliska, wiadomy był sekret, z którym Thugutt krył się starannie. Oto ten człowiek, surowy czasem do opryskliwości, miał w głębiach swej rogatej duszy olbrzymie zasoby uczuciowości i dobroci. Tylko ich nie otwierał przed byle kim". (*Polska Walcząca z 6 grudnia*, 1941.)

Mruk, weredyk, wróg teatralności i drobienia kroczków, niedbały o układność zewnętrzną a już pasjonat, gdy natknął się na cokolwiek, co trąciło kłamstwem lub hipokryzją, Thugutt był niesłychanie wrażliwy na trzy najwyższe rodzaje piękna: piękno przyrody, piękno idei i piękno szlachetnej duszy ludzkiej. Przypuszczam, że wielu z tych, co znali go z jego pism politycznych — pisanych twardo, jak krzemieniem, stylem doskonałym, ale pozbawionym ozdobników i perfumowania — nie wiedziało, jakim lirycznym oddźwiękiem umiało uderzać serce Thugutta. Ci poznają nowego Thugutta, gdy przeczytają pomieszczone w „Wyborze Pism" niestety trzy tylko z jego artykułów krajoznawczych. Wydaje mi się, że o tym mnjei znanym Thugucie należy pomówić nasamprzód.

* * *

Nam tu, mającym teraz do boleści wyostrzony słuch na każde słowo o polskiej ziemi, odczytywać raz po razu taki np. ustęp z artykułu ogłoszonego w r. 1910:

„Z gęstych i mrocznych borów łysogórskiego podnóża wypływa niewielka rzeczka Kamienna, która prawie na prost Józefowa wpada do Wisły. W środkowym swym biegu, od Kunowa po Ćmielów, stanowi ona wyraźną, mocno zaznaczoną granicę geologiczną i kulturalną między żyznymi, z dawien dawna uprawnymi łanami sandomierskimi a lesistymi pustkami, które się aż poza Ciepielów, pod Solec, ciągną.

„Kiedy się w ciepły lipcowy wieczór przechodzi z prawego brzegu na lewy, różnica ta bije w oczy. Tylko co wyszliśmy z gwaru, zamętu, nieprzerwanego łańcucha wozów ze zbożem, towarami, ludźmi, z gorączkowego krzątania koło żniw, z długiego szeregu dymiących i szumiących fabryk.

„Tutaj pustka i cisza. Na dalekim widnokręgu sinicją w sędziwej zadumie Łysogóry, za które stacza się spracowane i uznojone słońce. W ostatnich jego gorąco czerwonych promieniach go-

rzeją sosny. Ma się wrażenie, że one naprawdę płoną i że od tego żaru topi się, spływa żywica, której tak silny zapach unosi się w koło.

„Jedyny to zresztą żywszy, cieplejszy ton w tej pustce. Niebieszczeją tylko miejscami wrzosowiska, gdzie indziej jakby jakaś potężna a złośliwa pierś jednym podmuchem zmiotła z powierzchni ziemi wszystko, oprócz kamieni i piasku. Opodal żółci się sypka, piaszczysta krawędź doliny, zbiegająca do samej rzeki.

„Coraz ciszej, coraz puściej, coraz ciemniej. Już tylko w dogasającym zmierzchu połyskują metalicznym blaskiem fale rzeki, chlupocącej o koślawe, pokraczne pale starego mostu. W głąb lasu idzie od niego zwykła leśna ścieżyna, wydeptana bosą nogą wiejskiego pastuszka, kusząca czymś tajemniczym, nieznanym.

„Cisza taka, a w wiosce o trzy, cztery wiorsty odległej słychać, jak skrzypi żuraw studzienny, słychać, zda się, jak woda z wiadra wylewa się z pluskiem w koryto. W pewnym momencie majaczeje na brzegu krawędzi jakiś kształt smukły i pierzchliwy, jakieś nozdrza wciągają nieufnie powietrze i chrapią; potem lekki i suchy tupot racic, bijących chybko o ziemię. Potem już nic. Od leśnych pustaci wieje jakiś głęboki smutek, od którego coś w duszy zaczyna mięknąć i drzeć. Taje, spływa bezgłośnie skorupa, narosła od niepamiętnych już czasów. Zwracają się w głąb oczy, trwożliwe, ciekawe, zdziwione. I tak jest z tym smutkiem dobrze.

„Wtem znagła uderzy wiatr. Zakołyszą się, zaskrzypią żałośnie sosny. Z brzegu sypie się suchy, siekący piach. I jak głębokie westchnienie ciężko przez sen oddychającej piersi, nadlatuje gdzieś z głębi lasu szum drzew.

„Chciałoby się przypaść do ziemi i objąwszy ją mocno, dziecinnemi rękoma, wyszeptać cichemi usty: Mojaś ty, moja, moja jest".

Charakterystyczne to dla człowieka, jakim był Thugutt, że przypadał tak do ziemi nie wtedy, gdy we wskrzeszonym państwie naród rozciągał już nad nią opiekę synowską. Gdy z Kongresówki zwłaszcza usuwano ślady wiekowego przymusowego zaniedbania. Gdy na całej przestrzeni odzyskanego kraju pomagano matce-ziemi gładzić swój strój. Gdy rozgwiazdy naprawionych dróg i zbudowanych szos dały dostęp do uroczych widoków i ułatwiły zachwyt nad nimi. Gdy odsłonięto krajobraz polski, odczyszczono z pajęczyn i rozpoczęto w nim ogrodową pracę.

Wtedy Thugutt wziął się do polityki, do usuwania zapór na drodze człowieka do prawdziwej wolności, drodze wciąż jeszcze pokrytej ostrym kamieniem. Dziecinnie czułym uściskiem zaś obejmował ziemię wówczas, gdy miała jeszcze na sobie zwykłą chustę wiejską, gdy niepielęgnowana i zdana na łaskę złego losu nie mogła chwalić się wspomaganą urodą szczęśliwych krain. Ale taką ją właśnie, po pan-tadeuszowemu, kochał i wchłaniał Thugutt.

W pierwszych latach obecnego wieku pewien włoski esteta jeździł po Polsce i po powrocie napisał artykuł o krajobrazie polskim. Przyznawał mu wiele piękności, ale naogół widział w nim ubóstwo równin, smutek, nagość i melancholię. Thugutt odpowiedział w czasopiśmie krajoznawczym „Ziemia", którego był kierownikiem literackim.

„Czyżeśmy istotnie tak beznadziejni, smutni — my i ziemia nasza? Czyż naprawdę my jesteśmy jakimś godnym litości narodem pariasów, skazanym na grzebanie się w błocie ziemi, która nic z siebie ponad smutek wydać nie umie?

„Ejże, panie Włochu, każdy ma swoje ideały i każdy inaczej sobie swój raj wyobraża, a chociaż twój kraj taki piękny, taki jasny, taki słoneczny, przecie my ze swoim nie idziemy do handlu... Innych my światów ludzie jesteśmy, ale nic więcej ponad to. Ty jesteś synem suchej, zwięzłej i żywej rasy łacińskiej... Jesteś — zupełnie jak twoja przyroda — łatwo skłonny do przejść od rozkosznego, lubieżnego omdlenia, do namiętnie gwałtownych wybuchów...

„My, przeciwnie — jesteśmy ludzie miękkich konturów. Ziemia nasza rzadko tylko i gdzieniegdzie dźwiga się ku górze szańcem majestatycznych gór, na ogół zaś jest równa, z lekka, jak pierś cicho przez sen oddychająca, sfalowana. Jeziora nasze nie biją o kamienny brzeg, jak wasze morza, wałem groźnym, rozchełstanym u grzbietu, ryczącym, jeno się kładą na jego pachnące murawy falą miekką, pieściwą i cichą. Sady pełne są słod-

kiego, jak uśmiech dziecka, zapachu a groźne na pozór, potężnymi trzonami pni strzelające wzwyż bory, mają w sobie po wejściu w nie jakąś dziwnie łaskawą dobrotliwość i spokój. I kiedy iść na obsypane kwieciem miedze, kiedy kłosy wyrosłego jak las zboża zaczną bić zlekka po twarzy, myśli się, że na tej ziemi zeszło się wszystko, co chce żyć spokojnie, równo i cicho, bez wstrząsających namiętności i bez dochodzących do tragizmu opadań fal ducha".

Najwięksi pisarze nasi nie utrafiali w opisach swych celniej w sam rdzeń mowy, którą ziemia polska mówi. Przytoczyłem umyślnie dwa dłuższe ustępy, by czytelnik wiedział, jaki wiatr od kraju zaleci go z kart „Wyboru Pism" Thugutta.

* * *

Natomiast w działaniu politycznym i pismach politycznych Thugutta nie było liryzmu. Chociaż i to nie całkiem prawda. Liryzmu nie było *na zewnątrz*. Mówił o tych sprawach i pisał twardo,zdaniami ciosanymi ostro.

„Mierzi mnie taki stan rzeczy w Polsce, przy którym nawet ludzie o szlachetniejszych popędach, dobrzy chrześcijanie, czy wysoce uspołecznieni, godzą się z tym bezmiarem krzywdy, który nas zalewa, jak morze błotniste".

Albo: „Nic to nic zmienia postaci rzeczy, jeżeli ktoś łamiąc prawo sieje niezgodę nie dla swojej osobistej korzyści, ale przez swój upór, przez swoją zarozumiałość, po prostu dlatego, że tak mu się lepiej wydaje. Pycha jest tak samo przeklętym wspomnieniem naszej przeszłości, jak warcholstwo. Trzeba ją zakopać w najgłębszy dół i przywalić najcięższym głazem".

Albo (o okolicznościach, wśród których doszedł do skutku rząd lubelski): „Materiałem, który można było rzucić na Niemców, była garść młodzieży zorganizowanej wojskowo, było trochę robotnika miejskiego i nie nazbyt doprawdy liczny tłum uświadamianego gorączkowo chłopa. Wszystko to — słusznie, czy niesłusznie — przepojone do głębi nieufnością do tych warstw, klas i stanów, które widziało ponad sobą, czy poza sobą. . . Dodajmy do tego śmiertelny strach przed niekończącymi się dyskusjami, zabójczym odwoływaniem się do stronnictw, przeklętym kluczem partyjnym, do szaleństwa doprowadzającym kłóceniem się o przecinki w chwili, kiedy trzeba było jednego słowa, jakiegokolwiek słowa, byle było tak mocne, żeby najbardziej zarosłe ucho przedarło."

Oto próbki wzgardliwego często na zewnątrz sposobu mowy Thugutta-polityka. Ale w sobie, w motywach, które mu nakazywały mówić twardo, Thugutt był wrażliwy i miękki. Jak każdy radykał polski, Polak fanatyczny, chciał imię Polski kojarzyć jedynie z tym, co szlachetne. I dlatego właśnie, że to imię miał w sercu wypisane błyszczącymi literami; dlatego, że umiał myśleć o kraju bezinteresownie tylko i niekręto — bywał brutalny, ilekroć natrafiał na przecherstwo, na lichotę, pustość haseł, demagogię i wszelkie inne dowody braku charakteru w działaniu publicznym. Nie potrafię nic lepszego polecić młodemu człowiekowi, który chce iść na drogę polityki i nie zgubić przy tym duszy, jak zachęcić go do czytania pism Thugutta.

Że polityka jest brzydka, to mu różni będą mówili. Że taka bywa istotnie, o tym będzie miał nieraz sposobność się przekonywać. Od Thugutta nauczy się, jak iść przez politykę z podniesionym czołem, w zgodzie zawsze ze sumieniem i bez poświęcania samodzielności myślenia.

* * *

Dla człowieka tego pokroju, zmuszonego przy tym coraz usilniej walczyć z zawziętością dokuczliwych chorób, mało było miejsca w czynnej polityce ostatnich dziesięciu lat przed wojną. To też Thugutt zwrócił się wtedy do dziedziny, na której mógł pracować w stosunkowym zaciszu: do spółdzielczości.

„W swoim dość długim i dosyć burzliwym życiu stykałem się z

różnymi ludźmi, rozmaitymi sposobami ich współżycia ze sobą. Na ogół wyniosłem stamtąd wrażenia nie pozbawione goryczy. Nie chcę twierdzić, że spółdzielczość jest rajem zrealizowanym już tutaj na ziemi. Mam natomiast wrażenie, że jest ona czystsza i uczciwsza, niż wszystkie inne środowiska, z którymi się stykałem i że dlatego dać może spokój i równowagę duchową, których potrzebę odczuwa się tak mocno w dzisiejszych szaleńczych czasach.

,,Inna tu jest atmosfera, wyprana z brudu, chciwości i z dzikiego współzawodnictwa, inni ludzie — bardziej spokojni i przede wszystkim bardziej szlachetni. Nie trzeba się tu obawiać ani ciosu w plecy, ani wilczych dołów, kopanych w ciemnościach. Choć różne są funkcje i różny zakres władzy, wszyscy są równi nie tylko w formalnym znaczeniu, ale i w istocie rzeczy".

Wielka idea moralna tkwiąca w spółdzielczości ; jej rola wychowawcza w czasie, kiedy ludzie gotowi są, jak bestie ,,żreć się o każdy ochłap znaleziony na drodze" ; jej program pełen miłości i chęci ochrony małego człowieka ; jej codzienna walka z wyścigiem do bogactw — pociągnęły Thugutta i nie wypuściły już ze swego kręgu. Traktował spółdzielczość jako ruch wyzwoleńczy mas i — wierny ludowiec — poświęcił szerzeniu ideologii tego ruchu wszystko, co mu pozostawało z niknących sił.

* * *

Piasek czasu jest sypki i człowiek — powiedziano — może pozostawić na nim jedynie przemijający ślad swej stopy. Ale myśl mądra, klarowna i szlachetna, nie mija. Myśl thuguttowa była właśnie z tego rodu duchowego. Pozostała w jego pismach, gotowa wejść jasnym, równym światłem w dusze młodych i czekać tam na przekazanie.

DOROTA FALSKA

JEAN JAURÈS

Blisko trzy dziesięciolecia minęły od śmierci Jaurès'a, wielkiego przywódcy socjalizmu francuskiego. W perspektywie czasu postać Jaurès'a raczej urosła, niż zmalała. Socjalizm francuski po Jaurèsie nie wydał już indywidualności równie silnej i imponującej. Jaurès w gruncie rzeczy należy do owego pokolenia pionierów socjalizmu, którzy kładli podwaliny gmachu z rozmachem i siłą nieposlednią, lecz którzy nie znaleźli spadkobierców, umiejących z równą siłą, mocą i równym rozmachem dzieło prowadzić dalej. Do tych postaci wraca się myślą, by wyjaśnić sobie co było źródłem ich mocy i wpływu. Te postaci czekają jak gdyby na swoich biografów.

Książka Jacksona pod tytułem ,,Jean Jaurès, his life and work" jest próbą biografii. Jest to dzieło biografa sumiennego i hołd złożony pamięci Jaurèsa przez ucznia pełnego entuzjazmu. Ten uczniowski niejako stosunek biografa do Jaurèsa odbija się nieco na książce, nadając jej piętno zbyt subjektywne.

* * *

Jaurès pochodził z prowincjonalnej rodziny mieszczańskiej. Uczeń Ecole Normale rozmiłowany był w naukach humanistycznych i w starożytności. Pisał po łacinie traktaty o współczesnych problemach socjalnych. Łacińską rozprawę doktorską poświęcił historii socjalizmu i filozofii niemieckiej od Lutra, poprzez Fichtego, Hegla, do Marksa. Tradycję socjalizmu francuskiego odnalazł w postaci komunarda z 1871 roku Benoit Malon, autora książek o integralnym socjaliźmie. Lecz nade wszystko był Jaurès synem Rewolucji Francuskiej. Już w swej łacińskiej dysertacji doktorskiej, Jaurès, godząc się na ogół z socjologią marksizmu podkreślał, że socjalizm francuski

winien utrzymać swój rodowód narodowy, sięgający wstecz ku tej Rewolucji. Socjalistą w politycznym sensie stał się z liberała. Za Diderot, jednym ze swych mistrzów, powtórzył: „To straszliwe, że są niewolnikami, chociaż mówi się o nich-obywatele". Liberalizm dążył do równości politycznej lecz godził się z nierównością gospodarczą, a nawet ją uświęcał. Jaurès przejrzał tę słabość liberalizmu. Republika nie spełni swojego zadania, jeśli nie upora się z problemami ekonomicznymi. Niema prawdziwej swobody politycznej bez wolności od głodu. Glebą, z której zrodził się socjalizm Jaurèsa była więc niedoskonałość Rewolucji. Stwierdziwszy raz tę ogólną zasadę, Jaurès nie pasjonował się jednak zbytnio zagadnieniami gospodarczymi. Socjalizm jego był zawsze raczej filozoficzny, niż polityczny, raczej humanistyczny, niż przyrodniczo-ekonomiczny. „Jaurès — jak pisał o nim profesor Brogan — nigdy nie czuł się swojsko wśród problemów gospodarczych socjalizmu". Byłoby jednak uproszczeniem przeciwstawianie metody Jaurèsa metodzie czysto dialektycznej, lub czysto materialistycznej. Charakterystyczne dla Jaurèsa dążenie do syntezy i ugody filozoficznej sprawiło, że nie był on ani ortodoksyjnym idealistą, ani ortodoksyjnym materialistą. Jednakże skłonność do idealizmu bardzo często bierze u niego górę. Podstawą życia społecznego jest dlań częściej religia i moralność, niż natura i praca.' Człowiek dla Jaurèsa nie jest jedynie fragmentem natury, a ludzkość — szczeblem ewolucji biologicznej. Wierzy on idealistycznie w przeznaczenie a zatem i w misję człowieka. Proces historyczny wynika z zasadniczej sprzeczności między naturą człowieka a organizacją społeczną. Ideał zatem osiągnięty będzie, gdy sprzeczności te zostaną usunięte, gdy zapanuje sprawiedliwość społeczna, do której zbliżamy się drogą postępu i reform. Walka ścierających się w procesie dziejowym sił społecznych nie jest tu bynajmniej sprzeczną z harmonijną i stopniową ewolucją ku wyższym formom współżycia społecznego. Socjalizm jest wiarą i religią „łączącą ludzkość we wspólnym stanowisku wobec świata".

Ta definicja socjalizmu określa jednocześnie stosunek Jaurèsa do religii. Chrześcijaństwo było dlań „wielką i fascynującą filozofią", pojmującą Boga nie jako intelektualną abstrakcję, lecz jako idealną Jedność, która umożliwia harmonię i rozwój wszystkich naszych sił. „Wierzę w Boga, ku któremu płynie świat" — powiedział. Niema ta wiara oczywiście nic wspólnego z jakimkolwiek dogmatem kościelnym. Jest ona dla Jaurèsa kwintesencją najsubtelniejszych uczuć człowieka.

Przy tym wszystkim Jaurès był typowym racjonalistą francuskim. Jak racjonaliści XVIII wieku wierzył, że „wystarczy jeżeli człowiek kieruje się rozumem w układaniu swego życia". Chociaż religię samą, oczyszczoną z dogmatyzmu kościelnego, stawia bardzo wysoko, to jednak zwalcza kościół i klerykalne wpływy polityczne. Był potomkiem tak nieodrodnym racjonalizmu Encyklopedystów, że socjalizm czasami pojmował dosłownie jako kontynuację ich dzieła. Encyklopedja torowała drogę pojęciu równości politycznej. Nowa Encyklopedia winna utorować drogę równości gospodarczej. Zapatrzony w magię argumentu rozumowego, wierząc optymistycznie w zdolność społeczeństw do rozumnego wykorzystywania doświadczeń historii, Jaurès na serio projektował jak gdyby socjalistyczny „ciąg dalszy" wielkiej Encyklopedii. Ten racjonalizm wygląda niewątpliwie dość naiwnie w perspektywie naszych przeżyć i wydawał się też naiwnym dziwolągiem marksistom francuskim, zwolennikom kierunku Guesde'a. Lecz pomysłowi temu literatura francuska zawdzięcza jedno z najbardziej monumentalnych dzieł historycznych, historię Rewolucji Francuskiej Jaurèsa. Jest to dzieło

zakrojone na ogromną skalę. Miało ono ukazać robotnikom i chłopom Francji lat 1900 walkę i zwycięstwo ich ojców z końca wieku XVIII. Jaurès jako historyk, łączył ogromną wiedzę, dążność do obiektywnej i naukowej prawdy ze wspaniałym temperamentem bojownika. Rewolucja znalazła w nim historyka, który mógłby być jej trybunem. Sylwetkę Dantona kreślił w niej pisarz, który sam uchodził za najbardziej płomiennego mówcę Europy. To też ta historia pisana drga jak gdyby wszystkimi kadencjami sztuki oratorskiej wielkiego trybuna.

Jeden jednak rys bardzo ważny odróżniał Jaurèsa od Encyklopedystów. Jaurès nie pisał tylko dla wąskich kół wykształconego mieszczaństwa i arystokracji. Jego „Encyklopedia" miała zejść w masy i zawędrować pod strzechy. Nie urosła ona wprawdzie w stos ksiąg, lecz zrealizowała się w szerokiej sieci ludowych instytucji kulturalno-oświatowych. Powstały we Francji Universités Populaires, teatry ludowe i biblioteki. Powstał ów „Front Ludowy" w kulturze i literaturze francuskiej, od którego przeszło 30 lat później koalicja lewicy francuskiej wzięła swą nazwę. Ewolucyjny socjalizm jauresowski nastawiony był na perspektywę zwycięstw wyborczych, które pozwolą na legalne i bezkrwawe obalenie kapitalizmu. Lecz apel do wyborcy nie miał nic wspólnego z demagogią i łowieniem kartek wyborczych, które w późniejszym okresie zabagniły niejedno stronnictwo i niejedną sytuację polityczną. Jaurès w wyborcy widział nie tylko i nietyle właściciela kartki wyborczej, ile budowniczego nowego ładu. Chodziło mu o to, by tego wyborcę uświadomić, oświecić i podnieść na wyższy szczebel myśli ludzkiej. Wiara w parlamentaryzm szła tu w parze z szeroką ambicją pedagogiczną, z niezachwianym optymizmem edukacyjnym.

* * *

Punktem kulminacyjnym działalności Jaurèsa, jako polityka, parlamentarzysty i socjalisty była afera Dreyfusa. Przez pewien okres wszystkie sprawy życia społecznego Francji były jak gdyby zaćmione i zepchnięte na dalszy plan przez ów wielki spór, który podzielił Francję na dwa obozy, przeciwników i obrońców Dreyfusa. Wśród obrońców Dreyfusa Jaurès wysunął się na czoło kampanii, zajmując miejsce tuż obok Zoli i Anatola France'a.

Obrona Dreyfusa pociągnęła za sobą kryzys we francuskim ruchu socjalistycznym. Zapał Jaurès'a dla tej sprawy wywołał bardzo ostrą krytykę najwybitniejszego obok niego przywódcy ruchu robotniczego Francji, Guesde'a. Guesde reprezentował w socjaliźmie francuskim nieco ciasno pojętą ortodoksję marksistowską. Zadanie ruchu widział on w walce klas a sferę działania partii ograniczał do antagonizmu między burżuazją a proletariatem. Dreyfus był synem bogatej rodziny żydowskiej. Spór dokoła jego osoby przedstawiał się Guesde'owi jako zupełnie nieistotny „wewnętrzny konflikt w obozie kapitalistycznym". Guesde uważał wobec tego, że socjalizm francuski winien ogłosić wobec sporu swoje desinteressement. Jaurès wystąpiwszy w obronie Dreyfusa znalazł się w jednym szeregu z przedstawicielami liberalizmu mieszczańskiego. Można wyrazić przypuszczenie, że w pierwszej fazie afery kierował on się pobudkami czysto humanitarnymi. To samo dążenie do sprawiedliwości, które wiodło go od liberalizmu do socjalizmu, kazało mu teraz stanąć gorąco po stronie ofiary reakcyjnej intrygi. Dreyfusjada nabierała jednak wagi nie tylko pod względem moralnym. Stawała się zagadnieniem politycznym i społecznym, sięgającym głęboko do istotnych podstaw życia ideowego Francji. Była to niemal ideologiczna wojna domowa między umysłami, które prawdy szukały na drodze myślenia racjonalistycznego a umysłami wpatrzonymi mistycznie w świętość tradycji i dogmatów. Nie mogło tu być

mowy ani o ugodzie ani o syntezie. Dla prawicy i zwolenników rządów „mocnej ręki“ rewizja procesu oznaczała niebezpieczeństwo podważenia zazdrośnie strzeżonego prestiżu armii. Dla zwolenników demokracji puszczenie w niepamięć niesprawiedliwości oznaczało zagrożenie wolności. Tego głębszego tła afery Dreyfusa nie rozumiał najwidoczniej Guesde. Na jego krytykę i zarzuty Jaurès odparł : „Jeżeli Dreyfus skazany został bezprawnie, jakąż głupotą jest stawiania go wśród warstw uprzywilejowanych. . . . Jego sprawa jest żywym przykładem kłamstw sfer wojskowych, politycznej podłości i zbrodniczości władz“. Ogłaszanie desinteressement wobec sprawy wydaje mu się rzeczą niedopuszczalną ze względu nie tylko na elementarne współczucie z prześladowanym, ale również na dobrze zrozumiany interes proletariatu. „Komu najbardziej grozi samowolna akcja generałów przez stałą gloryfikację gwałtu wojskowych represji ? Mówię wam, że grozi proletariatowi. W pierwszym rzędzie w interesie klasy pracującej leży zdyskredytowanie i obalenie tych wysoce reakcyjnych oficerów, którzy jutro gotowi są do zwrócenia swej broni przeciwko niej“. Czytelnika tych słów uderzyć musi przenikliwość i dalekowzroczność Jaurèsa. Afera Dreyfusa pozornie była tylko wielkim burzliwym epizodem, który zakończył się klęską reakcji. Kapitan Dreyfus został zrehabilitowany. Dramatyczne rozprawy i spory skończyły się na razie zwycięstwem demokracji. Lecz dreyfusizm — nie w ciasnym znaczeniu jakie nadawał mu Guesde — ale w tym szerokim uogólnieniu jauresowskim, przetrwał pod demokratyczną powłoką Trzeciej Republiki. Spisek owych „wysoce reakcyjnych oficerów“ trwał przez cały okres istnienia Republiki, aż wreszcie „samowolna akcja generałów“ zadała jej cios w plecy w roku 1940. Reżym Vichy był przecież w pewnym sensie opóźnionym odwetem anty-dreyfusistów, a człowiek, którego nazwisko stało się smutnym symbolem klęski francuskiej, Pétain, wywodził się przecież ze środowiska antydreyfusistów. Ostrzeżenie Jaurèsa zachowało pełną swą aktualność w pół wieku potem, gdy zostało rzucone.

Sprawa Dreyfusa rozbiła jedność socjalizmu francuskiego. Mimo to jednak ruch nabrał na sile. Klęska reakcji zasiliła obóz postępu nowymi elementami. Pod sztandary socjalizmu zaciągała się młodzież studencka ze sfery mieszczańskiej, wytrącona z nastroju bezideowości przez oczyszczającą burzę „afery“. Jaurès pociągał tę młodzież własnym entuzjazmem i wiarą. Wśród uczniów Jaurès’a znalazł się 25 letni wychowanek Ecole Normale, Leon Blum, dzisiejszy więzień.

Po przeciwnej stronie wybijać się zaczął Charles Maurras, dzisiejszy redaktor „Action Française“, jeden z głównych filarów Vichy.

Wzrost wpływów socjalizmu postawił Jaurèsa i ruch, któremu przewodził wobec nowego i trudnego problemu praktycznej polityki. W walce o reformy socjalizm znalazł się w bloku z liberalizmem mieszczańskim. Parlamentaryzm francuski staje się terenem zupełnie nowego eksperymentu. Powstaje pierwszy rząd koalicyjny z udziałem socjalisty. Podobnie jak afera Dreyfusa i ten problem wywołuje spór między Jaurèsem a Guesde’m. Guesde potępia eksperyment z punktu widzenia taktyki klasowej. Jaurès broni wymownie koalicji rządowej : „Gdy społeczeństwu grozi kontrofenzywa starych sił dawnego feudalnego barbarzyństwa, potężnego Kościoła, wówczas obowiązkiem klasy pracującej jest . . . iść naprzód z tymi odłamami warstw pośrednich które zdecydowane są nie cofać się“. Odpowiedź Guesde’a była bezkompromisowa : „Jeżeli zorganizowany proletariat rozumie walkę klas jako dzielenie się władzą z kapitalistami, socjalizm przestaje istnieć, a klasa pracująca traci wszystko : rację bytu a przede wszystkim przyszłość“. W tym sporze Jaurès był mniej szczęśliwy niż w dyskusji na temat afery Drey-

fusa. Pierwsi ministrowie socjalistyczni, Millerand i Briand, zwrócili się przeciwko ruchowi, z którego wyszli. W rządzie koalicyjnym znalazł się generał Gallifet, pogromca Komuny paryskiej, postać znienawidzona wśród robotników Paryża. Wszystkie te okoliczności zdawały się przemawiać raczej za tezą Guesde'a. Sam Jaurès, szarpany sprzecznościami, przekonany o słuszności zasady koalicyjnej, lecz zniechęcony jej praktycznym zastosowaniem, bronił swego stanowiska bez charakterycznego dlań zapału. Oto jak opisuje nastrój Jaurèsa w owym okresie sam Briand: „Jest on w gruncie rzeczy człowiekiem bojaźliwego temperamentu i nie śmie przeciwstawić się prostemu ludowi. . . . Można usiłować przekonać go o słuszności jakiejś tezy, taktyki, czy progamu; po tysiącznych dyskusjach i niezliczonych sporach, przyjmie on (mój) punkt widzenia. Ujrzy w nim szczyt mądrości. Lecz niechaj nagle zjawi się robotnik w bluzie roboczej i poprze przeciwstawny punkt widzenia — a Jaurès z miejsca mu się podda". Jest to charakterystyka niewątpliwie nieco karykaturalna, lecz zawiera w sobie pewną prawdę psychologiczną. Poczucie łączności z ludem pracującym górowało w Jaurèsie nad koncepcjami taktycznymi i względami gry parlamentarnej. Gdy w dodatku Międzynarodówka socjalistyczna wypowiedziała się kategorycznie przeciwko koalicji rządowej, Jaurès, jeden z najświetniejszych przywódców tejże Międzynarodówki, poddał się jej uchwale, i wycofał się z Bloc des Gauches. Partia socjalistyczna na nowo się zjednoczyła a sam Guesde, w kilkaście lat poźniej, w czasie wojny światowej, zasiadał w rządzie koalicyjnym.

* * *

Książka Jacksona opisuje życie i działalność Jaurèsa w sposób barwny i żywy. Wadą jej jest jednak pewien brak dystansu. Zapał dla jauresizmu zbyt często przesłania postać samego Jaurèsa. Jackson uwypukla pewne momenty w działalności przywódcy socjalizmu francuskiego, które wydają się mniej istotne. Ocena niektórych pos aci współczesnych Jaurèsowi jest czasem jednostronna i subjektywna. Najpoważniejszą jednak luką książki jest brak należytego wyjaśnienia stosunku Jaurèsa wobec wojny. Być może, że brak ten tłumaczy się faktem, że stanowisko Jaurèsa nie było skrystalizowane; że zawierało ono w sobie pewne sprzeczności, na które przedwczesna śmierć rzuciła jak gdyby zasłonę. W przeddzień zamordowania Jaurèsa nacjonalistyczna prasa francuska szczuła przeciwko niemu, darząc go przydomkiem „Herr Jaurès" (Jaurès c'est l'Allemagne). Było to oczywiste oszczerstwo. Pacyfizm Jaurèsa przepojony był patriotyzmem. Nie miał on w każdym razie nic wspólnego z pacyfizmem owych pseudo-socjalistów francuskich, którzy w imię fałszywego pokoju godzili się z nowym porządkiem Hitlera w roku 1940. Nazajutrz po zamordowaniu Jaurèsa francuska prasa prawicowa opłakiwała zgon wielkiego socjalisty, jako niepowetowaną stratę narodową. W pamięci opinii, Jaurès pozostał jednak męczennikiem walki przeciwko wojnie i przeciwnikiem militaryzmu.

Istotny stosunek Jaurèsa wobec tych spraw najlepiej prawdopodobnie oddaje wielkie dzieło jego pod tytułem „L'Armée Nouvelle". Był to rewolucyjny, jak na owe czasy, program demokratyzacji armii. Jaurès domagał się przekształcenia wielkiej armii stałej w milicję ludową. Trudno powiedzieć w jakim stopniu program ten jest dziś anachronizmem. Czy współczesna technika wojenna da się w ogóle pogodzić z armią zorganizowaną na zasadzie milicji? Są to kwestie, na które odpowiedzieć mogą specjaliści wojskowi, „L'Armée Nouvelle" zawiera jednak obok żądań politycznych również czysto fachową analizę sytuacji militarnej Francji. Niektóre fragmenty tej analizy brzmią niemal proroczo i mogłyby równie dobrze być napi-

sane np. przez generała de Gaulle'a, na kilka lat przed drugą wojną światową. Oto co pisał Jaurès na ten temat lat temu 33: ,,Nagromadzimy miliony ludzi możliwie jak najbliżej granicy za wzgórzami Mozeli. Lecz jeżeli wzgórza Mozeli zostaną zdobyte, lub też wyminięte przez potężną armię gotową do walki wcześniej, niż gotowa będzie nasza własna armia; jeśli Belgia ulegnie inwazji, czego należy się spodziewać; jeśli w naszej koncentracji zapanuje zamieszanie—cóż za pogrom nastąpi wówczas. Będzie to klęska przed bitwą". Jaurès krytykował poglądy strategiczne ówczesnego sztabu francuskiego i zwracał uwagę na swego przeciwnika politycznego, generała Foch'a, jako na jednego z nielicznych generałów francuskich, zdolnych do organizowania obrony Francji w momencie kryzysu. ,,Wielkie i nagłe starcie — pisał Jaurès — będzie miało miejsce na wstępie. Najlepsze siły obu krajów wojujących zetrą się z sobą na samym początku, a klęska niewątpliwie wywoła w zwyciężonym narodzie najstraszliwszą depresję moralną". A oto słowa Jaurèsa, które dziś jeszcze w podbitej Francji, w atmosferze owej ,,straszliwej moralnej depresji" czytać można jako prawdziwy jego testament:

,,Powiadają niektórzy, że byłoby cudem, gdyby naród zwyciężony mógł kiedykolwiek wydobyć się z przepaści, w którą strąciłby go tak wielki, znienacka zadany, cios. Lecz mylą się ludzie, którzy tak twierdzą. Albowiem nawet po dotkliwej i ciężkiej klęsce, nawet po załamaniu się swych najlepszych sił, naród, który pragnie żyć, nie ginie. Naród taki wciąż jeszcze posiadać będzie ogrom zapasów dla wielkiego wysiłku odrodzenia i dla tego wytrwałego, niezmordowanego i zdyscyplinowanego oporu, które zmusi w końcu najeźdźcę do rozproszenia swych sił i osłabienia się".

ADAM CIOŁKOSZ

SŁUPY PRZYDROŻNE

Drugą wojnę powszechną narzuciły światu Niemcy Adolfa Hitlera. One też narzuciły jej charakter, i one połączyły państwa o odmiennych ustrojach politycznych, gospodarczych i społecznych wolą obrony przed tą jednolitą wizją świata, jaką niesie Trzecia Rzesza na skrzydłach *Luftwaffe* i w chrzęście swych dywizji pancernych.

Jesienią 1940 r. Hitler proklamował ,,nowy ład europejski". Było to jednak — nie po raz pierwszy — hasło stanowiące tylko etap w jego zamierzeniach. Zamierzenia te nie są na miarę europejską, lecz na miarę światową a hasło europejskie potrzebne mu było tylko jako sztandar ,,ideologiczny" w rozprawie zjednoczonej Europy (czytaj: Niemiec) z Wielką Brytanią. Z końcem 1942 r. hasło to przybrało nieco już inny odcień: propaganda niemiecka mówi obecnie o ,,twierdzy europejskiej", zdolnej rzekomo do stawienia niepokonalnego oporu zarówno Związkowi Radzieckiemu z jednej, jak i siłom anglo — amerykańskim z drugiej strony.

Z końcem maja 1941 r. zasięg podbojów niemieckich na kontynencie europejskim ustabilizował się na Zachodzie, Północy i Południu, przed ruszeniem na wyprawę anty—sowiecką. Wschód Europy jest wciąż terenem olbrzymich zmagań orężnych, podczas gdy na jej Zachodzie, Południu i Północy działania wojenne przeszły w fazę ataków powietrznych, oraz desantów o znaczeniu nie przekraczającym ,,opukiwania" nieprzyjaciela. W sensie prawa międzynarodowego, dziewięć państw europejskich znalazło się pod okupacją Osi, w rzeczywistości jest ich znacznie więcej. Stopień

napięcia teroru niemieckiego w poszczególnych z tych krajów jest rozmaity, ale w miarę upływu czasu różnice zmniejszają się. Na rzecz wyrównania się poziomu ucisku działają dwa czynniki. Jednym z nich są potrzeby niemieckiej maszyny wojennej w zakresie zaopatrzenia jej w surowce, żywność i siłę roboczą; mowa Goeringa na uroczystości dożynek jesienią 1942 r. była pierwszym głośnym sformułowaniem tej równości w położeniu podbitych, a nawet wasalów. „Jeżeli kto będzie głodował, to na pewno nie Niemcy" — mówił Goering, nie czyniąc wyjątku nawet dla faszystowskich Włoch, a co dopiero dla pomniejszych sprzymierzeńców zgoła już nie mówiąc o narodach podbitych. Po drugie, każdy objaw oporu narodów podbitych, rosnącego w miarę przeciągania się wojny i coraz wyraźniej rysującego się zwycięstwa aliantów, prowadzi okupantów do zaostrzania reżimu teroru. Wciąż jeszcze istnieje olbrzymia rozpiętość pomiędzy sposobem traktowania Danii i Polski, ale podobieństwo odczuwania i podobieństwo myśli wśród ludów podbitych jest coraz większe. Ma to znaczenie ogromne; konspiracyjna polska broszura „Trybuna Ludów" (wrzesień 1940 r.) określa je tymi słowami:

„Ze wspólnego gospodarczego i politycznego położenia wypływa międzynarodowa wspólnota ideologiczna, streszczająca się w haśle wspólnej walki o wolność. Hasło międzynarodowej solidarności ludów zdobyło swoją międzynarodową bazę masową, znajdzie w ludach Europy siłę realną, które je poniesie ku realizacji. Ta wspólna i równoległa walka wszystkich ludów Europy z okupacją przestanie być w odpowiedniej koniunkturze militarnej hasłem tylko — stanie się zadaniem praktycznym. Więcej; wspólność walki stanie się warunkiem powodzenia i będzie najskuteczniejszym narzędziem zdolnym rozpruć oplatający wszystkie ludy pierścień okupacji. Ta wspólnota musi stać się też narzędziem organizowania nowej Europy. . . . Walka z faszyzmem, jako okupantem, musi być równocześnie walką o wolnościowe oblicze własnych narodów, musi być równocześnie walką z Europą wczorajszą, która ten faszyzm zrodziła, musi być wojną prewencyjną, stoczoną przez ludy przeciw możliwościom, tkwiącym w ustroju kapitalistycznym, wywołania nowej wojny, a więc walką o jutro Europy, niepodobnej nie tylko do faszystowskiego dzisiaj, ale też i do kapitalistycznego wczoraj".

Droga do wyraźnego uświadomienia sobie prawd, nakreślonych w powyższych słowach, żmudna jest i długa. Przyśpieszają ją wydarzenia same — a w ich przebiegu jednostki, grupy społeczne, narody, myślą znacznie szybciej i jaśniej, niż w czasach prawdziwego, czy pozornego spokoju. Lecz nawet w toku tych przemian niema objawień jednorazowych, niespodzianych i nagłych. Przemiany są bezustanne, i proces kształtowania się i przeobrażania świadomości indywidualnej i zbiorowej jest bezustanny. Rewizje raz ustalonych pojęć następować muszą z każdą zasadniczą zmianą w sytuacji wojennej, a zmiany te nie są jeszcze bynajmniej na ukończeniu. Co więcej, żaden z podbitych narodów nie jest — nawet pod „żelazną stopą" okupacji — bezkształtną masą, o jednym tylko obliczu; jeśli nawet zmniejszyły się bardzo znacznie rozpiętości sytuacji socjalnej i jeśli nawet teror okupancki tą samą salwą plutonów egzekucyjnych grozi wielkiemu magnatowi i fornalowi, dyrektorowi fabryki i prostemu robotnikowi, to jednak treść pragnień przyszłościowych nie we wszystkim jest jednakowa. Do tego dochodzi różny stopień obciążenia odpowiedzialnością za przeszłość i za teraźniejszość — moment, który najbardziej uwypukla się we Francji.

Walka z okupacją wyżłobiła sobie różne łożyska w poszczególnych krajach, i różne są formy oporu, zależnie od mnóstwa czynników tradycyjnych i technicznych, poczynając od różnic charakteru narodowego, a kończąc na ukształtowaniu geofizycznym. W czwartym roku wojny, walka ta ma za sobą rozliczne dokumenty. Jedne z nich są pisane atramentem i drukarską czernią, inne — pisane krwią. Dokumenty takie, jak strajk powszechny robotników W. Ks. Luxemburga, albo jak walka „czetników" jugosłowiańskich, mają wartość historyczną, przewyższającą wszelakie manifesty i odezwy. Lecz strzeżmy się niedoceniania dokumentów pisanych: „Na początku było słowo". Są one świadectwem bólów

porodowych nowego porządku rzeczy, który rodzi się wśród narodów podbitych. Są one słupami przydrożnymi w pochodzie do przyszłości.

Z pośród wielu wypowiedzi, jakie dotarły do Londynu, wybraliśmy te, które zdaniem naszym najlepiej oddają istotę dokonujących się przemian. Są one różne w treści i w formie. Wymagają czytania bardzo uważnego. Przy każdym z tych dokumentów zwracać uwagę należy na datę, jaką jest zaopatrzony, aby zrozumieć warunki w jakich powstawał.

Kiedyś, gdy walka obecna dobiegnie końca, badacze naukowi zasiądą nad kompletniejszymi archiwami, niż te, jakimi w tej chwili rozporządzamy. Kiedyś historycy pisać będą dzieje owej największej w dziejach ludzkości, walki o wolność. Obecnie dokumenty jakimi rozporządzamy, są biuletynami z placu boju. Jest w nich namiętność walczących o stawkę najwyższą, o całą przyszłość ludzkości. Słowa są czasem nieudolne, czasem politycznie błędne — lecz tkwi w nich najwyższa powaga autentyczności myśli, która w podziemiach konspiracji pracuje w najstraszliwszych warunkach nad przyszłością i dla przyszłości.

CZĘŚĆ I. FRANCJA

OD TRZECIEJ DO CZWARTEJ REPUBLIKI

Jeżeli który z narodów podbitych ma do wykonania olbrzymi wysiłek wewnętrzny, to przede wszystkim Francuzi. Kryzys sięgnął w głąb wszystkich stronnictw politycznych i wszystkich ugrupowań społecznych. Jedno z francuskich pism podziemnych („le Voix du Nord“, No. 32) zestawia nazwiska zdrajców i kolaboracjonistów, wśród wszystkich bez wyjątku partii politycznych i ruchów społecznych, przeciwstawiając je nazwiskom, które stały się synonimami oporu i walki, również wśród wszystkich ugrupowań. Nie powtarzamy tutaj listy, duża jej część jest znana. Po obu stronach bilansu, obejmuje ona zarówno Akcję Francuską jak i Partię Komunistyczną.

Pierwszy dokument, jaki dotarł z Francji po kapitulacji, to deklaracja socjalistów francuskich. Odgradza się ona od tych członków partii socjalistycznej (S.F.I.O.), którzy rzucili swe głosy za obaleniem konstytucji republikańskiej i za postawieniem na czele Francji marszałka Pétain'a, „szefa Państwa Francuskiego“. Dalej, odcina się ona od renegatów, skupionych wokół deputowanego Spinasse i Pawła Faure. Poddaje surowej krytyce demokrację francuską oraz samą partię socjalistyczną, przyznając, że ponosi ona część odpowiedzialności za stan rzeczy, który doprowadził do kapitulacji w Bordeaux i do reżimu Vichy. Podnosząc konieczność nowych metod i nowego ducha, proklamuje wiarę w socjalizm i jego posłannictwo dziejowe.

Deklaracja nie precyzuje jednak nowych metod, o których konieczności jej autorzy są przekonani, co ważniejsze, nie wskazuje miejsca Francji, ani nawet samej francuskiej klasy robotniczej, w toczącej się nadal wojnie, a ogranicza się tylko do wyrazów podziwu dla Wielkiej Brytanii. Niejasne jest znaczenie postulatu międzynarodowej akcji krajowych ruchów robotniczych. Z tekstu wynika, że chodzi o zniesienie klas. Bardzo dobrze, ale jakież ma być miejsce i jaka rola „międzynarodowej akcji krajowych ruchów robotniczych“ w walce z „przerażającym przedsięwzięciem zakucia świata w kajdany niewoli hitleryzmu i faszyzmu“? O tym deklaracja milczy. Oscyluje ona pomiędzy podziwem dla Wielkiej Brytanii — co mimo wszystko jest zajęciem wyraźnego stanowiska, na razie uczuciowego, w wojnie obecnej — a wiarą w międzynarodową akcję ruchu robotniczego, jak gdyby po niemieckiej stronie frontu istniały poważne i mogące oddziałać na przebieg wydarzeń siły rewolucyjne.

Dokument ten, jak i następne, budzi liczne uwagi krytyczne. Lecz — trzeba go czytać przywołując w pamięci dni, w jakich był pisany. Dni najgłębszej prostracji. Dni, w których zbierać zaczynano pierwsze siły,

dźwigając na ramionach brzemię nie tylko militarnej katastrofy, ale i hańby Vichy. To był pierwszy sygnał otrząsania się z nastrojów klęski. Już ten sygnał wydał się tak niebezpieczny, że Marx Dormoy, przypuszczalny inspirator deklaracji, zamordowany został w lipcu 1941 r.

Deklaracja socjalistów francuskich.

Wrzesień 1940.

Wielka masa Partii Socjalistycznej, wierna polityce ustalonej przez niedawne kongresy partyjne (w Royan, Montrouge, Nantes) potępia bez ogródek członków parlamentu, którzy dnia 10 lipca w Vichy, poddali losy Francji marszałkowi Pétain'owi, temu zatwardziałemu reakcjoniście i faszyście, oraz i skorumpowanej klice Piotra Lavala. Ci członkowie parlamentu głosowaniem swym postawili się nie tylko poza ruchem socjalistycznym, lecz w ogóle poza demokracją.

Dziennik „L'Effort", organ panów Spinasse, Rives i innych zdrajców, nie ma nic wspólnego z socjalizmem i — jak to zostało proklamowane w oświadczeniu towarzysza Marxa Dormoy, skonfiskowanym przez cenzora—„nie może on żadną miarą przemawiać w imieniu partii socjalistycznej".

Podpisani pragną dodać, że nie czekali na wojnę i na klęskę, by domagać się reformy konstytucji, która naszym zdaniem, winna była wyjść daleko poza konstytucję samą, reformy, która uwalniając państwo od ohydnej tyranii pieniądza, zapewniłaby w pełnym wykonaniu demokracji — pełny rozwój klasy robotniczej i socjalizmu.

Podpisani są zdania, że partia socjalistyczna, od wielu lat dotknięta reformizmem, oportunizmem i „elektoralizmem" jest częściowo odpowiedzialna za wzrastającą bezsiłę demokracji francuskiej ; oraz, że nowe metody i nowy duch są nieodzowne aby socjalizm — a nie zginął on i nie zginie — był znowu zdolny do spełnienia swej misji dziejowej, identycznej z misją klasy robotniczej.

Jak długo istnieją siły wyzysku, ucisku i agresji, razem z antagonizmem klasowym, jesteśmy zdecydowani nieść wysoko rozwinięty sztandar z wypisanymi słowami : Zniesienie klas ! Wyzwolenie robotników przez robotników samych ! Międzynarodowe porozumienie i międzynarodowa akcja krajowych ruchów robotniczych !

Na koniec, socjaliści francuscy przekonani, że jedna tylko Wielka Brytania w tej godzinie broni wolności świata przeciw przerażającemu przedsięwzięciu zakucia go w kajdany niewoli przez hitleryzm i faszyzm, pozdrawiają z podziwem opór brytyjski. Jesteśmy w tym pewni poparcia wszystkich Francuzów bez wyjątku.

Jako socjaliści, jesteśmy jednak zdania, że wojna prowadzona przez Wielką Brytanią celem osiągnięcia pełnego swego znaczenia, powinna postawić sobie cele większe, niż zniszczenie Rzeszy Hitlera : winna ona, jako do bezpośredniego celu, zmierzać do ustanowienia społeczeństwa bezklasowego, wolnego od wyzysku, w którym ludzkość cała znajdzie dobrobyt i wolność.

OKÓLNIK SYNDYKALIZMU FRANZUSKIEGO

W kilka miesięcy po kapitulacji Francji, dwunastu znanych działaczy związków zawodowych, rozesłało do organizacji zawodowych okólnik wskazujący czym jest i czym być powinien syndykalizm francuski. Była to pierwsza próba określenia polityki konstruktywnej, dokonana we Francji, po kapitulacji.

Okólnik syndykalistów opracowany został w jednym z miast strefy okupowanej, a w napisaniu go brało udział 9 działaczy Konfederacji Generalnej Pracy (C.G.T.) i 3 działaczy Konfederacji Francuskiej Pracowników Chrześcijańskich (C.F.T.C.) ; poglądy wypowiedziane w okólniku reprezentują zatem całość francuskiego ruchu zawodowego.

Używając w przekładzie wyrazu „syndykalizm", rozumiemy go — zgodnie z tradycją francuską — jako określenie ruchu związków zawodowych, nie podporządkowanych dyrektywom partyjnym (karta z Amiens, 1906 r.). Nie należy tu przez ten wyraz rozumieć doktryny, która wyzwolenie klasy robotniczej widziała wyłącznie na drodze walki ekonomicznej, kulminującej w rewolucyjnej walce o władzę dla proletariatu, przeciwstawiając się demokracji parlamentarnej nawet jako placówce walki, lub propagandy.

W ujęciu autorów okólnika, syndykalizm doznaje interpretacji podobnej do tej, jaką walce robotniczej nadawali t.zw. ekonomiści w Polsce przed rokiem 1892, a w zwyrodniałej zupełnie formie — związki zawodowe t.zw. polskie (Z.P.Z.Z.) od roku 1935. Jest to stanowisko obojętności robotników dla kwestii władzy politycznej. Prawdopodobnie autorom zdawało

się, że było to taktycznie nieodzowne, o ile powieść się miała próba uczynienia z legalnie istniejących związków zawodowych terenu, na którym robotnicy francuscy mogliby bronić przynajmniej jako — tako swego poziomu życiowego i prawodawstwa socjalnego. Na zamiar dostosowania się do warunków stworzonych po kapitulacji wskazuje m.in. : używanie w okólniku terminu „Państwo“ w miejsce „Republiki“, skasowanej przez Vichy ; zaakceptowanie programu korporacyjnego, łącznie z arbitrażem państwowym w zatargach pracy i wyrzeczenie się broni strajkowej, pod warunkiem, iż „państwo“ t.j. Pétain obejmie gwarancję sprawiedliwości w stosunkach społecznych. „Zarówno korporacjonizm jak i syndykalizm są jednako nieodzowne“ — w tym stwierdzeniu znajdujemy kulminacyjny punkt programowy okólnika ; nad syndykatami zaś i nad korporacjami — państwo suwerenne, w roli arbitra.

Ceną za przejście na tę pozycję miałoby być uratowanie niezależności związków zawodowych (syndykatów), oraz istnienia ogólnokrajowych konfederacji związków zawodowych.

Bardzo stanowczo okólnik staje na tradycyjnym francuskim gruncie poszanowania praw jednostki, odrzucając antysemityzm, prześladowania religijne, pojęcie przestępstw politycznych, przywileje pieniądza, oraz wszelki reżim totalitarny.

Zamiar uratowania dla francuskiej klasy robotniczej przynajmniej niezależności syndykalnej i przejęcia związków zawodowych nowym duchem oporu, bodaj w ograniczonej sferze działania, nie powiódł się. W dniu 1 stycznia 1942 r. weszła w życie Karta Pracy, wydana przez Vichy, przewidująca w każdym zawodzie jednolity związek zawodowy, obejmujący wszystkich pracujących w danym zawodzie (pracodawców i pracobiorców po społu). Dnia 8 września 1942 r. ukazało się w *Journal Officielle* rozporządzenie wykonawcze z dnia 28 sierpnia 1942 r. nakazujące przygotowanie połączenia istniejących organizacji zawodowych do dnia 8 grudnia 1942 r. Wedle tego rozporządzenia, wszyscy członkowie istniejących związków zawodowych mają być automatycznie przekazani do jednolitej organizacji; oporni, oraz niezorganizowani, mają być przez pracodawców spisani na liście, która ma być doręczoną odnośnemu związkowi jednolitemu. W paryskim tygodniku „*Atelier*“ z dnia 12 września 1942 r. stwierdza renegat Doumolin : „Masa . . . przyjmie źle to zarządzenie. . . . Opinia ludu potępia wszystkie prawa Vichy“. W dwa tygodnie później, artykuł wstępny tegoż pisma stwierdzał, iż „na prowincji i w departamentach panuje opór, zawzięte milczenie, wrogość i rozgoryczenie“ przeciw gleichszaltungowi związków. Mimo to, próba bodaj częściowego uratowania organizacji zawodowej dla robotników, dobiegła kresu. W sumie próba ta miała jednak doniosłe znaczenia.

Istotny sens poniższego okólnika, to walka przeciw szykującym się próbom pełnego gleichszaltungu związków zawodowych. Uratowanie niezależności syndykalnej miało jednak być dokonane w ramach porządku rzeczy, stworzonego przez Vichy.

Zamiar się nie powiódł, bo powieść się nie mógł. Nie powiódł się tymbardziej, że „Państwo Vichy“ przestało istnieć. Na cztery tygodnie przed dniem, który Vichy wyznaczylo na glajchszaltunek związków zawodowych, wojska niemieckie zajmowały Francję nieokupowaną.

13 *listopada* 1940.

Syndykalizm Francuski — czym jest i czym być powinien.

Syndykalizm francuski, mimo swych trudności wewnętrznych, mimo klęski kraju, mimo nędzy klasy robotniczej, jest wciąż żywy. Lecz — by zająć miejsce, do którego ma prawo w życiu gospodarczym i społecznym Francji — brak mu świadomości swych dróg.

Czy ma on wyrzec się swej przeszłości ?

Czy ma on odżywać nie licząc się z obecną rzeczywistością ?

Czy ma on — wierny pewnej liczbie podstawowych zasad, lecz uwzględniając fakty — na nowo określić swe cele i środki dla ich osiągnięcia ?

Na te zasadnicze pytania pragnie dać odpowiedź grupa syndykalistów francuskich, wolnych od ducha sekciarstwa, nie zaprzągniętych polityką i nie liczących się z żadnym naciskiem zewnętrznym.

I. Przeszłość.

Przede wszystkim, mowy być nie może o wyrzeczeniu się przeszłości. Akcja syndykalna w różnych formach określiła ewolucję klasy robotniczej ku trwałej poprawie warunków bytu.

Ewolucja ta miała okresy pięcia się wzwyż okresy zastoju, lecz jeśli za słupy graniczne porówania weźmiemy długie lata, to jej charakter pomyślny dla robotników nie może podlegać wątpliwości.

Wojna i klęska zadały straszliwy cios dziełu syndykalizmu.

Lecz czy można powiedzieć, że jest on odpowiedzialny za klęski które dręczą nasz kraj ?

— Wszakże żadne z rozwiązań i reform zalecanych przez ruch syndykalny nie zostały zastosowane przez rząd we właściwym czasie ;

— wszakże żadne francuskie ugrupowanie syndykalne nie było wzywane, by wziąć na siebie część odpowiedzialności za władzę ;

— wszakże działalność syndykalna mogła zostać rozbita w naszym kraju w momencie, w którym zjednoczenie Francuzów i współpraca robotnicza w służbie narodowi, były nieodzowne bardziej niż kiedykolwiek ;

— wszakże tak skonfederowane jak i chrześcijańskie organizacje syndykalne bezustannie twierdziły, że pokój winien i mógł być utrzymany w drodze współpracy międzynarodowej, opartej na duchu sprawiedliwości.

Możemy pójść jeszcze dalej.

Któż to pierwszy krytykował wybryki kapitalizmu ?

Kto wskazywał niebezpieczeństwo liberalizmu i skrajnego indywidualizmu w epoce, w której życiu gospodarczemu kraju potrzebne było energiczne kierownictwo państwowe ?

Kto przewidział następstwa wyścigu zbrojeń, rozpoczętych w okresie, w którym można jeszcze było uratować pokój ?

Kto wykazywal błędy polityki zagranicznej większości rządów, które po sobie następowały we Francji od r. 1919 ?

Kto, jeśli nie syndykalizm francuski ?

Aby przekonać się o tych prawdach elementarnych, wystarczy przeczytać raz jeszcze uchwały powzięte przez różne kongresy C.G.T. i C.F.T.C. jak również „plany" wypracowane przez te dwie Konfederacje.

Syndykalizm francuski nie ponosi zatem odpowiedzialności za obecną sytuację. Tym niemniej popełnił on błędy :

— niektórzy z jego członków nazbyt powiązali istnienie ruchu syndykalnego z istnieniem stronnictw politycznych i zdyskredytowanego parlamentu ;

— ruch syndykalny w zbyt wielkiej mierze poświęcał często poszukiwanie pełnych rozwiązań gospodarczych i reform ustrojowych na rzecz zaspokojenia żądań bezpośrednich ;

— istnienie polityk tendencyjnych oraz polityk indywidualnych nadszarpnęło zwartość robotniczą i zmniejszyło skuteczność akcji syndykalnych.

II. Chwila obecna.

Jaka jest obecna sytuacja syndykalizmu ?

Trzeba mieć odwagę jej rozpoznania : robotnicy w swej większości nie interesują się swymi organizacjami, ile że czują oni, iż organizacje te nie przynoszą im ani ideologii zadawalniającej, ani programu odpowiadającego okolicznościom, ani skutecznej obrony ich interesów zawodowych.

Z drugiej strony nie mogą oni uznać za autentyczne organizacje robotnicze organizacyj, których przywódcy nie zostali swobodnie wybrani przez robotników, i których działalność wykonywana jest pod kuratelą państwa.

Jeśli się więc pragnie zewrzeć robotników wokół ich syndykatów, trzeba :

— potwierdzić, czy też ponowić zasady ideologiczne syndykalizmu francuskiego ;

— sprecyzować stosunki jakie istnieć winny między syndykalizmem a państwem ;

— wytworzyć kadrę, w której syndykalizm mógłby się przetwarzać i wytworzyć metody, które należałoby zastosować.

III. Zasady syndykalizmu francuskiego.

Syndykalizm francuski winien przejąć się sześciu głównymi zasadami :

A/ Winien być *anty-kapitalistyczny* i w ogóle przeciwstawiać się wszystkim formom ucisku robotników ;

B/ Winien uznać *podporządkowanie interesów poszczególnych, interesowi ogólnemu* ;

C/ Winien zajmować w państwie *całe należne mu miejsce i tylko należne mu miejsce* ;

D/ Winien uznać *poszanowanie jednostki ludzkiej*, bez względu na rasę, religię i przekonania ;

E/ Winien być swobodny zarówno w sprawowaniu swej działalności zbiorowej, jak i w korzystaniu każdego członka z wolności osobistej ;

F/ Winien zmierzać do *współpracy międzynarodowej pracujących* oraz ludów.

A/. Anty-kapitalizm. Syndykalizm pierwszy zrozumiał i zdemaskował odpowiedzialność kapitalizmu za kryzysy gospodarcze i konwulsje społeczne i polityczne okresu po wojnie lat 1914-1918.

Finansiści i trusty międzynarodowe, wielkie spółki akcyjne, kolektywy przedsiębiorców, istni feudałowie życia gospodarczego, ugrupowania kierowane przez ograniczoną liczbę ludzi odpowiedzialnych, zbyt często poświęcały interesy ojczyzny i interesy pracujących utrzymaniu, lub powiększeniu swych zysków. W drodze operacji monetarnych, wywozu kapitałów, odmowy naśladowania innych narodów na drodze postępu technicznego, systematycznie hamowały one rozwój francuskiej produkcji przemysłowej. Są one bardziej odpowiedzialne za klęskę naszego kraju, niż jakikolwiek polityk, najbardziej nawet marny lub nieudolny.

Reżim kapitalistyczny powinien być zastąpionyp rzez reżim gospodarki skierowanej ku służbie zbiorowości. Motyw *zysku indywidualnego* winien być zastąpiony motywem *zysku zbiorowego*. Przedsiębiorstwa winny być od tej pory zarządzane w myśl ogólnych wskazówek „planu" produkcji, pod kontrolą państwa i przy pomocy syndykatów techników i robotników. Zarząd lub dyrekcja przedsiębiorstwa pociągać za soba będzie, z samego prawa, odpowiedzialność całkowitą za wszelkie przekroczenia, lub popełnione nadużycia.

W ten sposób, i tylko w ten sposób, zniknie bezrobocie, warunki pracy poprawią się na stałe i zapewnią pracującym dobrobyt, najwyższy cel syndykalizmu.

B/. Podporządkowanie interesów poszczególnych, interesowi powszechnemu. Podporządkowanie to winno mieć miejsce we wszystkich dziedzinach, a zwłaszcza wewnątrz samych organizacji syndykalnych.

Skrajny indywidualizm zawsze udaremniał w naszym kraju wszelką skoordynowaną akcję zbiorową : każdy miał bowiem prawo, po wyrażeniu swojego punktu widzenia, swoją działalnością osobistą przeszkadzać w wykonaniu odmiennych postanowień powziętych przez większość.

Syndykalizm jest ruchem zbiorowym, nie jest on bynajmniej sumą wielkiej liczby małych ruchów indywidualnych. Jednostki mają dla niego wartość tylko o tyle, o ile służą sprawie syndykalizmu, a nie swej własnej.

Cała historia syndykalizmu wykazuje, że akcja zbiorowa najlepiej zapewnia obronę interesów jednostkowych.

C/. Miejsce syndykalizmu w państwie. Syndykalizm nie może mieć pretensji do pochłonięcia państwa. Tym bardziej, syndykalizm nie powinien być pochłonięty przez państwo.

Syndykalizm, ruch zawodowy a nie polityczny, winien odgrywać wyłącznie rolę gospodarczą i społeczną obrony interesów produkcji. Państwo winno odgrywać rolę arbitra suwerennego wobec wszelkich interesów.

Te dwie role nie powinny być z sobą pomieszane.

Z drugiej strony, działalność syndykalna i suwerenność państwa sprawowane będą tym łatwiej, jeżeli zawody będą zorganizowane.

Ta nieodzowna organizacja zawodowa nie powinna przeszkadzać działalności organizmów międzyzawodowych, umiejących, ponad zagadnieniami gospodarczymi i społecznymi, widzieć całość i uprawiać politykę koordynacji organizacji zawodów . . . .* w sztywnych kadrach zwyrodniałaby w system etatystyczny i biurokratyczny.

Ostateczne zlikwidowanie wielkich ogólno — krajowych konfederacji międzyzawodowych byłoby wobec tego błędem.

Nie trzeba wybierać pomiędzy syndykalizmem a korporacjonizmem. Oba są równie nieodzowne.

Formuła przyszłości, to *wolny syndykat, w zawodzie zorganizowanym i w państwie suwerennym.*

Suwerenność państwa i skuteczność jego roli arbitra pociąga za sobą w praktyce likwidację strajku jako środka obrony pracujących. Byłoby niesprawiedliwe pozbawić tych ostatnich wszelkich środków działania, jeśli państwo nie obejmie wobec nich gwarancji ścisłego stosowania prawodawstwa społecznego i panowania sprawiedliwości w stosunkach społecznych.

Walka klas, która do tej pory była raczej faktem niż zasadą, zniknąć może tylko :

— przez przeobrażenie reżimu zysku ;

— przez równość stron w układach zbiorowych ;

— przez ducha współpracy między stronami, a gdy tego ducha brak, przez bezstronny arbitraż państwa.

D/. Poszanowanie jednostki ludzkiej. W żadnym wypadku, pod żadnym pozorem i w żadnej formie, syndykalizm francuski nie może dopuścić różnic między ludźmi opartych na rasie, religii, urodzeniu, przekonaniach, lub pieniądzu.

Każdy człowiek jest jednakowo poszanowania godny. Ma on prawo do swobodnego i całkowitego rozwoju, o ile tylko nie sprzeciwia się to interesom zbiorowości.

W szczególności, syndykalizm francuski nie może uznać :

— antysemityzmu,

— prześladowań religijnych,

* W egzemplarzu, jaki dotarł do Londynu, brak w tym miejscu kilku wyrazów.

— przestępstw politycznych,
— przywilejów pieniądza.
Odrzuca on nadto wszelki reżim czyniący z człowieka maszynę nieświadomą, niezdolną do myślenia i do samodzielnego działania.

E/. Wolność. Syndykalizm był i jest oparty na zasadzie wolności; błędem jest twierdzić dzisiaj, że klęska naszego kraju zawiniona została przez wolności obywatelskie, skoro nieudolność naszego sztabu generalnego, niedołęstwo naszej administracji i rozstrój w przemyśle były jej przyczynami wewnętrznymi.

Wolność syndykalna winna obejmować:
— prawo pracujących do myślenia co i jak chcą, do wypowiadania podczas zebrań związkowych swych myśli na temat zagadnień zawodu;
— prawo reprezentacji przez wybranych mandatariuszy;
— prawo należenia do organizacji syndykalnej wedle swego wyboru, lub nienależenia do żadnej organizacji;
— prawo do niewtrącania się organizacji syndykalnych w życie prywatne.

Wolność może prowadzić do nadużyć. Poskramianie ich jest mniej ważne, jak uniknięcie ich ponawiania się. W tym względzie, oświata robotnicza, bardziej niż wszelkie inne zarządzenia przymusowe, winna dać pracującym świadomość i metody działania i myślenia, niezbędne do uświadomienia sobie ogólnych interesów kraju, interesów zawodu, oraz swych istotnych interesów szczególnych. Organizowanie oświaty robotniczej należeć będzie do zawodów, pod kontrolą syndykatów i państwa.

F/. Współpraca międzynarodowa. Aczkolwiek syndykalizm nie może interweniować w miejsce państwa w polityce kraju, to jednak winien on się zajmować:
— międzynarodowymi warunkami produkcji,
— dolą pracujących w całym świecie,
— współpracą pomiędzy ludami rodzicielką większego dobrobytu i postępu.

Byłoby doprawdy bez sensu, wierzyć, że kraj nasz będzie mógł jutro żyć sam w sobie, wyizolować się od reszty świata i nie interesować się wielkimi międzynarodowymi problemami gospodarczymi i społecznymi.

Syndykalizm będzie miał swą rolę do odegrania w utrwaleniu pokoju i w przebudowie świata.

IV. Przyszłość syndykalizmu.

Przyszłość syndykalizmu francuskiego zależy:
— od przyszłości Francji,
— od jej organizacji gospodarczej i społecznej,
— od ludzi, którzy staną na czele.

Nie wolno nam wątpić w przyszłość Francji. Nie wolno nam uważać się, pomimo klęski wojskowej, za naród, lub lud niższy. Znajdziemy z powrotem nasze miejsce w świecie w stopniu, w jakim mieć będziemy świadomość miejsca, które zająć możemy.

— Organizacja gospodarcza i społeczna Francji winna uprzątnąć stół z błędów przeszłości. Przedstawiliśmy zasadnicze podstawy tej nowej organizacji.

— Co do ludzi, którzy mogą stanąć na czele ruchu syndykalnego, winni oni odpowiadać następującym warunkom:
— nie mieć mentalności zwyciężonych,
— stawiać interes ogółu ponad swym interesem osobistym,
— szanować klasę robotniczą i pragnąć jej służyć,
— posiadać wiedzę ogólną i techniczną nieodzowną dla sprostania zagadnieniom chwili.

Dla obrony syndykalizmu francuskiego, jego tradycyj i jego przyszłości, dla zapobieżenia bezrobociu i nędzy, dla ocalenia swych swobód,

pracownicy francuscy zewrą szeregi.

CZWARTA REPUBLIKA

Z początkiem roku 1942 w podziemnym ruchu robotniczym francuskim rozpowszechniane były rozważania o konstytucji czwartej republiki francuskiej (Considérations pour la Constitution de la IV Republique Française), pomyślane jako podstawa do dyskusji.

Jak z samej nazwy wynika, rozważania zajmują się wyłącznie przyszłym urządzeniem Francji. Autorzy zdają sobie atoli sprawę, że podstawowym warunkiem przeobrażeń wewnętrzno — ustrojowych jest klęska Hitlera. Równie jasno zdają sobie przecież sprawę z tego, że ruch wyzwolenia narodowego będzie jednocześnie ruchem wyzwolenia społecznego. Stoją oni na gruncie demokracji ludowej, odrzucają monopartyjność, zapowiadają jednak pozbawienie pasorzytniczych grup w społeczeństwie praw demokratycznych. Uderzająca jest zapowiedź oparcia Francji na zasadzie federacji prowincji; byłoby to zerwanie z 150 letnią tradycją centralistyczną.

Czwarta Republika ma być republiką socjalistyczną, przy czym w jednym miejscu „rozważania“ mówią o uspołecznieniu środków produkcji i

wymiany, w innym zaś o ich upaństwowieniu. Upaństwowieniu nie ulegnie atoli mniejsza (niewiadomo, do jakich granic) własność rolna, oraz mniejsze (również nie wiadomo, do jakich granic) zakłady przemysłowe. Nowa demokracja socjalistyczna ma wyzwolić wszystkie siły twórcze ludu francuskiego, przygotowując w ten sposób odrodzenie narodu. Zarówno powołanie się ną cel odrodzenia narodowego, jak i nawiązanie do ruchu chrześcijańskiego wyznającego zasady sprawiedliwości społecznej, jest bardzo charakterystyczne. Skądinąd, uderza odróżnienie grup faszystowskich od burżuazji, oraz przyznanie chłopom pełnoprawnego i samodzielnego i miejsca w przyszłej Francji.

W sumie ma to być republika socjalizmu — powiedzmy — ludowego a nie czysto proletariackiego, demokratycznego (z nieznacznymi ilościowo ograniczeniami) i zdecentralizowanego. Całość „rozważań" wykazuje istotne przemyślenie zagadnień przyszłościowych Francji, pewną wątpliwość budzi tylko realność przewidywania administracji na zasadzie federacyjnej.

O ile można ocenić, podobieństwo „rozważań" do dorobku myślowego polskiego ruchu robotniczego (program radomski, 1937) oraz do Programu Polski Ludowej (1941) idzie bardzo daleko.

Od okólnika syndykalistów, dzieli program IV republiki przestrzeń jednego roku. Czytelnik bez trudu zauważy ogromny postęp dokonany w tym czasie i ogromną różnicę między tymi dwoma dokumentami. Pogłębiły się cierpienia ludu francuskiego, a razem z nimi zaostrzyła się świadomość i rozszerzyły się horyzonty. Im większa cena cierpień i ofiar, tym najwidoczniej wyższy cel stawiają sobie ci, którzy myślą wybiegają w przyszłość.

We wszystkich reżimach faszystowskich władzę zdobyła terorystyczna i wyzuta ze skrupułów zgraja polityczna, której nie utożsamiamy z klasą kapitalistyczną. Stwierdzamy jednak, że zgraja ta — mimo kilku bardziej pozornych, niż rzeczywistych ograniczeń — pozostawiła burżuazji jej swobodę zysków i jej najważniejsze przywileje. W zamian za to burżuazja prawie całkowicie oddała się na usługi politycznych i imperialistycznych celów nowego państwa.

. . . Kwestia społeczna może zostać rozwiązana tylko w drodze współpracy międzynarodowej w zakresie wykorzystania bogactw naturalnych, w drodze planowej racjonalnej produkcji w przemyśle i rolnictwie i w drodze sprawiedliwego rozdziału produktów pomiędzy spożywców. Tego rodzaju organizacja wymaga radykalnego przeobrażenia społeczeństwa i życia gospodarczego na podstawie uspołecznienia środków produkcji i wymiany.

. . . We Francji warunki takiego przeobrażenia powstaną jednocześnie z klęską Hitlera.

. . . Nie należy oczekiwać powrotu do przedwojennego reżimu politycznego, t.j. do republiki parlamentarnej, należącej mniej lub więcej do kapitalizmu; reżim ten nie umiał bronić wartości, które winien był reprezentować. Ruch wyzwolenia narodowego, przynosząc upadek Hitlera, będzie na pewno jednocześnie ruchem wyswobodzenia społecznego.

. . . P.rzewroty społeczne, przez które przejść musi Francja, muszą być przygrywką do odrodzenia narodu w demokracji rozumianej w najszerszym sensie, będącej spadkobierczynią odwiecznej walki ludu i nadającej pełne i żywe znaczenie tym walkom, uzupełniając próbę emancypacji politycznej „praw człowieka", przez gospodarcze oswobodzenie w socjaliźmie.

. . . To też wszystkie zdrowe siły społeczne i duchowe, które w obu strefach w ciągu lat ucisku hitlerowskiego i hitlerowsko — francuskiego reagowały otwarcie i odważnie, muszą przyłączyć się do słusznych żądań ludu i sprzymierzyć się z państwem, jakie narodzi się ze zwycięstwa ludu. Siły te nabyły sobie prawo do autorytetu i do budowania nowej Francji. Siłami reprezentującymi lud francuski są przede wszystkim: niezależny ruch zawodowy robotników wszystkich zawodów, pracujące chłopstwo, i ruch chrześcijański, wyznający sprawiedliwość społeczną a zdecydowany popierać reżim polityczny o duchu humanistycznym i szanować swobodę sumienia.

Główne wytyczne zawierają się w 6 punktach:

I. Republika Francuska jest rzecząpospolitą pracujących — zjednoczonych bez różnicy pochodzenia, rasy lub wyznania religijnego.

II. Rząd Republiki Francuskiej jest demokratyczny. Atoli z demokratycznych praw nie korzystają wszystkie te grupy osób, których czynnością jest tylko wymiana pieniędzy na pieniądze, pośrednicy, finansiści, bankierzy, członkowie rad nadzorczych, spekulanci, obszarnicy i wielcy przemysłowcy. Nowa Republika oprze się na pracownikach umy-

słowych i robotnikach przedsiębiorstw prywatnych, na urzędnikach, pracownikach umysłowych i robotnikach wszelkiego rodzaju w służbie państwowej, na producentach rolnych i przemysłowych, chłopach, rzemieślnikach i kierownikach zakładów przemysłowych, których dochód roczny z zakładu nie przekracza pewnej granicy (jej wysokość zostanie ustalona w przyszłości), na wolnych zawodach, na pisarzach, uczonych i artystach, duchownych, oficerach i podoficerach.

III. Republika Francuska będzie socjalistyczna. Upaństwowione zostaną trusty, banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, transport, służby użyteczności publicznej, górnictwo, wszystkie przemysły surowcowe, własność ziemska do liczby hektarów, która zostanie określona w przyszłości, zakłady zatrudniające robotników powyżej pewnej liczby, która zostanie określona w przyszłości, albo przekraczające pewną granicę produkcji, która zostanie określona w przyszłości, wielkie domy handlowe itd.

IV. Francja będzie podzielona na prowincje i będzie administrowana na zasadzie federacyjnej.

V. Wierzenia religijne i obrzędy są wolne. Samo się przez się rozumie, że świecki charakter i neutralność nauczania zostaną przywrócone. Zamierzona jest reforma nauczania. Nauka religii pozostaje swobodna.

VI. Przekonania polityczne, filozoficzne i religijne Francuzów są wolne. Wolno je swobodnie wyrażać i rozszerzać je pismem i żywym słowem pod warunkiem, że nie zagrażają porządkowi publicznemu i bezpieczeństwu państwa.

Rozważania kończą się nakreśleniem roli trybunałów rewolucyjnych, które pociągną do odpowiedzialności winowajców obecnej niedoli Francji.

ODEZWA FRANCUSKICH ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH

Ta odezwa nie wymaga komentarzy. Jest ona przede wszystkim wzruszającym dokumentem solidarności międzynarodowej w walce. Jest ona prosta, piękna, i tchnie szczerością. Jest ponad to pełna godności. Prosi, co prawda, o pomoc—porównanie z górnikami, oczekującymi na ratunek w kopalni po eksplozji, jakże chwyta za serce — lecz jednocześnie oświadcza: „Nie prosimy o współczucie. . . . Prosimy tylko, abyście nam ufali". W skromnych słowach, ale przekonywująco, zapewnia o gotowości do walki w granicach możliwości, oraz o gotowości do ofiar: „Gotowi jesteśmy patrzeć na bombardowanie naszych fabryk. . . ." Po raz pierwszy w dokumencie pochodzącym z Francji pojawia się tu nazwisko generała de Gaulle. Podobnie jak w „okólniku syndykalizmu francuskiego", w odezwie majowej wspólnie zabierają głos związkowcy z ruchu — jak powiedzielibyśmy w Polsce — klasowego i z ruchu chrześcijańskiego. Jest to godne uwagi, świadczy bowiem o dokonanym faktycznie zjednoczeniu dwóch kierunków francuskiego ruchu zawodowego, które przetrwa na pewno czasy okupacji.

Do międzynarodowej federacji związków zawodowych. 1 *maja* 1942.

Z ufnością i nadzieją, my zespół związkowców z Konfederacji Generalnej Pracy (G.C.T.) i z chrześcijańskich związków zawodowych, przebywają we Francji, wierni patriotycznym i społecznym tradycjom ruchu robotniczego, pewni że wyrażamy jednomyślne poglądy robotników francuskich, przesyłamy tę odezwę na święto majowe 1942 do organizacji zawodowych w całym świecie, do robotników wszystkich krajów, a zwłaszcza do robotników brytyjskich, amerykańskich i rosyjskich, którzy dźwigają największy ciężar w walce o wolność.

Towarzysze, nie prosimy o współczucie. Prawdą jest, że kraj nasz został złupiony i zdradzony; złupiony przez bezlitosnego wroga, który kradnie nasze maszyny, naszą żywność i naszą siłę roboczą na cele swej wojny rozbójniczej; zdradzony przez najnikczemniejszych między Francuzami, którzy już od lat praktykowali u wroga w zdradzie na nasz koszt.

Prawdą jest, że życia nasze zostały zrujnowane, że Niemcy obniżyli płace, wstrzymują dostawy żywności, organizują i zapobiegliwie utrzymują „czarny rynek", że z nierówności społecznej uczynili podstawową zasadę tej odmiany narodowego socjalizmu, którą rezerwują dla celów eksportowych. Prawdą jest, że nasze swobody przepadły, że obrabowano nas z naszej wolności słowa, naszej swobody organizacji związkowej, naszej pewności jutra. Lecz mimo to nie prosimy o współczucie. Prosimy tylko, abyście nam ufali.

Nie braliśmy udziału w zdradzie. Tylko przemoc, lub groźba głodowej śmierci zmusza nasz lud do pracy dla Niemiec. Nie wierzcie tym, którzy wam mówią, że jesteśmy w najmniejszym bodaj stopniu po stronie najeźdzcy i jego Quislingów. Ci, co tak mówią, tylko próbują was oszukać.

Przeciwnie, towarzysze, wam ufamy, wam którzy pracujecie dla wyzwolenia naszego, wam którzy dostarczacie aeroplanów, okrętów i czołgów— narzędzi zwycięstwa. Gotowi jesteśmy do wszelkiej dla was pomocy, do sabotowania w granicach możliwości —

wszystkiego co się produkuje dla nieprzyjaciela, gotowi jesteśmy patrzeć na bombardowanie naszych fabryk pracujących dla Niemców, gotowi jesteśmy słuchać haseł, jakie nam rzucacie.

Co więcej, kraj nasz jest wciąż w wojnie. Generał de Gaulle, nasz przedstawiciel i przedstawiciel ludu Francji, walczy po stronie aliantów. Jeżeli armia jego jest jeszcze mała, ogromna armia jeńców stoi za nim we Francji. Pewnego dnia nieprzyjaciel zapewne się przekona, że niema dość kajdan, by powstrzymać nas od walki.

Towarzysze, w tym dniu Święta Majowego tak bogatym w wspomnienia, dla was i dla nas, serca nasze są z wami. Pomyślcie trochę o nas, pomyślcie dużo — jeśli możecie, i pamiętajcie zawsze, że jak górnicy spieszący na ratunek po eksplozji, pracujecie dla towarzyszów znajdujących się w śmiertelnym niebezpieczeństwie.

AKCJA SOCJALISTYCZNA

Manifest Komitetu Akcji Socjalistycznej, zamieszczony w numerze 2 nielegalnego *Le Populaire*, jest dokumentem o dużym znaczeniu.

Jest to pierwsza dokonana we Francji próba konkretnego wytyczenia zadań bieżących, jakie stoją przed proletariatem francuskim, oraz określenia stanowiska w sensie praktycznej polityki.

Przede wszystkim, manifest powiadamia o odbudowaniu *organizacji* socjalistycznej. Nie jest to dawna partia, lecz organizacja nowa. Akcja Socjalistyczna odcina się zarówno od renegatów, jak i od tchórzów. Tym mocniej podkreśla „niewzruszalny charakter doktryny socjalistycznej“. Nadaje jej jednak nowe znaczenie.

„We Francji cała działalność socjalistyczna podporządkowana jest sprawie wyzwolenia kraju naszego . . . słusznem jest pobudzać do walki o niepodległość narodową“. W porównaniu z nieporadnością deklaracji z września 1940 r., widzimy zadanie walki z okupantami i zdrajcami postawione na czele. Stąd chęć współpracy z wszystkimi, którzy sobie to zadanie stawiają — „kimkolwiek by byli“.

W sposób niedwuznaczny, Akcja Socjalistyczna ofiarowuje swoje poparcie dla gen. de Gaulle. Dnia 23 czerwca 1942 gen. de Gaulle ogłosił deklarację, która była wynikiem rokowań pomiędzy głównymi ruchami oporu we Francji i Francuskim Komitetem Narodowym w Londynie. Deklaracja ta ustala cele wojenne ludu francuskiego i zapowiada m.in.: „Lud Francji, uwolniony od obcego ucisku, musi jednocześnie odzyskać swe swobody wewnętrzne. Skoro tylko wróg zostanie wypędzony z francuskiej ziemi, Zgromadzenie Narodowe wybrane przez wszystkich Francuzów i Francuzki, rozporządzać będzie suwerenną władzą zadecydowania o przyszłości“. Jest to zatem zapowiedź konstytuanty, powołanej w drodze powszechnego głosowania i suwerennej.

Deklaracja gen. de Gaulle została ogłoszona w całej pełni przez podziemne czasopisma francuskie: „*Libération*“, „*Combat*“, „*Franc — Tireur*“ i „*Le Populaire*“, co należy rozumieć w ten sposób, iż ruchy skupione wokół tych pism uznały się za wchodzące w skład ruchu t.zw. „de gaullizmu“. Dla różnych przyczyn, ta zasadnicza orientacja odnowionego socjalizmu francuskiego była nieunikniona. Tym niemniej, głębokie wątpliwości budzi zadeklarowane poparcie dla ”chwilowej dyktatury“: Byłoby znacznie bardziej wskazanem, położyć więcej nacisku na suwerenność ludu francuskiego i na *jak najszybsze* jej uzewnętrznienie po wypędzeniu okupantów. Autorzy manifestu najwidoczniej uważali, że siły wewnętrzne tkwiące w ludzie francuskim są tak wyraźnie zorientowane, iż z momentem wypędzenia okupantów, popchną one Francję nieodwołalnie w kierunku republikańskim i demokratycznym, a zidentyfikowanie się z ruchem gen. de Gaulla gwarantuje właśnie zespolenie sił powstania narodowego z rewolucją społeczną. Płynąc na fali t.zw. „żelaznych konieczności dziejowych“, autorzy nie wahają się przyznać zarazem, że gen. de Gaulle „świadomie *lub nieświadomie*“ symbolizuje odbudowę państwa demokratycznego.

Trafna jest ocena kończącej się roli burżuazji francuskiej podczas wojny

i po wojnie. Trafna jest ocena nowych konieczności demokracji. Trafne jest wołanie o demokrację w stosunkach międzynarodowych.

Podobnie jak w okólniku syndykalistów francuskich, manifest Akcji Socjalistycznej usprawiedliwia się za rok 1939. „Chcieliśmy tylko pokoju, pokoju i jeszcze raz pokoju", taki jest sens odnośnych wywodów. Najwidoczniej trzeba się jeszcze i teraz we Francji usprawiedliwiać z wypowiedzenia wojny Niemcom dnia 3 września 1939 r. . . . Lecz okupacja niemiecka uczy Francuzów właściwej oceny wydarzeń — i w manifeście znajdujemy pewien wyraz tych przemian: Stwierdza on mianowicie, że „opinia publiczna coraz mniej rozróżnia pomiędzy ludem niemieckim a jego władcami". Ostrzegając przed nadużyciem siły wobec Niemiec pokonanych, manifest przyznaje jednak, że — jeśli trzeba — Niemcy muszą *siłą* być wprowadzone w ramy prawdziwego pokoju i rozbrojenia.

Manifest kładzie nacisk na konieczność udziału Rosji w powojennej „zjednoczonej społeczności międzynarodowej", o czym jednak przekonać ma Sowiety — niezależna (?) francuska partia komunistyczna. Manifest, jak widać, przewiduje istnienie, także i po wojnie, zarówno francuskiej partii komunistycznej jak i Kominternu, i wyraża troskę o poprawę stosunków między kom-part'ami i Kominternem a innymi partiami klasy robotniczej. Na razie zaś, Akcja Socjalistyczna gotowa jest rozważyć wspólne akcje oporu wobec okupantów, nie wchodząc w zagadnienia fundamentalne.

Jeżeli „rozważania o konstytucji IV Republiki" były poważnym krokiem naprzód ku ustaleniu obrazu powojennej przyszłości, to manifest Akcji Socjalistycznej jest pierwszą próbą ustalenia wskazań walki i polityki praktycznej na okres bieżący. W tym leży jego znaczenie.

Podobnie jak „rozważania", manifest przedstawia odnowiony ruch jako partię klasy pracującej — robotników przemysłowych i chłopów. To stałe pojawianie się chłopów w wypowiedziach podziemnej Francji jest zjawiskiem doniosłym i nowym. Zasługuje ono na uwagę. Jest to — w myśli socjalistycznej — dalszy ciąg procesu, którego pierwszym sformułowaniem był program radomski P. P. S. (2 lutego 1937); wtedy to po raz pierwszy partia socjalistyczna określona została jako „partia mas pracujących", a nie tylko klasy robotniczej.

Comitée d'Action Socialiste.

Manifest. 15 *czerwca* 1942.

Świat nurza się w krwawej topieli. Ludzie giną codziennie tysiącami. Tyfus i głód szerzy się na kontynencie. Kraje Europy, które cieszą się — nie spokojem ducha — lecz względnem pokojem, można wyliczyć na palcach jednej ręki. Wybrzeża Morza Śródziemnego, odległe wyspy Pacyfiku, Wschód, cały świat stoi w płomieniach. Jednocześnie toczy się walka pod Biegunem Północnym i pod palącym niebem Afryki.

Ludzie starzy widzą, że nie dożyją już szczęśliwszych czasów. Ludzie w sile wieku utracili nadzieję. Ludzie młodzi łakną trochę rozrywki i niczego więcej.

Wydaje się, że niema już promienia światła w tym oszalałym świecie.

Lecz mimo to, gdy siły barbarzyństwa zostaną złamane, z powszechnego chaosu musi wyłonić się nowy ład, który zapewni ludziom chleb i pokój.

Z Ameryki, Anglii, Rosji a nawet z krajów okupowanych dochodzą głosy budzące do życia świat dnia jutrzejszego: świat humanitaryzmu, braterstwa i socjalizmu.

We Francji, Komitet Akcji Socjalistycznej wzywa wszystkich do podjęcia akcji bezpośredniej, by zapewnić wyswobodzenie kraju i odbudowanie Republiki, której umiłowanie trwa z niezmniejszoną siłą w sercach wszystkich jej obywateli.

Wzywa on całą ludność robotniczą do współpracowania z nim w niezbędnym dziele sanacji reformy narodowej i społecznej. Odkąd podjęto próbę wydania wyroku na tych, którzy rzekomo odpowiedzialni są za klęskę — ukaranie tych którzy naprawdę są odpowiedzialni za zdradę i ukaranie ich pomocników będzie na pewno uzasadnione.

Czym jesteśmy.

Obecny Komitet Akcji Socjalistycznej nie jest dawną partią. Niektórzy z jej przywódców zdradzili ją. Wielu innych szukało schronienia w tchórzowskiej bezczynności od czerwca i lipca 1940 r. Z drugiej strony, wielu Francuzów którzy dotychczas zdaniem swym nie nadawali się do naszych szeregów, obecnie pracuje wraz z nami dla najistotniejszych zadań oczyszczenia, odnowienia i odmłodzenia.

Komitet Akcji Socjalistycznej ukonstytuował się obecnie w warunkach nielegalności, lecz jutro stanie swobodnie przed ludem. Zbadał on starannie swe sumienie. Rozmyślnie i stanowczo zerwał on z tymi członkami partii, których bezpośredni instynkt samozachowawczy był mocniejszy niż odwaga moralna i fizyczna. Rozmyślnie i stanowczo zerwał on z tymi wybrańcami, którzy nie dochowali obowiązku wierności Republice, nie stawili oporu cezaryzmowi, woleli współpracować z chwilowo zwycięską potęgą, aniżeli nadal prowadzić walkę. Zaiste Komitet Akcji Socjalistycznej nic nie ma wspólnego z rządem Petaina, a od samego początku walczył przeciw ludziom z Vichy.

Wyciągnąwszy wnioski z doświadczeń, biorąc sobie do serca nauki niedawnych wydarzeń, Komitet Akcji Socjalistycznej pragnie nie powtarzać dawnych błędów i pomyłek i bardziej niż kiedykolwiek podkreśla niewzruszalność doktryny socjalistycznej.

Zdecydowanie przeciwstawiając się ładowi kapitalistycznemu, zdecydowany skończyć z ohydnym skandalem zysku osobistego, pragnac zapewnić słuszny podział niezmierzonych bogactw świata pomiędzy wszystkich pracowników — Komitet Akcji Socjalistycznej, partia robotników i chłopów, oświadcza uroczyście, że jedynie urzeczywistnienie nauki socjalistycznej może ocalić świat od chaosu i zguby.

Nawet przeciwnicy socjalizmu — aby nie dopuścić by pozyskał on poparcie mas mas ludowych — musieli szminkować się i wypożyczać sobie socjalistyczne formuły i hasła. W ten to sposób nacjonalizm Hitlera zużytkował przymiotnik „socjalistyczny", najwięksi podszczuwacze wojenni oświadczali, że są zwolennikami pokoju, a ruch reakcyjny narodzony we Francji z klęski twierdził, że jest „rewolucją narodową".

Jednocześnie rząd usiłuje wmówić w nas, że szef państwa dotrzymuje „naszych przyrzeczeń" i że p. Laval jest bojownikiem wolności, którą w rzeczywistości morduje.

Jesteśmy partią nową a raczej odnowioną co się tyczy składu członkowskiego i metody działania. Tym niemniej jesteśmy wyznawcami zasad, które są niezmienne, albowiem źródłem ich jest ta sama rzeczywistość społeczna.

Celem socjalizmu było i jest ustanowienie w świecie społeczeństwa opartego na powszechnej sprawiedliwości w stosunkach wewnętrznych i na powszechnym pokoju pomiędzy ludami.

Socjalizm a Gaullizm.

We Francji cała działalność socjalistyczna podporządkowana jest sprawie wyzwolenia kraju naszego i jeśli słusznym jest wzywać do pracy nad ustanowieniem w przyszłości nowego ładu, to słusznym jest także pobudzać do walki o niepodległość narodową.

Komitet Akcji Socjalistycznej jest zdania, że w tym dziele wyzwolenia, wszyscy, którzy sympatyzują z tym celem i pragną współpracy, kimkolwiek by byli, są mile witani i potrzebni, i trzeba ich wykorzystać.

Jesteśmy gotowi nawiązać łączność ze wszystkimi ruchami oporu a zwłaszcza z ruchem zwanym powszechnie „gaullizmem".

Dla nas generał de Gaulle jest naturalnym i niedzownym symbolem oporu i wyzwolenia. Nie wydaje nam się, by klasa robotnicza mogła się czegokolwiek od niego obawiać mimo, iż część burżuazji łączy z nim swe nadzieje. Symbol oporu wobec Niemiec hitlerowskich, naturalny sprzymierzeniec demokracji anglosaskich, de Gaulle symbolizuje świadomie lub nieświadomie odbudowę demokratyczną państwa. Nie do pomyślenia iest, by chwilowa dyktatura — niewątpliwie z generałem de Gaulle na czele, w której Komitet Akcji Socjalistycznej gotów jest wziąść udział — która nazajutrz po klęsce Hitlera i Mussoliniego ustanowiona będzie we Francji — była czymkolwiek innym jak tylko przygotowaniem do powrotu do demokracji politycznej.

Ku demokracji socjalistycznej.

Komitet Akcji Socjalistycznej nie wierzy atoli by maszyneria demokratyczna mogła funkcjonować w taki sam sposób jak to było w Trzeciej Republice. Wzywa on wszystkich swych działaczy, by podjęli przemyślenie tych problemów już teraz i rozważyli śmiałe rozwiązania jakieby zapobiegły ambicjom osobistym i egoistycznym planom sabotowania woli ludowej.

Ponad to, Komitet Akcji Socjalistycznej jest przeświadczony że wydarzenia obecne doprowadzą do wyłonienia się we Francji demokracji socjalistycznej, która jest nieodzownym czynnikiem demokracji międzynarodowej. Władza polityczna burżuazji faktycznie przestała istnieć a jej władza ekonomiczna załamie się gdy tylko zostanie zaatakowana. W Europie, broń burżuazji pogrzebana została pod ruinami, zaś w krajach anglosaskich burżuazja już da zgodę na przeobrażenia, które w rzeczywistości stanowią jej abdykację.

W wiekuistym pochodzie ludzkości do poprawy warunków bytu, rozwój po tej wojnie posunie się nie tylko ku odnowie i odmłodzeniu demokracji politycznej, ale także ku jej rozszerzeniu na demokrację socjalną. Zostaną przywrócone prawa obywatelskie. Zostaną ustanowione prawa robotnicze.

Socjalizm a bolszewizm.

Co się tyczy stosunków do partii komunistycznej, której przedłożyliśmy już dokładne propozycje wspólnych narad — Komitet Akcji Socjalistycznej jest gotów, tak samo jak z wszystkimi innymi organizacjami oporu rozważyć z nią wszystkie rodzaje akcji nie mające co prawda charakteru organicznego, lecz nieodzowne dla wypędzenia nieprzyjaciela z Francji.

Co się tyczy przyszłości, Komitet Akcji Socjalistycznej wierzy mocno, że Rosja Sowiecka, z własnej swej woli, stanowić będzie część międzynarodowej rodziny narodów demokratycznych, które odzyskały swą niepodległość, oraz że stosunki różnych sekcji Międzynarodówki Komunistycznej, z innymi partiami robotniczymi, ulegną poprawie. Jesteśmy istotnie przekonani, że demokratyczna i zdrowa społecznie polityka nie będzie możliwa w naszym kraju dopóki niezależna w swej działalności francuska partia komunistyczna nie potrafi przekonać Moskwy, aby w interesie europejskiej klasy robotniczej a zwłaszcza robotników rosyjskich i francuskich Z.S.R.R. stanowił część zjednoczonej społeczności międzynarodowej.

Pokój bez zemsty.

Co więcej, Europa i świat dnia jutrzejszego może istnieć tylko, jeżeli po zawarciu pokoju wykluczone będzie jakiekolwiek nadużycie siły, wszelki ucisk i rozbiory terytorialne.

Także i w tej sprawie, socjaliści francuscy dumni są iż mogą powiedzieć, że od czasu traktatu wersalskiego, aż do roku 1939 krzyczeli aż do zachrypnięcia przeciw podszczuwaczom wojennym, najbardziej nieprzejednanym wobec Niemiec republikańskich, a potem gotowych poddać się Hitlerowi. Pod tym względem, walczyliśmy twardo przeciw piętnowaniu niektórych naszych członków jako podszczuwaczy wojennych. Ocalenie pokoju i tylko to na myśli miała partia socjalistyczna, gdy zdecydowała się na politykę oporu przeciw agresji. Gdyby polityka ta znalazła była posłuch, gdyby burżuazja francuska i angielska nie sabotowała stosowania a nawet samej zasady bezpieczeństwa zbiorowego (Abisynia 1935, Nadrenia 1936, Austria 1937, Czechosłowacja 1938) to Francja nie utraciłaby swych sprzymierzeńców i swego prestiżu nie wzmocniłaby hitleryzmu, i unicestwiłaby w zarodku wszelkie próby agresji ze strony wodza Trzeciej Rzeczy.

Dzisiaj stwierdzić możemy fakt zupełnie zrozumiały, że w krajach okupowanych i krajach wojujących opinia publiczna coraz to mniej rozróżnia między hitleryzmem a germanizmem pomiędzy ludem niemieckim a jego władcami. Tym nie mniej obowiązkiem naszym jest przygotować się do chłodnego rozpatrywania zagadnień pokoju. Rozwiązanie prowadzić musi do pokoju trwałego. Nie powinien on prowokować żadnego z tych uczuć rewanżu, które raz jeszcze wywołane być mogą z jednej strony przez szowinizm a z drugiej strony przez nadużycie siły.

Niemcy tak jak i inne kraje muszą być wprowadzone — jeżeli trzeba to siłą — w ramy prawdziwego pokoju i rozbrojenia.

Oto sa propozycje na chwilę bieżącą i na przyszłość, jakie wiosną 1942 — partia socjalistyczna (sekcja francuska Międzynarodówki Robotniczej) — jej przywódcy są w więzieniach wielu jej działaczy w więzieniach niemieckich lub francuskich aresztach — przedkłada ludowi pracującemu świata.

Comitée d' Action Socialiste.

„DRUGA BITWA O FRANCJĘ"

Dwa następne dokumenty są odezwami, nawołującymi do walki o konkretnie określone zagadnienia bieżące. Oba te dokumenty łączą się ściśle ze sobą.

Latem 1942 r. Laval jako premier rządu Vichy zawarł tajną umowę z Niemcami, zobowiązując się dostarczyć im 150.000 robotników wykwalifikowanych, w zamian za co przyrzeczono mu zwolnienie 50.000 francuskich jeńców wojennych oraz korzystniejsze dla Francji warunki pokojowe. Jakoż 22 czerwca 1942 Laval wygłosił do robotników francuskich przemówienie przez radio, wzywając ich do zgłaszania się do pracy do Niemiec. Prasa i radio zaprzągnięte zostały do kampanii rekrutacyjnej ; tysiące broszur, setki konferencji służyły celom tego handlu żywym towarem, którego istota demaskowała się coraz wyraźniej. Do dnia 26 października 1942, w miejsce przyrzeczonych 150.000, zaledwie 17.000 robotników wysłano do Niemiec. Stało się oczywiste, że rząd Vichy ma do czynienia z pierwszą, na wielką skalę, przeprowadzoną i — co najważniejsze — skuteczną kampanią oporu.

Już przedtem, po raz pierwszy od kapitulacji, masy ludowe Francji wyszły na ulicę, co prawda tylko na obszarze administrowanym przez Vichy. Było to 1 maja 1942. Oto krótkie resumè owych demonstracji : W Lyonie 50.000 demonstrantów przed pomnikiem Republiki. W Marsylii 50.000, ruch uliczny w śródmieściu (Canebierè) wstrzymany. W Tulonie 5.000. W Nicei 5.000. W Chambery 3.000. W Bourg 1.500. W Annecy 1.500. W St. Etienne około 4.000. W Clermont Ferrand 10.000. W Tuluzie ponad 8.000. Manifestacje przygotowane były przez wspólny komitet

klasowych i chrześcijańskich zw. zawodowych. W Tuluzie i w St. Etienne manifestacje przybrały charakter ogólno — narodowy, nawet z udziałem księży. Forma manifestacji: tłumy na ulicach o godz. 6.30 wieczorem, śpiew Marsylianki, okrzyki: „Niech żyje wolność, niech żyje republika, Laval na szubienicę". Wrażenie manifestacji ogromne. Prasie zabroniono pisać o niej nawet jednym słowem. W dniu 5 maja komitet organizujący manifestację odbył posiedzenie, stwierdził jej wielki sukces i wydał deklarację w tej sprawie, ogłoszoną w prasie nielegalnej. Podobne manifestacje powtórzyły się w dniu święta narodowego 14 lipca. Aczkolwiek ograniczone do strefy nieokupowanej i do godzin wieczornych, nie połączone zatem z porzuceniem pracy — nigdzie nie znalazło posłuchu komunistyczne hasło strajku generalnego — manifestacje te dały w wyniku ogromne podniesienie się ducha i przygotowały grunt do oporu, gdy wkrótce potem przed Francją stanęła groźba wyssania z niej najlepszych sił wykwalifikowanych robotników.

Poniższa odezwa „Francuskiego Ruchu Robotniczego" opublikowana została jeszcze przed mową Lavala. W konspiracji narodziła się — niezwiązana z żadną grupą polityczną — nowa forma ruchu podziemnego, stawiająca sobie mniej więcej te same zadania, jakie w życiu jawnem stawiają sobie robotnicze związki zawodowe. Forma ta nosi nazwę Francuski „Ruch Robotniczy."

15 *czerwca* 1942.

Dość jeńców ! *dość zakładników* !

Milion trzysta tysięcy jeńców narażonych na wszelkie urągowiska, na wszelkie okrucieństwa hitlerowców, czyż to nie wystarcza ludziom, którzy nami rządzą w imieniu i na rachunek „władzy okupacyjnej" ?

„Patriota" Laval, wyraźnie pokryty przez „czcigodnego szefa", przyrzeka wysyłkę do Niemiec 350.000 pracowników francuskich, do dzisiaj — ludzi wolnych, od jutra — niewolników i jeńców.

Lecz dobrze wiadomo, że nie da się osiągnąć, by robotnicy zgłosili się dobrowolnie. Postanowiono zamknąć co najmniej 1.300 fabryk i odebrać zasiłki bezrobotnym, aby złamać ich opór. Nikt we Francji nie może być obojętny na tę sytuację tragiczną. Chodzi nie tylko o uratowanie życia i ocalenie godności 350.000 Francuzów, lecz także o honor kraju, pomijając bieżące i przyszłe interesy gospodarki narodowej.

Wszyscy Francuzi bez względu na położenie socjalne — oczywiście prócz ludzi z trustów, które skorzystają na tych zarządzeniach — winni stawić czoło temu haniebnemu projektowi. Niechaj wybuchnie bez zwłoki, niechaj się rozszerza wielki ruch solidarności.

Robotnicy pozbawieni pracy z wszystkich sił waszych opierajcie się temu niebezpiecznemu i bezczeszczącemu wygnaniu do którego chcą was zmusić. Powiedzcie sobie, że zbliża się zwycięstwo i wyzwolenie, i że nie trzeba opóźniać ich nadejścia. Nie opuszczajcie Francji.

Chłopi, przemysłowcy, kupcy, kategorycznym waszym obowiązkiem jest—czy to przez dostarczenie pracy, czy to przez pomoc finansową — pozwolić robotnikom wypędzonym z waszych fabryk, by spełnili swój obowiązek Francuzów i by zostali zachowani dla swych rodzin.

Robotnicy, urzędnicy, technicy i inżynierowie, którzy pozostajecie w pracy, obowiązkiem waszym jest oddać część własnego zarobku na pomoc finansową, jakiej żąda się od wszystkich.

Francuzi i Francuzki, nie opuszczajcie rąk.
Nie opuszczajcie Francji !

Francuski Ruch Robotniczy.

Znakomite wyniki kampanii oporu spowodowały, oczywiście, zaostrzenie się gróźb i stosowanych metod. 24 października 1942 oświadczyło radio Vichy: „Codziennie odchodzą do Niemiec robotnicy, ale tempo jest zbyt wolne i miesiące potrwa, nim osiągnięta zostanie liczba, jakiej Niemcy żądają. A Niemcy nie będą czekały miesiącami, mają one bowiem środki po temu, by w ciągu kilku dni uzyskać wszystko czego pragną". Nieco wcześniej radio paryskie zapowiedziało, iż robotnicy francuscy mają do wyboru: iść do Niemiec dobrowolnie, albo pod przymusem. Jakoż użyto środków przymusu, skoro zawiodły zastosowane uprzednio środki presji ekonomicznej. Przedsiębiorstwa przemysłowe otrzymały imienne

spisy robotników, którzy mają się udać do Niemiec do pracy. Ale robotnicy nie ulegli. W ośrodkach przemysłowych Lyonu, St. Etienne, a także w Sabaudii (okręg Bonneville, dalej Marnaz, Cluses, Scionzier, Annecy) wybuchły strajki. Wyznaczona na 15 października data zamknięcia rekrutacji 150.000 robotników przesunięta została na 31 października, jednak i w tym terminie zamierzona cyfra daleka była od jej osiągnięcia. Dopiero wejście wojsk niemieckich do strefy Vichy przeobraziło sytuację, nie zmieniając już faktu, że w okresie najzawziętszych wysiłków o zdobycie Stalingradu, Niemcy nie uzyskali liczby robotników francuskich, równa jącej się 10 — 12 dywizjom, które byłyby sformowane z robotników niemieckich przesuniętych z fabryk do szeregów wojskowych.

Poniższa odezwa formułuje cele akcji strajkowej. Wśród podpisów pojawia się nowy podpis: partii komunistycznej.

Hasło dnia Oporu:

STRAJK NARODOWY.

Francuska klasa robotnicza pełni swój obowiązek: powiedziała ona Hitlerowi NIE. Odpowiedziała ona NIE na „zluzowanie" (rzekomą wymianę jeńców na robotników — *relève*, przyp. tłum.), na rekwizycję, na pracę przymusową dla nieprzyjaciela.

Wszyscy Francuzi winni być razem z klasą robotniczą, u jej boku, w walce, w oporze, dla ZWYCIĘSTWA. Klęska Niemiec jest pewna.

W zgodzie z Komitetem Narodowym Francji Walczącej, w zgodzie z generałem de Gaulle, ruchy Oporu urzeczywistniły swą jedność. Oświadczają wam one:

SABOTUJCIE transporty do Niemiec,

STRAJKIEM twórzcie mur obronny wokół robotników, którzy odmówili wyjazdu do Niemiec,

STRAJKIEM domagajcie się uwolnienia uwięzionych,

STRAJKIEM oddawajcie do rozporządzenia ludu zapasy żywności przeznaczone dla Niemiec.

Na każde nowe wezwanie do Niemiec: STRAJK.

Na najmniejsze zarządzenie policyjne: STRAJK.

Na każdą próbę wygłodzenia ludu: STRAJK.

Okazało się, iż strajk, tradycyjna broń klasy robotniczej, stał się niezbędnym narzędziem Wyzwolenia narodowego.

Wszędzie, gdzie strajk był zwarty, Vichy i Gestapo przeszły do odwrotu.

Organizujcie się w przedsiębiorstwach, pracowniach, biurach.

Nawiązujcie łączność z Oporem Francuskim.

Mobilizacja wszystkich patriotów przeciw wyjazdom do Niemiec!

Strajk narodowy o Wyzwolenie!

Combat, Franc-Tireur, Front Narodowy,
Libération, Francuska Partia Komunistyczna,
Francuski Ruch Robotniczy.

KONTYNUACJA REPUBLIKAŃSKA

Ten ostatni dokument zamyka rozdział oporu francuskiego. Dymiące zgliszcza floty francuskiej w Tulonie były sygnałem, iż Francja cała uległa jawnej już i bezpośredniej okupacji niemieckiej.

Lecz w międzyczasie, klasa robotnicza francuska odbyła daleką drogę. Jej słupami milowymi są zebrane powyżej dokumenty. Ich staranne porównanie uczy, iż na przestrzeni 2½ lat ewolucja poszła: od wyrazów podziwu dla walczącej samotnie Wielkiej Brytanii — do wyznaczenia Francji zadań walki czynnej przeciw najeźdźcom; od usprawiedliwień i samooskarżeń za przeszłość — do zarysowania obrazu przyszłej demokratycznej i socjalistycznej „Czwartej Republiki"; od syndykalistycznej próby zapewnienia sobie skromnej swobody ruchów wewnątrz systemu Vichy — do świadomości, że tylko wypędzenie okupantów i obalenie reżimu kolaboracji otworzy klasie robotniczej możliwość emancypacji gospodarczej, socjalnej i kulturalnej; od wyrzeczenia się strajkowej broni walki — po akcję masowego strajku o charakterze politycznym.

Szczególnym dorobkiem minionego okresu jest uzgodnienie nieskoordynowanych ruchów oporu (jednoczesna deklaracja w pismach: „Combat" i „Libération" z 25 sierpnia 1942, „że kierują one zbieżnymi ruchami, że zmierzają do tego samego celu, są ożywione tym samym

ideałem, i uznają generała de Gaulle za szefa i symbol oporu francuskiego") oraz porozumienie się ruchów krajowych z emigracyjnym Komitetem Narodowym. To z kolei umożliwiło ruchowi Francji Walczącej, w oparciu o zaplecze krajowe, postawienie zasady, iż „całkowita kooperacja wojskowa, oraz *a fortiori* fuzja wszystkich sił wojskowych francuskich, jest nie do pomyślenia bez politycznej i administracyjnej unifikacji pod kierownictwem jednego tylko centralnego organu prowizorycznego". „Jest to kwestia nie procedury, lecz zasady. Francja winna być reprezentowana nie przez jedną lub kilka armii, lecz przez narodowy organizm rządowy, chociażby prowizoryczny". (Deklaracja Francji Walczącej z dnia 31 grudnia 1942).

Porozumienie ruchów oporu na terenie Francji samej dotyczy trzech punktów: „Przede wszystkim, pragniemy oswobodzenia Francji. Po drugie, pragniemy starannego oczyszczenia naszego życia publicznego, tak by dostępne ono było tylko ludziom o niewątpliwej prawości, ludziom gotowym do przyjęcia ryzyka obrony swych opinii. Po trzecie, wierzymy wszyscy w pewne wartości moralne i prawne (poszanowanie jednostki, panowanie prawa, praworządność republikańska) które — jak się nam wydaje — są trwałymi elementami kultury francuskiej". (André Philip: *The Unification of French Resistance*. „*Observer*" z 3 stycznia 1943.) Wszystkie te trzy zasady zostały zaakceptowane przez gen. de Gaulle w rokowaniach z francuskim ruchem oporu, wszczętych z początkiem 1942 r.

Zasiadając jako przedstawiciel ruchu oporu w Francuskim Komitecie Narodowym, socjalista André Philip podkreśla szczególnie zasadę kontynuacji republikańskiej: „Początkowo, myślą naszą było po prostu skoordynowanie działalności Wolnej Francji za granicą z działalnością wewnętrznych ruchów oporu. Jeśli ostatecznie uznaliśmy autorytet Karola de Gaulle i Francuskiego Komitetu Narodowego, to dla tej przyczyny, iż później odczuliśmy potrzebę kogoś, kto mógłby mówić do świata imieniem Francji. Nie skupiliśmy się wokół generała, który oddał legion ochotników do dyspozycji obcej potęgi, skupiliśmy się wokół jedynego członka ostatniego prawowitego rządu republikańskiego, który był w stanie powziąć decyzję *polityczną*, t.j. decyzję dalszego prowadzenia wojny i który w następstwie tej decyzji, był uprawniony do mówienia imieniem narodu francuskiego".

W ten sposób Francja Walcząca usiłuje osiągnąć w obozie narodów walczących z Osią tę samą pozycję prawną i moralną, jaką rozporządzają inne sprzymierzone państwa kontynentu europejskiego i inne rządy przebywające czasowo w Londynie.

Ostatecznie, obraz przedstawia się jak następuje: kontynuacja prawna Trzeciej Republiki w osobie gen. de Gaulle i Komitetu Narodowego; oparcie się czynników działających na emigracji o krajowe zaplecze podziemne; gruntowne przeobrażenia polityczne, gospodarcze i społeczne w przyszłej Francji, która wyzwoli się w dniu klęski okupantów niemieckich (hasło Czwartej Republiki). Czytelnik polski bez trudu oceni ryzyka i niebezpieczeństwa jakie oczekują lud francuski w jego drodze do owej „czwartej"republiki, lecz zarazem oceni ogromny wysiłek, jaki już został wykonany przez naszych przyjaciół francuskich w walce nie tylko z okupacją obcą, ale także z kapitulacją duchową i zdradą. Wysiłek ten napawa otuchą i wiarą w przyszłość przeobrażonej demokracji francuskiej.